

*Tu nie ma zmierzchu ani świtu. Czas stracił znaczenie.  
Opuściliśmy świat rzeczywisty i wkroczyliśmy do krainy snów.*

# MICHELLE PAVER



CIENIE  
W MROKU

W  
ab  
2006

MICHELLE PAVER

CIENIE W MROKU

Dark Matter

Przełożył Arkadiusz Nakoniecznik

24 listopada 1947  
Embleton Grange, Cumberland

Szanowny Doktorze Murchison,

Proszę mi wybaczyć nieco spóźnioną odpowiedź. Niewątpliwie zrozumie Pan, dlaczego odpowiadam na Pańską prośbę bez najmniejszej przyjemności. Jeśli mam być szczery, przywołał Pan bolesne wspomnienia, które od dziesięciu lat staram się wymazać z pamięci. Ta ekspedycja okaleczyła jednego z moich przyjaciół, drugiego zaś pozbawiła życia. Nie mam ochoty do tego wracać.

Pisał Pan, że pracuje nad monografią dotyczącą „zaburzeń na tle fobii” – jak rozumiem, chodzi o irracjonalne lęki. Żałuję, iż nie mogę powiedzieć Panu niczego, co mogłoby się Panu przydać. Co więcej, nie rozumiem, w jaki sposób „przypadek” (jak Pan to ujmuje) Jacka Millera mógłby dostarczyć jakichkolwiek materiałów do Pańskiej pracy.

W swoim liście przyznał Pan, iż niewiele Pan wie o Spitsbergenie i w ogóle o obszarach często nazywanych Daleką Północą. Wcale mnie to nie dziwi. Tylko nieliczni wiedzą coś na ten temat. Proszę o wybaczenie, ale w związku z tym pozwalam sobie wątpić, czy zdołałby Pan pojąć, jaki wpływ może wywrzeć na człowieka konieczność spędzenia zimy w tamtym rejonie, co mogą z nim uczynić samotność i pustka, i to pomimo wielu wygod dostępnych w naszych czasach. A przede wszystkim – jak zniesie niekończącą się ciemność. Okoliczności sprawiły, że Jack miał nieszczęście zostać w tamtym miejscu zupełnie sam.

Wątpię, czy dowiemy się kiedykolwiek, co rzeczywiście wydarzyło się w Gruhuken. Wiem jednak wystarczająco wiele, aby mieć pewność, iż było to coś okropnego. Cokolwiek to było, doktorze Murchison, zdarzyło się naprawdę. Nie stanowiło rezultatu jakichś „zaburzeń lękowych”. Przy okazji pragnąłbym nadmienić, iż zanim poświęciłem się polityce, przez kilka lat

studiowałem nauki ścisłe, i z tych dwóch powodów uważam się za osobę zdolną do rzetelnej oceny faktów. Co więcej, nikt nigdy nie podawał w wątpliwość mojego zdrowia psychicznego ani nie zamierzał włączyć mego „przypadku” do żadnej monografii.

Nie wiem, w jaki sposób dowiedział się Pan o tym, że Jack Miller prowadził dziennik wyprawy, ale istotnie, tak właśnie było. Wielokrotnie widziałem go piszącego. W związku z tym żartowaliśmy sobie z niego, on zaś nie reagował na nasze docinki, ale też nigdy nie pokazał nam żadnego wpisu. Z pewnością, tak jak Pan sugeruje, dziennik ów mógłby rzucić światło na tajemnicę spowijającą tamte wydarzenia – niestety, nie ocalał, a Jacka nie mogę o to zapytać.

Dlatego nie będę w stanie Panu pomóc. Życzę Panu powodzenia w pracy, równocześnie jednak czuję się zmuszony prosić, aby już nie zwracał się Pan do mnie w tej sprawie.

Z poważaniem Algernon Carlisle

## Dziennik Jacka Millera, 7 stycznia 1937 roku

Już po wszystkim. Nie jadę. Nie mogę spędzić roku w Arktyce z tymi ludźmi. Umawiają się ze mną na drinka, a potem flekują i dają jasno do zrozumienia, co myślą o kimś, kto kończył uczelnię publiczną w Londynie. Jutro napiszę do nich i poinformuję, gdzie mogą sobie wsadzić tę swoją cholerną wyprawę.

Jak na mnie spojrzeli, kiedy wszedłem do tego pubu... Pełen zamożnych ludzi, zapewne z dobrymi zawodami, znajdował się przy Strandzie, a więc z dala od okolic, w których zwykle się obracam. Do tego zapach whisky i dym z kosztownych cygar. Nawet barmanka była z wyższej półki.

Siedzieli we czwórkę przy stoliku w rogu i patrzyli, jak się do nich przepycham. Mieli oksfordzkie torby i tweedowe marynarki, sfatygowane w elegancki sposób, świadczący o weekendach spędzanych w wiejskich rezydencjach. A naprzeciwko ja, w znoszonych butach i tandetnym garniturku. A potem zobaczyłem drinki na stoliku i pomyślałem: Boże, będę musiał postawić kolejkę. Miałem w kieszeni tylko dwa szylingi i trzy pensy.

Przywitaliśmy się. Odprężyli się trochę, stwierdziwszy, że nie mówię żargonem, ja natomiast byłem tak pochłonięty rozważaniami, czy wystarczy mi pieniędzy na drinki dla wszystkich, że minęło trochę czasu, zanim się zorientowałem, kto jest kim.

Algie Carlisle, gruby i piegowaty, ma jasne rzęsy i rudawe blond włosy. Raczej wykonuje rozkazy, niż je wydaje, i zwykle liczy na to, że ktoś mu powie, co powinien robić. Hugo CharterisBlack, o twarzy inkwizytora niemogącego się doczekać, żeby przytknąć zapałkę do stosu kolejnego heretyka, jest szczupły i ciemnowłosy. Teddy Wintringham ma wyłupiaste oczy, choć sam zapewne uważa, że jest obdarzony przenikliwym

spojrzeniem. Gus Balfour natomiast to przystojny jasnowłosy bohater prosto z jakiegoś pisemka dla chłopców. Żaden jeszcze nawet nie zbliżył się do trzydziestki, ale wszyscy starają się sprawiać wrażenie starszych, niż są w istocie. Carlisle i Charteris-Black zapuścili wąsy, Balfour i Wintringham ściskają fajki w zębach.

Wiedziałem, że nie mam najmniejszych szans, pomyślałem więc: „O, co mi tam, walnę prosto z mostu, pójdę jak owca do rzeźni (o ile owce potrafią szczyrzyć zęby, ma się rozumieć)”. Tak też uczyniłem. Szkoła podstawowa w Bexhill, studia na Politechnice Londyńskiej ukończone dzięki stypendium, marzenia o zostaniu fizykiem porzucone w związku z kryzysem. Od siedmiu lat w firmie Marshall Gifford jako urzędnik w dziale eksportu.

Przyjęli to bez słowa, ale ja i tak niemal widziałem ich myśli: szkoła dla średniaków z klasy średniej, w obrzydliwym miasteczku nad morzem, Uniwersytet Londyński, hm, to jednak nie całkiem to samo co Oksford albo Cambridge... Gus Balfour chciał wiedzieć więcej o moim miejscu pracy.

– Produkuje najwyższej klasy papeterię, wysyłamy ją na cały świat – wyjaśniłem, po czym zaczerwieniłem się po czubki uszu. Na litość boską,

Jack! Mówisz jak pan Pooter <sup>[1]</sup>!

Algie Carlisle, ten tłuśty, zapytał, czy umiem strzelać.

– Owszem – odrzekłem lakonicznie.

Naprawdę potrafię strzelać. Zawdzięczam to staremu panu Carwardine'owi, emerytowanemu urzędnikowi w protektoracie malajskim, który zabierał mnie na polowania na króliki. Podejrzywałem jednak, że nie o takie strzelanie im chodziło. Carlisle pomyślał chyba to samo, spytał bowiem z powątpiewaniem, czy mam własną broń.

– Stary karabin wojskowy – odpowiedziałem. – Nic nadzwyczajnego, ale obleci.

Wszyscy skrzywili się jak na komendę, jakby nigdy w życiu nie słyszeli normalnego, potocznego języka. Teddy Wintringham chciał wiedzieć, czy mam pojęcie o obsłudze radiostacji. Przytaknąłem; w końcu skończyłem

uczelnię techniczną, a poza tym zależało mi na zdobyciu praktycznych umiejętności mających jakiś związek z moimi ukochanymi naukami ścisłymi. (Znowu pan Pooter. Muszę przestać głądzić).

Wintringham uśmiechnął się, widząc moje zmieszanie.

– Nie wiem, o czym mówisz, kolego, ale wydaje mi się, że będziemy potrzebowali kogoś takiego jak ty.

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu i wyobraziłem sobie, że zamiast do królika strzelam do niego. Na uśmiechy było jednak za wcześnie, ponieważ szanowny Gus Balfour zorientował się, że rozmowa zbacza z toru, i zaczął opowiadać mi o ekspedycji.

– Mamy dwa cele – rzekł z powagą. Jeszcze bardziej niż do tej pory przypominał teraz bohatera z powieści dla chłopców. – Jeden to prowadzenie badań biologicznych, geologicznych i dotyczących dynamiki lodu na Dalekiej Północy. W związku z tym założymy dwa obozy: jeden na brzegu, a drugi na polach lodowych. Dlatego będziemy potrzebować psów. Drugi, ważniejszy cel to prowadzenie obserwacji meteorologicznych i przesyłanie wyników trzy razy na dobę przez rok do rządowego centrum meteorologicznego. Dzięki temu otrzymaliśmy wsparcie od Admiralicji i z Ministerstwa Wojny. Najwyraźniej sądzą, że dostarczone przez nas dane mogą okazać się przydatne, jeśli... W razie gdyby doszło do kolejnej wojny.

Zapadło niezręczne milczenie. Było dla mnie oczywiste, że nie chcieliby, żeby rozmowa zboczyła na temat sytuacji w Hiszpanii albo neutralności Belgii i Holandii. Uczyniłem zadość ich niewypowiedzianemu życzeniu.

– I zamierzacie dokonać tego wszystkiego w pięciu? – zapytałem.

Ściągnąłem na siebie ostre spojrzenia wszystkich z wyjątkiem Gusa Balfoura, który wziął moje słowa za dobrą monetę.

– Istotnie, zadanie może się wydawać trudne do wykonania, ale dokładnie rzecz obmyśliliśmy – odparł. – Algie będzie głównym myśliwym, poganiaczem psów i geologiem. Teddy – fotografem i medykiem. Hugo – glaciologiem. Każdy z nas będzie pomagać przy pomiarach

meteorologicznych. Ja będę biologiem i, ehm, dowódcą ekspedycji, a ty... – roześmiał się niezręcznie – ... dla ciebie przeznaczylimy funkcję radiotelegrafisty.

Odniosłem wrażenie, że naprawdę zależy mi na tym, by mnie zaangażować, i przyznam, że połechtano to moją próżność. Hugo Charteris-Black, Inkwizytor, zaraz wszystko zepsuł, pytając o to, co skłoniło mnie do zgłoszenia akcesu i czy zdaję sobie sprawę, na co się narażam.

– Wiesz, jak tam wygląda zima? – spytał, przeszywając mnie spojrzeniem swoich czarnych jak węgiel oczu. – Cztery miesiące całkowitej ciemności. Myślisz, że wytrzymasz?

Zacisnąłem zęby, po czym wyjaśniłem mu, że dlatego właśnie chcę jechać: by zmierzyć się z wyzwaniem. To im się spodobało. Chyba właśnie czegoś takiego uczą w szkołach publicznych. Całe szczęście, że nie podałem im prawdziwego powodu. Byliby mocno zażenowani, gdyby się dowiedzieli, że robię to z desperacji.

Nie mogłem już dłużej odwlekać chwili, kiedy powinienem zaproponować postawienie kolejki. Po dużym piwie (siedem pensów za kufel) dla Algiego Carlisle'a, Teddy'ego Wintringhama i Hugona Charterisa-Blacka, małe piwo dla mnie (trzy i pół pensa). Myślałem już, że zabraknie mi pieniędzy, kiedy Gus Balfour powiedział:

– Ja dziękuję.

Zrobił to całkiem naturalnie i przekonująco, ale ja i tak wiedziałem, że starał się mi pomóc. Zawstydzilo mnie to.

Potem przez jakiś czas wszystko było w porządku. Piliśmy w milczeniu, aż w pewnym momencie Gus Balfour popatrzył na pozostałych, skinął głową i powiedział do mnie:

– No dobrze, Miller. Chcesz się do nas przyłączyć?

Przyznam, że odrobinę się zakrztusiłem.

– Eee... jasne – wyjąkałem. – Tak mi się wydaje. Nawet na pewno.

Tamci przyjęli to z ulgą, Gus Balfour natomiast niemal z entuzjazmem.



Bez przerwy poklepywał mnie po ramieniu i powtarzał:

– No to świetnie! No to świetnie!

Wydaje mi się, że robił to całkiem szczerze. Umówiliśmy się na kolejne spotkanie, potem pożegnałem się i ruszyłem do drzwi. Zerknąwszy przez ramię, dostrzegłem grymas na twarzy Teddy’ego Wintringhama i zrezygnowane wzruszenie ramionami Algiego Carlisle’a: no cóż, może nie jest to towar pierwszej jakości, ale musi nam wystarczyć. Jak idiota dałem się ogarnąć wściekłości. Chciałem zawrócić i chlusnąć im w twarze absurdalnie drogim piwem. Macie pojęcie, co to znaczy być biednym? Chować przetarte mankiety, nosić cerowane skarpetki, zdawać sobie sprawę z tego, że się cuchnie, ponieważ można sobie pozwolić tylko na jedną kąpiel w tygodniu? Myślicie, że to lubię?

Zrozumiałem, że cała ta historia nie ma najmniejszego sensu. Nie mogłem dołączyć do ich ekspedycji. Skoro nie jestem w stanie wytrzymać z nimi przez dwie godziny, to co dopiero mówić o całym roku? Prędzej czy później zabiłbym kogoś.

## Później

Jack, co ty wyprawiasz, do diabła? Co ty wyprawiasz? Kiedy wracałem do domu, mgła nad rzeką zrobiła się już okropnie gęsta. Autobusy i taksówki pełzły w ślimaczym tempie, było słychać nawoływania gazeciarzy. Lampy uliczne stały się zaledwie rozmazanymi żółtymi plamami, które niczego nie oświetlały. Boże, jak ja nienawidzę mgły! Ten smród, łzawiące oczy, smak żółci w gardle...

Zatrzymałem się, zobaczywszy tłumek zebrany na chodniku. Przyczyną zbiegowiska było ciało, które właśnie wyławiano z rzeki. Ktoś powiedział, że to pewnie jeden z tych nieszczęśników, którzy nie mogą znaleźć pracy. Wychyliłem się za kamienny murek i ujrzałem trzech ludzi na barce, wciągających na pokład coś jakby stertę mokrych łachmanów. Dopiero po

chwili dostrzegłem okrągłą głowę, przedramię rozorane osęką i całe ciało, szare i brzydkie jak zmurszała guma. Nie byłem przerażony, bo widywałem już nieboszczyków, tylko zaintrygowany. Wpatrując się w czarną wodę, zastanawiałem się, ilu ludzi straciło już w niej życie i dlaczego nie mieszka w niej więcej duchów.

Jeżeli przypuszczacie, że zetknięcie z ludzką śmiertelnością pozwoliło mi spojrzeć na wszystko z właściwej perspektywy, to się mylicie. Kiedy dotarłem do stacji metra, wciąż kipiałem wściekłością. Byłem tak bardzo wściekły, że przegapiłem właściwy przystanek, dojechałem aż do Morden i musiałem wsiąść do pociągu jadącego w przeciwną stronę, do Tooting. Tam mgła była jeszcze gęstsza. Zawsze tak jest. Idąc po omacku ulicą, czułem się jak ostatni żywy człowiek na Ziemi.

Na klatce schodowej cuchnęło gotowaną kapustą i jeyes fluid. Było tak zimno, że para leciała mi z ust, a w moim pokoiku na drugim piętrze panowała niewiele wyższa temperatura, ale mnie rozgrzewał gniew. Natychmiast usiadłem do dziennika i wylałem z siebie wszystko. Do diabła z nimi! Nie jadę.

To było jakiś czas temu.

W pokoju jest lodowato zimno. Płomień palnika gazowego rozsiewa wodnisty poblask, który drży za każdym razem, kiedy przejeżdża metro. Nie mam opału, zostały mi dwa papierosy i dwa i pół pensa, które muszą wystarczyć do wypłaty. Jestem tak głodny, że nawet żołądek przestał już burczeć, ponieważ zorientował się, że to nie ma żadnego sensu. Siedzę na łóżku w płaszczu. Czuć go mgłą oraz drogą, którą od siedmiu lat odbywam dwa razy dziennie i sześć razy w tygodniu, razem z innymi szarymi ludźmi. A także Marshalllem Giffordem, gdzie mówią do mnie „kolego”, ponieważ skończyłem studia, i gdzie za trzy funty tygodniowo nadzoruję wysyłkę papieru do miejsc, których nigdy w życiu nie zobaczę.

Mam dwadzieścia osiem lat i nienawidzę swojego życia, ale wiecznie brakuje mi czasu i energii, żeby je zmienić. W niedzielę włóczę się po

muzeach, gdzie przynajmniej jest ciepło, albo zatapiam się w lekturze książki z biblioteki, albo bawię się radiem. Wiem jednak, że niebawem nadejdzie poniedziałek, a kiedy o tym myślę, ogarnia mnie panika, bo zdaję sobie sprawę, że donikąd nie zmierzam, tylko po prostu staram się przeżyć.

Nad kominkiem powiesiłem obrazek wycięty z „Illustrated London News”, zatytułowany *Polarny krajobraz*. Bezmiar łądu pokrytego śniegiem i czarne morze poznaczone górami lodowymi. Namiot, sanie i psy husky. Dwaj mężczyźni w strojach polarników nad martwym niedźwiedziem polarnym. Ilustracja ma pięć lat. Pięć lat temu wyciąłem ją z czasopisma i powiesiłem nad kominkiem. Byłem wtedy na drugim roku studiów i jeszcze miałem marzenia. Zamierzałem zostać uczonym, uczestniczyć w wyprawach naukowych i odkrywać zagadki pochodzenia wszechświata. Albo tajemnice atomu. Wszystko jedno.

I wtedy, kiedy gapiłem się na *Polarny krajobraz*, dotarło to do mnie. Przypomniałem sobie ciało wyciągnięte z rzeki i pomyślałem: Jack, ty idioto! To twoja jedyna szansa! Jeśli z niej nie skorzystasz, jaki jest sens ciągnąć to dalej? Jeszcze rok u Marshalla Gifforda i to twoje ciało wyłowią z Tamizy.

Jest piąta rano, pod oknem turkocą już wózki roznosicieli mleka. Przez całą noc nie zmrużyłem oka, ale czuję się wspaniale. Jestem zziębnięty, głodny i na wpół przytomny, lecz mimo to czuję się wspaniale. Wciąż widzę przed sobą twarz starego Gifforda. „Ależ, Miller, to jakieś szaleństwo! Przecież za kilka lat mógłbyś zostać naszym kierownikiem do spraw eksportu!”. Ma rację: to szaleństwo. W takich czasach rezygnować z bezpiecznej posady? Podwójnie bezpiecznej, bo w razie wojny byłbym zwolniony ze służby wojskowej. Teraz jednak właściwie mnie to nie interesuje. Kiedy wrócę, wojna i tak pewnie wybuchnie, więc będę mógł zgłosić się na ochotnika. A jeśli nie wybuchnie, to nic – wtedy również zgłoszę się na ochotnika i pojedę walczyć do Hiszpanii.

Dziwne. Zdaję sobie sprawę, że zbliża się wojna, ale niewiele mnie to

obchodzi. Cieszę się tylko, że ojciec tego nie widzi. Nie dowie się, że na próżno walczył na Wojnie, Która Miała Zakończyć Wszystkie Wojny. Poza tym cała ta sytuacja wydaje mi się jakaś nierealna. Na rok zniknę z normalnego życia. Będę patrzył na słońce świecące o północy, na niedźwiedzie polarne, na foki ześlizgujące się z kry do zielonej wody. Pojadę do Arktyki.

Za pół roku wypływamy do Norwegii. Całą noc spędziłem na planowaniu. Zastanawiam się, kiedy powinienem wręczyć wypowiedzenie, żeby jakoś dotrzeć do lipca. Kompletuję na papierze ekwipunek z wojskową listą zaopatrzeniową w ręce. Naszkicowałem plan ćwiczeń fizycznych oraz sporządziłem spis niezbędnych lektur, ponieważ uświadomiłem sobie, że w gruncie rzeczy nie wiem zbyt dużo o Spitsbergenie. Tylko tyle, że to gromadka wysp w połowie drogi między Norwegią a biegunem północnym, trochę większych od Irlandii i niemal w całości pokrytych lodem.

Rozpoczynając ten dziennik, byłem przekonany, że wyruszę na tę wyprawę. Teraz piszę, by utrwalić chwilę, kiedy podjąłem decyzję o wyjeździe. Trup w rzece. Gdyby nie ten nieszczęśnik, chyba bym nie zmienił zdania. Dziękuję ci więc, bezimienny nieboszczyku. Mam nadzieję, że znalazłeś spokój, gdziekolwiek teraz jesteś.

Wyruszam do Arktyki.

Dopiero teraz dostrzegłem pewien szczegół na obrazku. Na pierwszym planie jest foka. Przez te wszystkie lata byłem przekonany, że to fala, ale jednak to foka. Wyraźnie widzę okrągłą, mokrą głowę wystającą z wody. Foka patrzy na mnie. Myślę, że mogę uznać to za dobry znak.

24 lipca, Grand Hotel, Tromsø, północna Norwegia

Aby nie kusić losu, postanowiłem nie pisać niczego aż do chwili, kiedy dotrzemy do Norwegii. Byłem przekonany, że wydarzy się coś, co storpeduje ekspedycję; niewiele brakowało, żeby tak się stało.

Dwa dni przed ustalonym terminem wyjazdu umarł ojciec Teddy'ego Wintringhama. Zostawił dwór w Sussex, „trochę wiejskich posiadłości”, sporo środków zainwestowanych w fundusze powiernicze i gromadkę osób na utrzymaniu. Spadkobierca był „potwornie wstrząśnięty” (nie zgonem ojca, lecz tym, co to oznaczało dla ekspedycji), lecz z ciężkim sercem musiał zrezygnować z wyjazdu. W tej sytuacji jego roczna nieobecność nie wchodziła w grę.

Pozostali całkiem serio zaczęli rozważać możliwość odwołania wyprawy. Czy będzie „odpowiedzialnie” wyruszyć bez lekarza? Z najwyższym trudem zapanowałem nad gniewem. Do licha z „odpowiedzialnością”! Przecież jesteśmy młodymi, zdrowymi ludźmi! Poza tym nawet jeżeli ktoś zachoruje, zostaje przecież lekarz w Longyearbyen, zaledwie dwa dni drogi od obozu!

Okazało się, że Hugo i Gus podzielali moją opinię, ponieważ zarządziliśmy głosowanie i okazało się, że jedynie ten tłusty Algie był za odwołaniem ekspedycji. Zresztą jak tylko się zorientował, że nikt poza nim nie żywi żadnych obaw, szybko wycofał swoje zastrzeżenia.

Po powrocie do pokoju zwymiotowałem, potem zaś wyciągnąłem mapę Spitsbergenu. Na tej mapie nosi nową nazwę Svalbard, ale i tak wszyscy posługują się starą, odnoszącą się także do największej wyspy archipelagu. Tam się właśnie udajemy. Zaznaczyłem naszą bazę czerwoną kropką. Tam, na północnowschodnim skraju, na samym koniuszku tego cypla. Gruhukén.

Gru-huken. „Huken” znaczy chyba hak, ale i łąd stały. Co może znaczyć „gru”, nie mam pojęcia.

Nic tam nie ma, tylko nazwa na mapie. Ogromnie mi się to podoba. Podoba mi się również to, że żadna z dotychczasowych trzech ekspedycji nie założyła obozu w tym miejscu. Chcę, żeby było tylko nasze.

W pociągu do Newcastle wszyscy byliśmy zdenerwowani. Mnóstwo soczystych żartów, których większości w ogóle nie rozumiałem. Gus próbował mi je tłumaczyć, ale odniosło to tylko taki skutek, że poczułem się jeszcze bardziej wyobcowany. W końcu dał sobie spokój, a ja wróciłem do gapienia się w okno.

Podróż pocztowym kutrem do Bergen i dalej na północ, wzdłuż wybrzeży Norwegii, była okropna. Algie i Hugo cierpieli na chorobę morską. Hugo wymiotował schludnie, jak kot, gruby Algie natomiast za każdym razem brudził nam cały bagaż. Gus sprzątał po nim bez słowa skargi; widać było, że od dawna łączy ich silna przyjaźń. Ja, dzięki Bogu, mam żołądek z żelaza, więc nie musiałem się martwić przynajmniej tą sprawą, ale co wieczór, kiedy przewracałem się z boku na bok na pryczy, śniło mi się, że wracałem do Marshalla Gifforda. Rankiem budziłem się mokry od potu i musiałem sam siebie przekonywać, że to nieprawda.

A teraz jesteśmy w Tromsø, skąd dziewięć lat temu Amundsen wystartował w swojej łodzi latającej i przepadł bez wieści. Tromsø: trzysta mil na północ za kołem polarnym. Moje pierwsze spotkanie ze słońcem o północy.

Niestety słońca nigdzie nie widać. Od wielu dni bezustannie siąpi wszechobecna mżawka. Tromsø to nieduże, ładne rybackie miasteczko z drewnianymi domami pomalowanymi na czerwono, żółto i niebiesko, jakby zbudowano je z dziecięcych klocków. Podobno otaczają je przepiękne, pokryte śniegiem góry; nie wiem, bo nie widziałem. Nie przejmuję się tym jednak. Podoba mi się tu wszystko, ponieważ to nie Londyn. Ponieważ jestem wolny. Uwielbiam wrzask mew i łoskot fal uderzających w kamienne

nadbrzeża portu. Zachwycam się słonym powietrzem i zapachem smoły, a najbardziej podoba mi się to światło: łagodne, wodniste, niegasnące ani na chwilę. Hugo powiada, że katolicy zapewne w taki właśnie sposób wyobrażają sobie czyściec, i może ma rację. Tu nie ma ani zmierzchu, ani świtu. Czas stracił znaczenie. Opuściliśmy świat rzeczywisty i wkroczyliśmy do krainy snów.

Rzecz jasna, mewy wrzeszczą całą dobę, bo nie potrafią odróżnić dnia od nocy, ale nawet to mi nie przeszkadza. Piszę przy rozsuniętych zasłonach, w środku dziwnej, perłowej „nocy”, która wcale nie jest nocą. Nie mogę spać. Ekspedycja naprawdę doszła do skutku. Wszystko, co robimy, czyni ją jeszcze bardziej realną.

Miałem rację, porównując Gusa do bohatera powieści dla chłopców. Ma silnie zarysowaną szczękę i błękitne oczy; bardzo poważnie podchodzi do obowiązków dowódcy. Co najzabawniejsze, wcale mnie to nie irytuje, być może dlatego, że zdaję sobie sprawę, że dla niego ta wyprawa znaczy niemal tyle, ile dla mnie. Wiele miesięcy temu zatrudnił brytyjskiego wicekonsula, niejakiego Armstronga, jako naszego agenta. A ten dobrze się spisał. Wynajął statek, którym popłyniemy do Gruhukén. Zaopatrzył nas w węgiel, łodzie i materiały potrzebne do zbudowania chaty i zgromadził je na brzegu, skąd będziemy mogli łatwo wszystko zabrać. Kupił też sanie i psi zaprzęg i załatwił zgodę norweskiego rządu na zimowanie. Wynajął dla nas pokoje w tutejszym Grand Hotelu, który w pełni zasługuje na tę nazwę.

Armstrong namawia nas, żebyśmy pogadali z naszym szyprem, panem Erikssonem, któremu coś się nie podoba w Gruhukén. Chyba nie uważa, żeby to było właściwe miejsce na założenie obozu. Mogę z satysfakcją stwierdzić, że nikt z nas nie ma najmniejszego zamiaru o tym z nim dyskutować, i że Gus dał mu to delikatnie do zrozumienia. Wybraliśmy to miejsce po dogłębnej analizie raportów dostarczonych przez wcześniejsze wyprawy i byle norweski łowca fok nie będzie nam tu mieszał. Jego zadanie polega wyłącznie na tym, by dostarczyć nas tam najpóźniej w sierpniu,

żebyśmy przed nastaniem zimy zdążyli zbudować drugi obóz, na polu lodowym.

26 lipca

To przerażające, ile pieniędzy wydajemy! W Londynie to Hugo był odpowiedzialny za sprawy finansowe i muszę przyznać, że doskonale sobie radził. Jego umiejętności perswazji nie powstydziliby się żaden prawnik; uzyskał atrakcyjne rabaty od wielu firm, które dostarczały nam wyposażenie, Ministerstwo Wojny zaś namówił, żeby za darmo udostępniło nam sprzęt radiowy. Pozostałe koszty pokrywaliśmy z „funduszu eksploracyjnego”, na który składały się dotacje od Uniwersyteckiego Klubu Odkrywców, Królewskiego Towarzystwa Geograficznego, a także datki osób prywatnych (zapewne głównie zamożnych ciotek). W sumie dało to kwotę trzech tysięcy funtów. Gus wciąż powtarza, że musimy być rozsądni, w związku z czym większość rzeczy kupujemy tu, w Norwegii, gdzie jest znacznie taniej. Jego poczucie rozsądku i moje nie mają jednak ze sobą wiele wspólnego.

W Newcastle kupiliśmy to, czego nie dostalibyśmy w Norwegii: proszek jajeczny, czekoladę, a także (z powodu prohibicji) alkohol, tytoń i papierosy. Wtedy właśnie przekonałem się, że zamożni ludzie mają zupełnie inną hierarchię wartości: co prawda płynęliśmy do Norwegii trzecią klasą, ale zabraliśmy skrzynię oksfordzkiej marmolady i dwie butelki szampana na święta.

W Tromsø zachowywaliśmy się jak dzieci w sklepie ze słodyczami. Piramidy dżemów, herbaty, kawy, mąki, soi, cukru i kakao. Owoce w puszkach, suszone warzywa, masło (nie margaryna; wątpię, czy tamci kiedykolwiek mieli ją w ustach) oraz skrzynie wypełnione po brzegi pemikanem, czyli specjalnie konserwowanym mięsem, dla nas i dla psów.

A nasze wyposażenie! Długa jedwabna (jedwabna!) bielizna, wełniane skarpety, rękawice, szale i swetry, kapoki, spodnie zwykłe i nieprzemakalne,



anoraki (coś w rodzaju kurtek z kapturem), gumowce, rękawiczki z końskiej skóry i kominiarki. Podczas największych chłódów miały nam służyć specjalne skórzane buty wyrabiane przez Lapończyków, nasmołowane i o parę numerów za duże, żeby można było wypchać je słomą.

Sfotografowaliśmy się w pełnym ekwipunku. Wyglądamy jak prawdziwi odkrywcy! Algie okrążył niczym jakiś Eskimos, Hugo i ja chudzi i ogorzali, jakbyśmy przez parę miesięcy dostawali zmniejszone racje żywnościowe. o Gusie zaś można by pomyśleć, że jest Skandynawem – kto wie, może młodszym bratem Amundsena?

Dopiero jednak zakupy pozostałego wyposażenia uświadomiły mi, na co się naprawdę porywamy. Namioty, śpiwory, amunicja, skóry reniferów (przypuszczalnie jako izolacja od podłoża), a przede wszystkim imponujący stos lamp naftowych, lamp czołowych i latarek elektrycznych. Teraz, w nieustającym blasku dnia, trudno w to uwierzyć, ale nadejdzie pora, kiedy zapadnie nieprzerwana ciemność. Na myśl o tym robi mi się jakoś dziwnie lekko na żołądku. W pewnym sensie nie mogę się tego doczekać – głównie dlatego, żeby sprawdzić, czy wytrzymam.

Bynajmniej nie zamierzamy żyć w spartańskich warunkach. Mamy skrzynię książek i gramofon, a nawet zastawę z chińskiej porcelany podarowaną przez mamę Algiego. Chwilami żałuję, że idzie nam tak łatwo, że to wygląda na zabawę, a nie na coś, co dzieje się naprawdę.

Skoro mowa o tym, co naprawdę: jutro z samego rana okrętujemy się na Isbjørna dowodzonego przez pana Erikssona. Kapitan jest doświadczonym łowcą fok i traperem, który już chyba z dziesięć razy zimował na Spitsbergenie. Jeszcze nigdy nie miałem do czynienia z traperami, ale znam ich z książek Jacka Londona. Oni też są naprawdę: walczą z naturą, polują na foki i niedźwiedzie polarne. W Norwegii mówi się o nich „prawdziwi myśliwi”. Przyznam, że trochę mnie to wszystko onieśmiela.

Z książek wynika, że złota era traperstwa przypadała na czas, kiedy Spitsbergen był jeszcze ziemią niczyją. Wciąż nie mogę tego zrozumieć.

Pomyśleć, że zaledwie kilka lat temu te dzikie wyspy leżące tak blisko Europy do nikogo nie należały, że każdy mógł na nich robić, na co tylko przyszła mu ochota! Cudowna sprawa. Skończyło się to jednak w roku 1925, kiedy wyspy przyłączono do Norwegii. Jakie opowieści krążą o tamtych czasach! Włóczące się wszędzie niedźwiedzie, śmiertelne wypadki na polach lodowych, ludzie tracący zmysły z powodu ciemności i osamotnienia, mordujący się wzajemnie, strzelający do kolegów... Jest nawet na to specjalna nazwa: rar. Armstrong bagatelizuje to zjawisko i określa je jako specyficzny nastrój, jaki ogarnia niektórych zimujących w Arktyce, niewiele różniący się od obsesyjnych zachowań znanych nam z codziennego życia, takich jak układanie zapalek albo częste odwiedzanie sklepów. Ja jednak wiem z książek, że to poważniejsza sprawa. Mówi się też o czymś, co nazywa się „Ishavet kaller”, czyli „zew Arktyki”, i jest skrajną postacią raru. Dotknięty tą przypadłością człowiek któregoś dnia po prostu rusza przed siebie i spada z najbliższego klifu.

Kiedyś, wcale nie tak dawno temu, na Wyspie Barentsa znaleziono w chacie czterech martwych ludzi. Umarli z głodu, mimo że mieli broń i mnóstwo amunicji. Autor książki, który opisał to zdarzenie, był zdania, że bali się wyjść za próg chaty. Za bardzo przerażała ich ciemność i pustka. To ciekawa hipoteza, ale przecież niczego nie wie się na pewno.

Rar. Ishavet kaller. Gorączka polarna. Wyczerpanie nerwowe. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego takie rzeczy zdarzały się dawniej, gdy polarnicy byli zupełnie odcięci od świata, ale teraz jest całkiem inaczej. Mamy gramofon i radio. I całe szczęście, bo przecież w porównaniu z tymi traperami jesteśmy zupełnymi amatorami. Z nas wszystkich tylko Algie był kiedyś w Arktyce, a i to niewiele – spędził jedynie sześć tygodni na polowaniu na Grenlandii. Trzeba realistycznie oceniać siły.

27 lipca, Isbjørn, gdzieś na Morzu Norweskim

Piszę to w mojej kajucie. W kajucie... Cuchnie foczym tłuszczem i jest niewiele większa od trumny, ale jednak. Za to Isbjørn jest piękny: rączy nieduży żaglowiec, dokładnie taki, jaki wyobrażałem sobie podczas lektury *Moby Dicka*, tyle że wyposażony w pięćdziesięciokonny silnik Diesla, plujący czarnym smolistym dymem. Jak zwykle precyzyjny Hugo poinformował mnie, że to dziewięćdziesięciostopowy słup (cokolwiek to znaczy) służący do polowań na fok, i że o takim właśnie jego przeznaczeniu świadczy bocianie gniazdo umieszczone mniej więcej w trzech czwartych wysokości masztu. Większą część kadłuba zajmują ładownie. Znalazło się tam także miejsce na salonik i cztery przylegające do niego kajuty. Zajmuję jedną z nich. Nie mam pojęcia, gdzie sypia załoga ani nawet jak jest liczna, ponieważ wszyscy wyglądają dla mnie tak samo. To wspaniałe nordyckie typy o bujnych brodach, w zaskakująco czystych strojach. Nie wiem, jakim cudem nie cuchną foczym tłuszczem, w przeciwieństwie do wszystkiego dokoła. Ten kwaśny, oleisty smród wsiąkł głęboko w drewno, czuć go nawet w wodzie pitnej. Hugo i Algie mają zielonkawą twarz, a i ja odczuwam lekkie mdłości.

O dziwo, udało nam się załadować wszystko na statek, a załoga nie upuściła żadnej ze skrzyń z moim sprzętem radiowym. Są teraz bezpieczne w ładowni, nie na pokładzie z psami.

Przeklęte psy. Wiem, że potrzebujemy ich do poruszania się po polu lodowym, wolałbym jednak, żeby tak nie było. Jeśli wierzyć Algiemu, naszemu samozwańczemu myśliwemu i poganiaczowi psów, eskimoskie husky są najsilniejsze i najbardziej odporne na zimno. Dlatego sprowadziliśmy je aż z Grenlandii. Osiem potężnych, brudnych bestii, poirytowanych ciasnotą i długą podróżą na kolejnych statkach. Ludzie z wyższych klas traktują psy niemal z religijnym nabożeństwem, nic więc dziwnego, że Gus, Hugo i Algie zachwycają się naszymi. Twierdzą, że są „całkiem przyjaźnie nastawione” i że z radością przywitały swoich nowych panów. Nie wiem, nie byłem przy tym. Nie lubię psów, a one nie lubią mnie.

Co prawda Gus twierdzi, że w końcu zdobędą moje serce, ale za bardzo bym na to nie liczył. Przypominają watahę wilków: obszarpane, z zębiskami, którymi potrafią zgnieść metalową miskę, z niepokojącymi, lodowatobłękitnymi oczami. A do tego są przebiegłe. W trakcie załadunku jeden z nich wyciągnął łapą skobel i uciekł z klatki. Po długotrwałej, szaleńczej pogoni po całym porcie w końcu wskoczył do wody, gdzie pływał w kółko, wyjąc przeraźliwie, aż wreszcie został wyłowiony. Algie powiada, że husky boją się wyłącznie morza. Jeśli tak, to dlaczego ten pies wskoczył do niego?

Sądziłem, że odbędą podróż w ładowni, pozostali doszli jednak do wniosku, że byłoby to okrucieństwem, puszczono je więc luzem na pokładzie. Wylegują się na zwojach lin albo wałęsają między skrzyniami. Niezbyt uśmiecha mi się perspektywa pięciodniowej żeglugi w towarzystwie ich zębatych paszczy. Czytałem gdzieś, że na Grenlandii, jeśli prowadzący sanie spadnie w śnieg przed psy, te pożerają go żywcem. Algie mówi, że to bzdura, ale skąd może wiedzieć na pewno?

### Później tego samego dnia

To, co się zdarzyło, wciąż nie daje mi spokoju, spróbuję więc wszystko uporządkować.

Do tej pory prawie nie widywaliśmy kapitana, dlatego gdy pojawił się na kolacji, wszyscy byliśmy nieco onieśmieleni. Wygląda jak wiking o przenikliwych szarych oczach i ze zmierzwioną brodą. Ma stalowy uścisk dłoni i mówi do mnie „profesorze”. Nie tylko do mnie, do każdego z nas zwraca się w ten sposób. Nie mam pojęcia, czy sobie z nas żartuje, czy mówi poważnie.

Czuliśmy się jak uczniowie jedzący kolację w towarzystwie dyrektora szkoły. Salonik jest ciasny, ciepły i trochę cuchnący, ale nienagannie czysty. Czuć w nim i słychać nieustające dudnienie silnika. Na kolację podano

pyszną duszoną rybę oraz kawę taką, jaką pijają Norwegowie: koszmarne mocną, bez żadnych wymyślnych dodatków, takich jak mleko albo cukier.

Nie ulega wątpliwości, że twardy gość z kapitana Erikssona. Zapewne potrafi sporo wypić, a jak już sobie popije, sypie jak z rękawa sprośnymi dowcipami, ale i tak go lubię. I szanuję. Przyszedł na świat w biedzie. Nie w takiej biedzie jak ja, lecz w autentycznej, rozpaczliwej, beznadziejnej wiejskiej biedzie. W wieku jedenastu lat zaczął polować na fokki, aż w końcu został kapitanem i współwłaścicielem Isbjørna. Trzeba przyznać, że odnosi się do nas bez zazdrości lub pogardy; traktuje nas po prostu jak młodych, zamożnych dżentelmenów, którym z niewiadomych powodów przyszedł do głowy pomysł, żeby spędzić rok w dziczy na badaniu zjawisk pogodowych.

Temat Gruhuken pojawił się tylko raz, za sprawą Gusa, dowódcy naszej wyprawy.

– Panie Eriksson – powiedział pod koniec posiłku. – Nawet pan nie wie, jak bardzo się cieszymy, że pański wspianiały statek będzie naszym domem podczas podróży aż do Gruhuken.

Uprzejmy, ale zarazem stanowczy ton nadawał tej wypowiedzi jednoznaczne przesłanie: płyniemy do Gruhuken i żadne pańskie zastrzeżenia nie mogą tego zmienić. Uśmiech znikł z twarzy Norwega, lecz kapitan nie podjął wyzwania.

– Tak, to dobry statek – wymamrotał, opuściwszy wzrok i skubiąc wąs. – Mam nadzieję, że wam się spodoba.

Ukradkiem wymieniliśmy spojrzenia, a Gus z satysfakcją skinął głową. Doskonale. Sprawa załatwiona. Później jednak zauważyłem, z jak poważną miną przygląda się nam pan Eriksson. Kiedy spojrzał na mnie, uśmiechnąłem się, lecz nie odwzajemnił uśmiechu. Bez względu na to, jakiej natury są jego zastrzeżenia, cieszę się, że zachował je dla siebie, ponieważ wcale nas nie interesują. Nie chcemy, żeby cokolwiek pokrzyżowało nam plany.

Przy papierosach (pomysł Hugona na dyplomatyczne przełamanie

lodów) zamierzałem zapytać kapitana, jak to jest, kiedy spędza się zimę na arktycznym pustkowiu, ale jakoś nie mogłem się na to zdobyć. Ogarnęło mnie takie samo uczucie jak wtedy, kiedy byłem małym chłopcem i chciałem zapytać ojca o Wielką Wojnę. Nie mogłem tego zrobić, podobnie jak teraz, bo chyba przeczuwałem, że niczego nie osiągnę, że nie usłyszę tego, co mnie naprawdę interesuje.

Na szczęście gruby Algie nie miał takich obiekcji. Niczym ogromny labrador prostolinijnie zmierzał do celu. O dziwo, pan Eriksson chętnie się przed nami otworzył... albo przynajmniej stwarzał takie wrażenie. Zauważyłem bowiem, że chętnie opowiada o innych, ale nigdy o sobie. Najciekawsza historia dotyczyła trapera, który zimował z towarzyszem w maleńkiej chacie na wybrzeżu Ziemi Północno-Wschodniej. W połowie nocy polarnej, którą pan Eriksson nazywał „wielką ciemnością”, jego kompan zachorował i umarł. Traper nie mógł go pochować, ponieważ ziemia była zamrznięta na kość, nie mógł też usypać nad ciałem kopca z kamieni, by nie przyciągnąć uwagi niedźwiedzi. Wobec tego zostawił zwłoki w chacie i przez dwa miesiące mieszkał z trupem. Uratował go dopiero statek przepływający w pobliżu.

Kiedy pan Eriksson zakończył opowieść, zapadła cisza pełna powagi.

– A kiedy go znaleźli... – przerwałem ją po jakimś czasie – wszystko było z nim w porządku?

– Naturalnie.

– Ale przecież... Dwa miesiące... Jak sobie poradził?

– Śpiewał, czytał Biblię... – Spojrzał mi prosto w oczy i zarechotał. –

Nie wszyscy tracą zmysły, profesorze.

Zarumieniłem się.

– Chodziło mi tylko o to, że pewnie było mu bardzo ciężko.

– Ciężko? *Ja...*

*Ja*, czyli „tak”, powiedział w taki sposób, w jaki czynią to Skandynawowie, na wdechu, przez co słowo to przypomina stłumione,

zdziwione westchnienie.

Hugo pochylił się do przodu i przeszył Norwega swoim inkwizytorskim wzrokiem.

– Ja jednak chciałbym wiedzieć, po co to robił. Dlaczego zdecydował się na coś, co groziło śmiertelnym niebezpieczeństwem?

Eriksson wzruszył ramionami.

– Niektórzy są biedni. Mają kłopoty. Pragną szacunku.

– A pan? – zapytałem. – Dlaczego pan to robi?

Zmarszczył brwi.

– Hm... Nie wiem. Może dlatego, że na takiej otwartej przestrzeni człowiek może oddychać pełną piersią?

Gus skinął głową.

– Pewnie było jeszcze lepiej wtedy, kiedy ta ziemia do nikogo nie należała?

– Ziemia niczyja... – mruknąłem, po czym zapytałem kapitana, czy tęskni do tamtych czasów.

I właśnie wtedy to się stało. Pan Eriksson znieruchomiał z kubkiem w połowie drogi do ust i spojrzał na mnie. Twarz mu skamieniała, oczy były pozbawione wyrazu. Wszyscy to zauważyli, nawet Algie. Przemknęła mi przez głowę niespokojna myśl, czy czymś go rozgniewaliśmy. Wydawało mi się, że podejrzewa mnie, że starałem się nadać moim słowom podwójne znaczenie.

– Miałem na myśli całkowitą wolność, pełną swobodę wyboru celu i trasy wędrówki – wyjaśniłem pospiesznie. – To z pewnością wspaniałe uczucie, nieprawdaż?

Kapitan ocknął się, opuścił wzrok i pokręcił głową.

– Nie – odparł lakonicznie.

Zapadło niezręczne milczenie. Zaraz potem Hugo zmienił temat rozmowy, a parę minut później pan Eriksson odstawił kubek i wrócił na mostek. Opisałem to zdarzenie tak szczegółowo, ponieważ wciąż staram się

je zrozumieć. Lubię naszego kapitana i z pewnością nie chciałbym go urazić. Nie pojmuję, w jaki sposób mogłem to uczynić. Czyżbym dotknął jakiejś niezagojonej rany? A może on po prostu uważa nas za głupców, za młodych zwariowanych dżentelmenów, nieświadomych tego, na co się wazą? Być może opowieść o traperze miała być dla nas ostrzeżeniem. Ale my przecież jesteśmy doskonale przygotowani i dobrze wiemy, na co się porywamy.

Bez względu na to, ile jeszcze takich historii nam opowie, nie lękam się niczego, co spotka nas w Gruhuken. Wręcz przeciwnie: nie mogę się tego doczekać.



## 29 lipca, Morze Barentsa

Teraz już wiem, że naprawdę znalazłem się w Arktyce. Od dwóch dni płynęliśmy we mgle i w deszczu. Mimo to, szczelnie okutani, wychodziliśmy na pokład, ale było widać jedynie szare morze stapiające się z szarym niebem. Pan Eriksson prawie się nie pokazywał. Po tamtej kolacji pierwszego dnia podróży większość posiłków spożywał w swojej kajucie, kiedy zaś wychodził na pokład, zawsze był czymś zajęty. Morze się uspokoiło, statek kołysał się łagodnie, a Hugona i Algiego nie męczyła już choroba morska. Przywykliśmy także do woni foczego tłuszczu. Przestało nas mdlić, ale wszyscy mieliśmy nie najlepsze nastroje.

A teraz pojawił się lód.

Zdaniem pana Erikssona to pas dryfującej kry szerokości kilku mil. Nie mamy się czego obawiać, dla „Isbjørna” bowiem to żadna przeszkoda. Mimo to wrażenie jest doprawdy niezwykle. Poczulem się dziwnie, kiedy z mgły wyłoniły się wielkie, poszarpane lodowe tafle, przypominające rozsypane fragmenty ogromnej układanki. W zagłębieniach na ich powierzchni gromadzi się błękitna woda z roztopionego lodu. Nie sądziłem, że widok będzie tak piękny. Z wrażenia aż zaschło mi w gardle.

Pan Eriksson kazał wyłączyć silnik. Wychylony za burtę, spoglądałem z góry na kołyszące się białe zręby. W pewnej chwili usłyszałem zagadkowy odgłos: trzaski i pyknięcia, niezbyt głośne, ale trwające niemal bez przerwy. Zapytałem innych, czy też to słyszą.

– To uwięzione w lodzie pęcherzyki powietrza – wyjaśnił Hugo. – Pękają pod wpływem ruchu fal i powietrze wydostaje się na zewnątrz.

– Zupełnie jakby lód mówił coś do siebie... – wyszeptalem.

Hugo z uśmiechem pokręcił głową, a gruby Algie wybałuszył na mnie

oczy, jak gdyby obawiał się, że postradałem zmysły. Gus rzucił mi spojrzenie z ukosa.

– Mnie też przyszło to do głowy – przyznał.

Po jakimś czasie tamci znudzili się i poszli. Zostaliśmy we dwóch.

Gus wychylił się za burtę. Wiatr rozwiewał jego jasne włosy.

– To nasz pierwszy lód – powiedział cicho. Skinąłem głową. – Niezły, prawda? – Wspaniały. – Przepraszam. Tak naprawdę to właśnie miałem na myśli. Westchnął. – Wiesz co, Jack? Czasem bywasz odrobinę przewrażliwiony. – Naprawdę? – Tak. Mnie na przykład ani trochę nie obchodzi, jakich słów używasz.

– Może na moim miejscu myślałbyś inaczej...

– Może, ale posłuchaj. – Skierował na mnie poważne spojrzenie błękitnych oczu. – Posłuchaj i uwierz mi, naprawdę nie obchodzi mnie, jakimi słowami się posługujesz. Interesuje mnie tylko to, co chcesz przekazać. A zresztą nie wydaje ci się, że wobec tego... – zatoczył ręką szeroki krąg – że wobec tego wszystkiego i tak nie ma to najmniejszego znaczenia?

– Wydaje mi się, że sprawa jest trochę bardziej skomplikowana – odparłem. – To, z jakiej klasy pochodzisz, ma znaczenie, bo pieniądze mają znaczenie.

– Wiem, ale...

Nie pozwoliłem mu dojść do głosu.

– Niczego nie wiesz. Masz dwudziestopięciopokojowy dwór w West Country i trzy samochody. Co możesz wiedzieć? Co możesz wiedzieć o tym, jak to jest, kiedy człowiek nagle traci szansę na sensowne życie?

– Przecież ty nie straciłeś szansy...

– Owszem, straciłem! – Ogarnął mnie gniew. – Kiedyś mojej rodzinie wiodło się nie najgorzej. Nie tak jak twojej, ale żyliśmy przyzwoicie. Mój ojciec był nauczycielem łaciny. Został zagazowany na froncie i po powrocie z wojny nie mógł już pracować. Musieliśmy się przeprowadzić, a ja

poszedłem do szkoły, w której zamiast „wspaniale” mówi się „nieźle”. Potem ojciec zachorował na gruźlicę i umarł, ale mama nie dostała wojskowej renty, bo armia uznała, że gruźlica ojca nie miała nic wspólnego z gazami na froncie. A jeszcze później nadeszła recesja... Dałem sobie spokój z fizyką i zostałem cholernym urzędniczyną...

Głos uwiązał mi w gardle.

– Nie wiedziałem... – wyszeptał Gus.

– Ale teraz już wiesz, więc nie traktuj tego tak, jakby to nie miało żadnego znaczenia.

Na tym skończyła się nasza rozmowa. Gus obracał sygnet na małym palcu, ja zaś wstydzilem się i byłem na siebie wściekły. Co we mnie wstąpiło, żeby tyle gadać?

## Później

Przez cały dzień przedzieraliśmy się przez lód. Jestem zachwycony niebezpieczeństwem i czystością tego doznania.

Człowiek w bocianim gnieździe wskazywał kierunek, a pan Eriksson sterował płynącym powoli Isbjørnem. W pewnej chwili wyłączył silnik, załoga spuściła na wodę szalupę i kilku ludzi wypłynęło łowić ryby. Pozostali zeszli po drabinie na krę wielkości boiska piłkarskiego, żeby napęnić beczki wodą z roztopionego lodu. Psy zeskoczyły za nimi z pokładu i zaczęły ganiać jak szalone, a my poszliśmy niebawem w ich ślady. Doprawdy, trudno w to uwierzyć: jeszcze kilka dni temu byłem w Londynie, a teraz stoję na krze lodowej na Morzu Barentsa!

Podczas gdy moi towarzysze bawili się z psami, ja podszedłem do krawędzi kry. Termometr na pokładzie wskazywał zaledwie kilka stopni poniżej zera, ale tu, na lodzie, było znacznie zimniej. Oddech ranił mi gardło, czułem, jak naciąga się skóra na mojej twarzy, i po raz pierwszy w życiu zacząłem traktować chłód jako zagrożenie. Fizyczne zagrożenie. Pod

stopami miałem twardy, solidny lód, lecz zdawałem sobie sprawę, że zaledwie kilka cali niżej jest woda tak zimna, że gdybym do niej wpadł, najdalej po kilku minutach byłbym trupem, a tym, co mnie od niej dzieli, jest... także woda.

Zrobiłem jeszcze krok naprzód i spojrzałem w dół. Woda była szklistozielona, wręcz niewiarygodnie przejrzysta. Doznałem uczucia, jakie ogarniało mnie czasem, kiedy stałem na krańcu peronu: nie miałem najmniejszego zamiaru zrobić kroku poza krawędź, a równocześnie zdawałem sobie sprawę, że w każdej chwili mogę to uczynić i że powstrzymuje mnie przed tym wyłącznie moja wola.

Jakiś kształt przesunął się w głębinie i znikł pod lodem. Natychmiast zacząłem rozmyślać o rozlicznych stworzeniach, polujących w mroku pod moimi stopami.

Piszę te słowa o północy, a my nadal płyniemy wśród lodu. Czuję każdą zmianę kierunku, słyszę każde uderzenie kry w burtę, nagłe przyspieszenie, kiedy wypływamy na czystą wodę, wzmożony ryk silnika, gdy odpychamy na bok mniejsze kry. W moich uszach rozbrzmiewa głos rozmawiającego ze sobą lodu.

Gus chciał mi chyba powiedzieć, że tu, w Arktyce, pochodzenie społeczne nie odgrywa żadnej roli. Moim zdaniem nie miał racji. To zawsze i wszędzie jest ważne. Choć może tutaj nie aż tak bardzo, jak gdzie indziej.

## 31 lipca, Spitsbergen

Rankiem uwolniliśmy się z lodu, a pan Eriksson powiedział, że już minęliśmy Sorkapp, kraniec Spitsbergenu najdalej wysunięty na południe. Mgła była zbyt gęsta, żebyśmy mogli cokolwiek zobaczyć. Przez cały dzień kuliliśmy się z zimna na pokładzie w nadziei, że dostrzeżemy choć kawałek ładu. Robiło się coraz zimniej, więc co jakiś czas biegliśmy do kajut i wkładaliśmy kolejną warstwę ubrań. I wciąż nic.

Nasza cierpliwość została wynagrodzona krótko po północy. Mgła się przerzedziła, i choć niebo wciąż było zachmurzone, słońce przeświecające przez obłoki oświetliło stłumionym, zielonkawym blaskiem dziki krajobraz.

Holenderscy wielorybnicy w szesnastym wieku nadali mu właściwą nazwę: Spitsbergen, czyli „spiczaste góry”. Ujrzałem ostre, poszarpane szczyty pokryte śniegiem, wznoszące się nad wylotem fiordu. Woda była czarna, gładka jak lustro, poznaczona białymi górami lodowymi. Nieco dalej do morza zsuwało się czoło ogromnego, poszarpanego lodowca. A wszystko wydawało się trwać w niewiarygodnym bezruchu.

Hugo z niedowierzaniem kręcił głową. Nawet Algie wydawał się przejęty.

– Czy wiecie, że jest pierwsza w nocy? – zapytał cicho Gus.

Chciałem coś powiedzieć, ale nie mogłem. W życiu nie widziałem czegoś takiego. Widok był... przytłaczający? Nie, to niewłaściwe słowo. Czulem się po prostu zbędny. Cała ludzkość wydawała mi się zbędna. Ciekawe, czy w Gruhuken będzie tak samo.

Hugo, zapalony glaciolog, poprosił pana Erikssona, by ten skierował statek w głąb fiordu, bliżej czoła lodowca. Zadzierając głowy, podziwialiśmy poryte lodowe ściany i jaskinie wypełnione tajemniczym błękitem. Z wnętrza dobiegały zagadkowe trzaski i jęki, jakby jakiś olbrzym pracował ciężko, by wydostać się z pułapki. Nagle rozległ się huk bardzo podobny do wystrzału, wielki kawał lodu runął do wody, wzbijając w górę fontanny piany, a zaraz potem statkiem zakołysała łagodna fala. W miejscu, w którym lodowa bryła wpadła do morza, woda przybrała mleczny, bladozielony odcień. Trzaski i jęki nie ustawały ani na chwilę. Teraz już wiem, dlaczego przez wieki uważano, że Spitsbergen zamieszkują duchy.

W miarę jak posuwaliśmy się na północ wzdłuż brzegu, uświadamiałem sobie coraz wyraźniej, że pomimo wszystkich lektur popełniłem klasyczny błąd: wyobrażałem sobie Arktykę jako jałową pustynię. Wydawało mi się, że skoro lasy zostały daleko na południu, ujrzemy tam tylko lód i skały, a

oprócz tego najwyżej parę morskich ptaków albo fok. Nie spodziewałem się ujrzeć tylu oznak życia.

Na górach lodowych siedziało mnóstwo mew, które od czasu do czasu podrywały się w powietrze nieprzeliczonymi chmarami i z wrzaskiem polowały na ryby. Przez zieloną łąkę przemknął lis z maskonurem w pysku. Renifery podnosiły głowy ozdobione porożem i śledziły nas wzrokiem. Na falach przewalały się morsy; jeden z przeraźliwym parsknięciem wynurzył się nagle tuż przy burcie i spojrzał na mnie sennymi brązowymi oczami. Tu i tam foki wystawiały na powierzchnię okrągłe głowy i przyglądały nam się z takim samym zdziwieniem, jak my im. Algje zastrzelił jedną, ale utonęła, zanim zdołaliśmy wciągnąć ją na pokład. Z pewnością zastrzeliłby też jakiegoś renifera, gdyby nie to, że te zwierzęta są pod ochroną. Mam wrażenie, że lubi zabijać.

Minęliśmy klif, na którym rozsiadły się tysiące morskich ptaków. Mewy wrzeszczały przeraźliwie, skalne ściany odbijały echem dziwne, przypominające grzechotanie, okrzyki czarnych ptaków o krótkich skrzydłach; jeśli wierzyć Gusowi, to są nurzyki. Gus twierdzi też, że te, które wziąłem za zwykłe mewy, w rzeczywistości są mewami trójpalczastymi, a wikingowie wierzyli, że ich krzyki to zawodzenie potępionych dusz.

Na wielu plażach leżą wysrebrzone drewno, przyniesione przez prądy morskie aż z Syberii, a także kości: ogromne, wykrzywione żebra wielorybów spoczywające tu od dziesiątków lat. Pan Eriksson powiada, że tu, daleko na Północy, wszystko co martwe trwa latami.

Są też inne, mniej malownicze pozostałości: opuszczone kopalnie, zrujnowane chaty... W jednym miejscu dostrzegłem kopiec z kamieni i sterczący z niego słup z przybitą poprzeczną belką. Sądziłem, że to grób, lecz inni wyjaśnili mi, że to jedynie znak własności. Nie podobają mi się te ślady zostawione przez ludzi. Nie chcę, by mi przypomniano, że Spitsbergen przez setki lat był intensywnie eksploatowany. Wielorybnicy, górnicy,

traperzy, nawet turyści... Dzięki Bogu, teraz pozostało na nim zaledwie kilka niewielkich osad, a my szczęśliwie będziemy omijać je wszystkie z daleka.

Tuż przed kolacją pan Eriksson dostrzegł na wyspie coś interesującego i skierował statek bliżej brzegu.

Początkowo widziałem tylko kamienistą plażę usianą drewnem wyrzuconym przez morze. Potem zauważyłem przypominające plamę, różowawe ciało martwego morsa. Leżał na grzbiecie, z żółtymi kłami wycelowanymi w niebo. Wydawał się dziwnie płaski, przypominał ogromną piłkę, z której ktoś spuścił powietrze. Dopiero po chwili zrozumiałem, dlaczego: coś wygryzło mu dziurę w brzuchu i częściowo wyżarło go od środka.

Zza pobliskiego głazu wyłonił się niedźwiedź polarny, przeciągnął się i wysunął długą szyję, żeby lepiej poczuć naszą woń.

Było to moje pierwsze spotkanie z królem Arktyki. W niczym nie przypominał śnieżnobiałego kolosa z moich wyobrażeń. Krew i wnętrzności morsa zabarwiły jego futro na brunatny kolor, głowa i kark były niemal czarne. Nie widziałem jego oczu, lecz wiedziałem, że na mnie patrzy. Po raz pierwszy w życiu poczułem się jak potencjalna zdobycz. Jeszcze nigdy nie byłem obserwowany tak uważnie przez stworzenie, które zabiłoby mnie, gdyby tylko nadarzyła się okazja. Patrzyłem na nie, a na mnie patrzyła śmierć.

Padł strzał, niedźwiedź odwrócił głowę. Algie wycelował ponownie, ale zanim zdążył znowu nacisnąć spust, niedźwiedź niespiesznie odszedł.

Zabij albo zostaniesz zabity. Do tego się tu wszystko sprowadza. Jakoś jednak wcale mnie to nie przeraża. Są w tym prawda i ponure piękno. Myślę, że to właśnie znaczy dla mnie Arktyka. Myślę, że tu będę „oddychać pełną piersią”, jak mawia pan Eriksson. Że odzyskam ostrość widzenia. Że po raz pierwszy uda mi się ujrzeć rzeczy takimi, jakimi są naprawdę.

## 4

1 sierpnia, fiord Advent, niedaleko Longyearbyen

Katastrofa. Hugo potknął się o zwój lin i złamał nogę. Wszyscy natychmiast włączyli tryb awaryjny: kamienne oblicza, udawany spokój. „Nie martw się, chłopie, szybko doprowadzimy cię do porządku”. Nie było nikogo, kto odważyłby się głośno powiedzieć o konsekwencjach. Zanieśliśmy go do kajuty, wcześniej pierwszy oficer usztywnił mu nogę. Pan Eriksson z nieprzeniknionym wyrazem twarzy zawrócił statek i obrał kurs na Longyearbyen.

Pierwszy oficer zrobił, co mógł, a kiedy wyszedł, we trzech wcisnęliśmy się do kajuty Hugona i z całych sił przekonywaliśmy go, że wcale nas nie zawiódł i nie naraził na fiasko całej ekspedycji.

– Co za głupota! Co za cholerna głupota! – powtarzał, waląc pięścią w materac.

Ciemne włosy, mokre od potu, przykleiły mu się do skroni, twarz miał zaróżowioną po dawce kokainy z okrętowej apteczki.

– To nie twoja wina – powiedział Gus bez przekonania.

– Jasne, że nie twoja! – poparł go Algie.

Dołączyłem do chóru, ale trochę zbyt późno. Hugo z pewnością to zauważył, lecz nic mnie to nie obchodziło. Byłem na niego wściekły. Algie roześmiał się nerwowo.

– Zdaje się, że mamy pecha. Najpierw Teddy, teraz Hugo...

– Jak to miło, że zechciałeś powiedzieć coś, o czym wszyscy dobrze wiemy! – warknął Gus.

Na jakiś czas zapadła cisza. Przerwał ją Hugo:

– Słuchajcie, co zrobimy. Wysadzicie mnie w Longyearbyen. Jak mnie już tam opatrzą, skontaktuję się ze sponsorami i wrócę do domu pierwszym



statkiem. Wy... – Zadarł hardo głowę. – Wy, panowie, ruszycie dalej beze mnie.

Znowu cisza. Nikt nie chciał przyznać, że każdy już wcześniej pomyślał o tym samym. Algie nerwowo przesunął dłońią po rudych włosach.

– Ale przecież ty jesteś naszym specjalistą od lodu! Kto zamieszka w obozie na polu lodowym?

– Naturalnie musimy z niego zrezygnować. – Co takiego? A co z psami? Gus rozłożył ręce. – Chyba będzie nam łatwiej bez nich – odezwałem się. – Zapytałem już pana Erikssona, czy mógłby sprzedać je w Longyearbyen, ale powiedział, że kierownik kopalni ma pełen zaprzęg. Jego zdaniem... – Zawahałem się. – Jego zdaniem powinniśmy się ich pozbyć.

Chóralny sprzeciw i powszechne oburzenie. Jak mogłem choć przez chwilę rozważać taką możliwość? Przecież psy na pewno nam się przydadzą: mogą towarzyszyć Algiemu podczas wypraw geologicznych, odstraszać niedźwiedzie... Moja sugestia została jednomyślnie odrzucona.

– W takim razie wszystko jasne – powiedział Hugo i skrzywił się, poprawiając się na koi. – Ja wracam do domu, wy jedzicie dalej beze mnie. Z psami. Zgoda?

Nikt nie chciał potwierdzić jako pierwszy.

Godzinę temu zostawiliśmy nieszczęsnego Hugona w „Sykehus” w Longyearbyen. Jutro turystyczny jacht zabierze go z powrotem do Tromsø. Będzie mi go brakowało. Myślę, że moglibyśmy zostać przyjaciółmi. Wolałbym, żeby to gruby Algie złamał nogę. Hugo nie chciał, żebyśmy z nim czekali, z czego nawet się ucieszyłem. Wydawało mi się, że w Longyearbyen byliśmy tak samo nie na miejscu jak ci turyści z jachtu. Boże, cóż to za dziura! Żałosna osada zamieszкана przez jakichś pięćset dusz. Tylko tyle zostało po wielkiej arktycznej „gorączce węgla”! Kilkadziesiąt lat temu garstka badaczy natrafiła na obfite złoża i natychmiast doszła do głosu ludzka chciwość. Kolejne kraje ubiegały się o prawo eksploatacji, firmy wydobywcze wyrastały jak grzyby po deszczu i zarabiała miliony na samych

nadziejach i oczekiwaniach. Większość zbankrutowała albo została wykupiona za psie pieniądze przez Norwegów, którzy teraz zarządzają resztkami tego biznesu.

Jeśli wierzyć książkowym informacjom, w Longyearbyen są elektryczność i bieżąca woda z lodowca, a także klub bilardowy i łaźnia. Ja widziałem tylko obskurne baraki u stóp ponurych szarych gór, kolejkę wąskotorową, okalającą je jak paskudny naszyjnik, z metalowymi wagonikami wypełnionymi węglem, jedną jedyną zaśmieconą ulicę, na której bezustannie przesiadywały stada wrzaskliwych mew, drewniany kościółek i kilkanaście nagrobków na wzgórzu. Wracając na statek, minęliśmy grupę górników, którzy udawali się do „miasta”. Jeden z nich zwrócił ku mnie twarz czarną od węglowego pyłu i wbił we mnie gniewne, dzikie spojrzenie przekrwionych oczu. Prawie nie przypominał człowieka. Wydawał się zdolny do wszystkiego. Ogarnął mnie lęk, a zaraz potem wstyd.

Wydaje mi się nie w porządku, że na Spitsbergenie są takie miejsca. Cieszę się, że Gruhuken jest daleko stąd. Nie chciałbym, żeby przesiąkło tą atmosferą.

## 2 sierpnia, w pobliżu przylądka Mitra, północno-zachodni Spitsbergen

Najpierw Hugo, a teraz to... Przeklęty Eriksson! Przez niego nasza wyprawa stanęła pod znakiem zapytania. Dlaczego to zrobił? Nie podał żadnego powodu.

Dziś rano byliśmy z Algiem na pokładzie, kiedy Gus zawołał nas na dół, do saloniku. Od razu domyśliliśmy się, że stało się coś niedobrego. Eriksson siedział bez słowa, z dłońmi położonymi płasko na stole. Gus miał zaciśnięte usta i z trudem powstrzymywał gniew.

– Ach, jesteście – wycedził na nasz widok. – Powinniście chyba

wiedzieć, że pan Eriksson nie chce dowieźć nas do Gruhuken.

Wytrzeszczyliśmy oczy na kapitana, lecz on unikał naszego wzroku.

– Powiedział, że dostarczy nas do Raudfiordu, ale nie dalej.

– Przecież to czterdzieści mil od celu! – wykrzyknął Algie.

– Co więcej – ciągnął Gus – kapitan utrzymuje, że takie rozkazy otrzymał na początku, i że nigdy w życiu nie słyszał o żadnym Gruhuken.

Zdumiała mnie bezczelność tego kłamstwa, ale Norweg nie zamierzał się z niego wycofać. Uparcie twierdził, że wynajęliśmy go, żeby zawiózł nas do Raudfiordu. Tłumaczyliśmy mu, że to absurd, a on odparł, że Raudfiord to doskonałe miejsce na zimowanie. Wyjaśniliśmy, że nie ma tam pól lodowych, po cóż mielibyśmy wieźć sanie i psi zaprzęg, gdybyśmy chcieli tam zimować? Kapitan tylko wzruszył ramionami i powtórzył, że jego statek wynajęto na rejs do Raudfiordu, dlatego popłynie tam i ani mili dalej.

Sytuacja zrobiła się patowa. Algie mamrotał pod nosem jakieś bzdury o procesie, Gus sapał z wściekłości, Norweg siedział z założonymi rękami i mierzył nas ponurym wzrokiem. Wyczułem, że wcale nie jest zadowolony z tego, co robi. Chętnie wywiązałyby się z umowy, dlaczego więc zdecydował inaczej? Zanim zdążyłem się odezwać, Gus oparł na stole obie dłonie i pochylił się w stronę kapitana. Jego dobre maniere ulotniły się bez śladu. Do głosu doszedł przekazywany z pokolenia na pokolenie nawyk wydawania rozkazów.

– Słuchaj no, Eriksson! – wycedził. – Wykonasz pracę, której się podjąłeś. Zawieziesz nas do Gruhuken, jasne?

Biedny Gus! Być może takie popisy odnoszą skutek w posiadłości jego ojca, na Erikssonie jednak nie wywarły najmniejszego wrażenia. Norweg siedział bez słowa, nieruchomy jak głaz. Postanowiłem spróbować szczęścia.

– Panie Eriksson, czy pamięta pan naszą pierwszą noc na pokładzie? Zapytałem, dlaczego zdecydował się pan zimować na Spitsbergenie, a pan odpowiedział, że tu człowiek może oddychać pełną piersią. Ja rozumiem to tak, że jest wolny, że sam podejmuje decyzje. Czy mam rację?

Nie odpowiedział, ale widziałem, że słucha uważnie.

– Nie rozumie pan, że z nami jest tak samo? – ciągnąłem. – Długo zastanawialiśmy się nad wyborem miejsca na obóz, aż w końcu zdecydowaliśmy się na Gruhukén. Wybraliśmy je. Podjęliśmy decyzję.

– Nie wiecie, co robicie! – warknął.

– Coś takiego!

– Myślałby kto! – wykrzyknęli niemal równocześnie Gus i Algie.

Nie odrywając wzroku od twarzy kapitana, nakazałem im gestem milczenie.

– Co pan przez to rozumie? – zapytałem.

– Po prostu nie wiecie i tyle.

– W takim razie może zechce nas pan oświecić? Jest pan przecież człowiekiem honoru, a mimo to cofnął pan dane słowo. Dlaczego? Dlaczego nie chce pan zabrać nas do Gruhukén? Co jest nie w porządku?

Poczerwieniał na twarzy i wbił we mnie spojrzenie ostre jak sztylet. Przez chwilę wydawało mi się, że coś powie, on jednak nagle zerwał się na równe nogi i z całej siły uderzył obiema pięściami w stół.

– *Helvedes fand!* Niech będzie, skoro tak bardzo chcecie. Płyniemy do Gruhukén!

### 3 sierpnia, u brzegu Gruhukén

W zatoce zostało trochę kry, ale zdecydowana większość wody jest wolna od lodu, więc pan Eriksson kazał rzucić kotwicę sto jardów od brzegu. Chcieliśmy natychmiast zejść na ląd, by rozejrzeć się po okolicy, on jednak stwierdził, że już na to za późno, i że załoga jest zmęczona. Po wczorajszym starciu uznaliśmy, że lepiej będzie z nim nie zadzierać.

Po kolacji wyszedłem na pokład, by słuchać, jak lód rozmawia ze sobą. Mam wrażenie, że tutaj brzmi to trochę inaczej niż na południe stąd. Dźwięki wydają się głośniejsze i ostrzejsze... albo to moja wyobraźnia.

Chociaż mgła i zachmurzenie nie ustępowały, żegluga wzdłuż wybrzeża i dokoła północno-zachodniego przylądka przebiegła bez najmniejszych problemów. Kiedy skręciliśmy na wschód, nasze zniecierpliwienie wzrosło. Jeszcze tylko kilka mil. Gus i Algie wychylali się za burtę, wyszukując na brzegu charakterystyczne punkty zaznaczone na mapie. Podszedłem do koła sterowego, by jeszcze raz porozmawiać z kapitanem.

– Panie Eriksson... – odezwałem się, bez powodzenia starając się nadać głosowi obojętne brzmienie.

– Tak, profesorze? – Nie odrywał wzroku od morza.

– Proszę mi wierzyć, że nie mam zamiaru pana urazić – zacząłem ostrożnie. – Nie sugeruję też, że postąpił pan wobec nas nieuczciwie, niemniej byłbym panu niezmiernie zobowiązany, gdyby zechciał mi pan powiedzieć jak mężczyzna mężczyźnie, dlaczego nie chciał pan dowieźć nas do Gruhuken.

Norweg lekko zakręcił kołem sterowym, korygując kurs. Zerknął na mnie z ukosa, jakby się zastanawiał, czy może mi zaufać.

– Bardzo pana proszę. Zależy mi na tym, by usłyszeć prawdę.

– Dlaczego?

Zaskoczył mnie.

– No, to chyba oczywiste... Przecież będziemy tu przez cały rok. Jeśli czekają nas kłopoty, wolelibyśmy zawczasu się na nie przygotować.

– Nie zawsze jest dobrze wiedzieć – powiedział cicho.

– Ja... To znaczy, nie do końca się z panem zgadzam. Moim zdaniem zawsze lepiej jest znać całą prawdę.

Ponownie spojrzął na mnie z ukosa, po czym rzekł:

– Na świecie są pechowe miejsca.

– Jak to? – zdumiałem się. – Co pan przez to rozumie?

– Gruhuken. To pechowe miejsce. Różne rzeczy się tu zdarzają.

– Jakie rzeczy?

– Niedobre.

– Ale co konkretnie? Zdradliwe prądy w zatoce? Nagłe załamania pogody? Co ma pan na myśli?

Przez chwilę żuł końcówki wąsów.

– Są gorsze rzeczy – odezwał się wreszcie takim tonem, jakby wolał o tym nawet nie myśleć.

Na jakiś czas odjęło mi mowę.

– Ależ, panie Eriksson! – wykrztusiłem, odzyskawszy głos. – Chyba nie uważa pan, że zwykła sterta skał może na kogokolwiek sprowadzić pecha?

– Nie powiedziałem tego.

– W takim razie o co właściwie chodzi?

Milczał. Zdesperowany, westchnąłem głęboko. Popeliłem błąd; rysy jego twarzy stężały i wiedziałem już, że niczego się od niego nie dowiem. Nagle z pokładu dobiegły mnie krzyki Gusa i Algiego:

– Spójrz, Jack! Spójrz!

W trakcie naszej rozmowy nastąpiła, częsta w Arktyce, całkowita odmiana pogody. Chmury się uniosły, mgła się rozwiała. Widok był porażający. Ta niesamowita pustka. To niesamowite piękno.

Na soczyście granatowym niebie płonęło jaskrawe słońce. Rozległą zatokę pocętkowaną górami lodowymi okalały góry o ostrych, śnieżnobiałych szczytach, odbijających się w tafli wody nieruchomej jak szkło. Na wschodnim skraju zatoki wznosiły się pionowe klify koloru zaschniętej krwi. Rozsiadły się na nich nieprzeliczone rzesze ptaków, których wrzask docierał do naszych uszu stłumiony odległością. Na skraju zachodnim lśniące grafitowe skały schodziły ku morzu, błyszczał strumień, a wśród gigantycznych głazów przycupnęła maleńka, częściowo zburzona chatka. Na plaży czarnej jak węgiel wałały się stosy drewna przyniesionego przez fale oraz zebra wielorybów. Tuż za nią zaczynały się zielone wzgórza, wznoszące się łagodnie ku roziskrzonemu lodowcowi.

Pomimo ochryplego wrzasku mew czuło się niezwykle spokoj i całkowitą ciszę. A światło? Mój Boże, powietrze było tak przejrzyste, że

wydawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by dotknąć ostrych szczytów albo odłamać kawałek lodowca. Tak właśnie musiało być w niebie.

Przez jakiś czas milczałem, nie mogąc wykrztusić ani słowa, a następnie odwróciłem się do kapitana.

– Czy to...?

Skinął głową.

– *Ja* – odparł, wciągając powietrze, w związku z czym zabrzmiało to jak gwałtowne westchnienie. – Gruhuken.

## 7 sierpnia, Gruhuken

Nasz czwarty dzień w Gruhuken. Wcześniej byłem zbyt wyczerpany, żeby pisać.

Dziś rano skończyliśmy rozładunek statku. Oznaczało to, że musieliśmy przenieść osiemdziesiąt ton zapasów (i psy) na łódzie wiosłowe i przewieźć je na brzeg. Tylko beczki z paliwem wrzuciliśmy do morza i holowaliśmy za łodziami. Przeżyłem ciężkie chwile podczas transportu skrzyń ze sprzętem radiowym; gdyby zamókł, mógłby ulec nieodwracalnym uszkodzeniom, ale, Bogu dzięki, wszystko przebiegło bez zakłóceń. Zaraz potem przyszło mi bronić skrzyń przed psami, które biegały jak szalone, znacząc teren. Husky, który nie jest na uwięzi, ma paskudny zwyczaj pożerania wszystkiego, co znajdzie, łącznie z kurtkami, plecakami i namiotami. Nic więc dziwnego, iż Gus i Algie szybko zmyślili i uwiązali te bydlaki do palików wbitych w ziemię. Przez jakiś czas psy protestowały rozpaczliwym wyciem, potem jednak zorientowały się, że niczego to nie zmieni, i ucichły.

Po przymusowej bezczynności na Isbjørnie praca fizyczna sprawiła mi autentyczną przyjemność. Co noc – te niezwykle białe noce wciąż wydają mi się czarodziejskim zjawiskiem – pan Eriksson i załoga wracają na statek, nam jednak tak zależało na jak najszybszym objęciu Gruhuken w posiadanie, że rozbiliśmy jeden z namiotów na plaży, blisko wylotu zatoki. Skóry reniferów to doskonała izolacja od zimnego podłoża, a śpimy naprawdę mocno, więc nie przeszkadzają nam krzyki ptaków.

Jesteśmy zresztą tak zajęci, że zazwyczaj nie mam czasu nawet się rozejrzeć. Kiedy jednak to mi się zdarzy, natychmiast dostrzegam kontrast między uwijającymi się rażno ludźmi i psami szarpiącymi się na uwięzi a niewzruszonym, monumentalnym spokojem otoczenia. Odnoszę wtedy



wrażenie, że coś ogromnego bezustannie nas obserwuje.

Dokoła roztacza się dziewicze pustkowie. No, może nie całkiem dziewicze, trochę rozczarowała mnie informacja, że byli tu przed nami inni. Na wzgórzu, niezbyt daleko za obozem, Gus znalazł pozostałości niewielkiej kopalni. Przyniósł nawet deskę z czymś, co jest chyba potwierdzeniem własności, napisanym koślawymi literami po szwedzku. Musieliśmy posprzątać plażę, walały się bowiem na niej zwoje drutu kolczastego, osęki oraz zardzewiałe noże, które mogły się okazać bardzo niebezpieczne dla naszych psów. Wszystko to pieczołowicie zagrzebaliśmy pod dużymi kamieniami. No i jest jeszcze chata, przycupnięta między głazami i otoczona cmentarzyskiem kości. Gus zapytał o to pana Erikssona.

– A więc dotarli tu również traperzy? A może to górnicy zostawili te wszystkie kości?

– *Ja* – wciągnął powietrze Norweg.

Gus uniósł brwi.

– Czyli?

– Najpierw traperzy – odparł kapitan po krótkim wahaniu. – Górnicy później.

– A po nich już nikt? – zapytałem. – Aż do nas?

Nie odpowiedział.

Cieszę się, że stosunki z kapitanem uległy znacznej poprawie. Zarówno on, jak i cała załoga pracowali jak szaleni, pomagając nam przy zakładaniu obozu. Zupełnie jakby chcieli zdążyć przed jakimś terminem, zauważył Gus.

Możliwe, że tak jest w istocie. Co dzień, a właściwie co noc o północy, słońce zawisa niżej nad horyzontem. Za tydzień, 16 sierpnia, zniknie za nim po raz pierwszy, dzięki czemu zaznamy pierwszej, krótkiej nocy. Pan Eriksson nazywa to „pierwszą ciemnością”. Algje planuje małą uroczystość, zakrapianą whisky, żeby uczcić to wydarzenie, lecz pan Eriksson nie jest zachwycony pomysłem. Jego zdaniem nie powinno się żartować z takich rzeczy.

Powtórzyłem pozostałym to, co od niego usłyszałem: że Gruhukem to pechowe miejsce. Gus tylko wzruszył ramionami, Algie zaś ofuknął mnie za wysłuchiwanie bajdurzeń przesądnego człowieka, sądząc jednak, że w głębi duszy poczuli ulgę, że nie doszło do poważniejszej konfrontacji. Ja też się cieszę, że otwarcie porozmawialiśmy o tej sprawie.

Dziś rano, jak tylko ostatnia skrzynia została przetransportowana na ląd, Isbjørn wypłynął w czterdziestomilową podróż po nasze łodzie, węgiel i materiały niezbędne do zbudowania chaty. Nareszcie zostaliśmy sami. To bardzo miłe uczucie, jak podczas próby generalnej. Mamy okazję, żeby rozejrzeć się po okolicy. Uwiązawszy psy do palików, Algie wyruszył ze strzelbą na polowanie, Gus i ja natomiast poszliśmy na spacer w kierunku ptasich klifów na wschodnim brzegu zatoki.

Pogoda wciąż była taka jak w dniu, kiedy tu dotarliśmy. Temperatura w słońcu zbliżała się do zera, nie wiało, w soczyście błękitnym morzu przeglądały się góry, w zatoce wśród lodowej kry baraszkowały trzy wąsate foki. Z rozkoszą wciągałem czyste, słone powietrze, uderzające do głowy jak wino.

Im bliżej klifów, tym mocniej dawał się we znaki smród guana. Gramoliliśmy się po skałach, zatrzymując się co chwila, żeby Gus mógł podziwiać żółte arktyczne maki albo zielone kępy skalnicy. Fascynuje go natura, uwielbia pokazywać mi jej cuda. Ja, kompletny ignorant, nie mam nic przeciwko temu.

Skalne urwiska rozbrzmiewały przeraźliwymi krzykami nurzyków. Zadarłszy głowę, ujrzałem niebo poznaczone niezliczonymi poruszającymi się punkcikami, przypominającymi brudne płatki śniegu. Tysiące ptaków siedziało na skalnych półkach. Na ciemnozielonej wodzie u podnóża klifu unosiły się białe pióra, wśród których pływały pisklęta niepotrafiące jeszcze latać, wydając wysokie, przenikliwe okrzyki.

– Biedaki – odezwał się Gus. – Pierwsze trzy tygodnie życia spędzają na skalnej półce, dziobami do ściany. Potem skaczą w dół, i jeśli mają

szczęście, to wpadają do wody i wypływają z rodzicami na morze.

– Jeśli mają szczęście – powtórzyłem. Przed chwilą byłem świadkiem, jak wielka mewa połknęła w całości jedno z piskląt.

– Niezbyt ciekawe życie, co? – zauważył Gus. – Trzy tygodnie dziobem do ściany, a potem skok i koniec w czyimś żołądku.

Jedno z piskląt pływało nerwowo w lewo i w prawo, popiskując żałośnie. Może zgubiło się rodzicom, a może rodzice padli ofiarą arktycznych lisów, które snują się u podnóża klifów niczym małe, szare duchy.

Kiedy dotarliśmy do cypla, z oddali dobiegł nas huk wystrzału ze strzelby Algiego. Ogromna, agresywna mewa tak długo atakowała nurzyka, aż ten wreszcie wypuścił z dzioba upolowaną rybę. Gus znalazł czaszkę renifera i zwrócił moją uwagę na silnie starte zęby. Wyjaśnił, że zwierzę przypuszczalnie zdechło z głodu – nie z braku pożywienia, lecz dlatego, że nie mogło go już przeżuwać. Usiedliśmy na skałach, grzaliśmy się w promieniach słońca, a ja rozmyślałem o otaczającym mnie pięknie i okrucieństwie.

– Tamtego dnia nie wyraziłem się wystarczająco jasno – rzekł Gus bez żadnych wstępów. – Chciałem tylko powiedzieć, że moim zdaniem nie straciłeś swojej szansy.

Poczułem, że się czerwienię.

– Chodziło mi też o to, że nawet jeśli twoja rodzina miała ciężkie życie, to wcale nie znaczy, że ty też będziesz miał takie.

– Już mam – mruknąłem.

– Wcale nie. Jesteś przecież tutaj. To jakby nowy początek, kto wie, co wydarzy się potem.

– Łatwo ci mówić.

– Ale, Jack...

– Daj spokój, Gus. Przyjechałem tu, żeby uciec od mojego życia, a nie żeby brać się z nim za bary. Rozumiesz?

Zabrzmiało to ostrzej, niż zamierzałem. Zapadła niezręczna cisza.

Zrywałem rosnące przede mną maki, a Gus liczył odrosty na porożu renifera.

– Czy w Londynie rzeczywiście nie miałeś żadnych przyjaciół? – zapytał po jakimś czasie.

Wzruszyłem ramionami.

– Wszyscy koledzy z uczelni kontynuowali karierę naukową. Po co miałbym się z nimi spotykać? A z tymi od Marshalla Gifforda nie miałbym o czym rozmawiać, więc pomyślałem sobie: chrzań to, lepiej bądź sam.

Na chwilę zacisnął usta.

– Lubisz radykalne rozwiązania.

– Wcale nie.

– Właśnie że tak. Ilu znasz ludzi, którzy przez siedem lat byłiby zupełnie sami?

– Żadnego, głównie dlatego, że w ogóle nikogo nie znam. Parsknął śmiechem. – A widzisz? Dla mnie to właśnie jest radykalne! Z trudem powstrzymałem uśmiech. – A po tym wszystkim lądujesz w jednym namiocie z Algiem i ze mną... – Zawahał się. – Powiedz mi szczerze: trudno tak wytrzymać?

Rzuciłem na ziemię zerwane maki i przyjrzałem mu się uważnie. Słońce rozświetlało jego złociste włosy i malowało złocistym blaskiem plamy na silnej, regularnej twarzy. Był więcej niż przystojny. Dostrzegałem w nim szlachetną czystość przywodzącą na myśl greckich bohaterów. Zastanawiałem się, jak to jest, kiedy się tak wygląda. Z pewnością wpływa to na zachowanie ludzi, którzy się z kimś takim stykają. Odniosłem wrażenie, że autentycznie zależy mu na dowiedzeniu się, co naprawdę czuję.

– Szczerze? Łatwiej, niż przypuszczałem.

Kiedy szliśmy z powrotem, tuż nad naszymi głowami przemknął petrel lodowy. Leciał tak nisko, że słyszałem świst powietrza przecinanego jego skrzydłami. Petrele to szare, dostojne ptaki morskie, blisko spokrewnione z albatrosami. Odprowadziłem go wzrokiem, aż zniknął na horyzoncie. Przez cały czas słyszałem rozpaczliwe popiskiwanie opuszczonego małego

nurzyka. Miałem nadzieję, że coś go wkrótce pożre i zakończy jego cierpienia.

W obozie zastaliśmy rozpromienionego Algiego. Idąc na zachód, dotarł nad brzeg sąsiedniego fiordu, gdzie znalazł kawałek plaży „dosłownie zapchany edredonami”. Ustrzelił pięć kaczek, w drodze powrotnej zaś upolował fokę, którą poćwiartował i dał psom. Sądząc po ilości krwi na okolicznych skałach, foka była duża, a z Algiego jest wyjątkowo kiepski rzeźnik.

Na kolację mieliśmy kaczki pieczone na otwartym ogniu. Już wcześniej wiedzieliśmy od kucharza okrętowego, że należy zdjąć z nich skórę cuchnącą rybami. W życiu nie jadłem czegoś równie smacznego. Po posiłku umyliśmy ręce morską wodą i piaskiem, a następnie rozłożyliśmy się, gdzie komu wygodnie, paliliśmy i popijaliśmy whisky. Wywiązała się zacięta dyskusja o polarnikach: kto był lepszy, Scott czy Amundsen, jak w porównaniu z nimi wypada Shackleton i czy Nobile był łajdakiem, czy porządnym gościem.

Wszyscy jesteśmy potargani i opaleni, nasze brody osiągnęły już całkiem przyzwoite rozmiary. Broda Algiego jest ruda i rozwichrzona jak krzak, Gusa zaś, ma się rozumieć, złocista, bardzo mu z nią do twarzy. Jego zdaniem moja upodabnia mnie do pirata, przypuszczalnie ze względu nato, że mam ciemne włosy. Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek będzie mi się z tymi ludźmi tak dobrze układało. Owszem, Algie czasem działa mi na nerwy – jest ograniczony, chrapie i zajmuje mnóstwo miejsca – ale Gusa zaczynam już uważać za przyjaciela. Potrafi być bardzo przekonujący. To wszystko, co mówił o nowym początku... Prawie mu uwierzyłem. Bolało jak odrywanie strupa.

Piszę w naszym namiocie. Na zewnątrz panuje pięciostopniowy mróz, tu jednak, w śpiworach wypchanych kaczym puchem i pod futrzanymi przykryciami, jest znośnie. Zielone ściany namiotu rozjaśnia od zewnątrz blask białej arktycznej nocy. Niekiedy zaczyna szczekać któryś z psów, ale

są uwiązane dobre sto jardów od nas i obżarte foczym mięsem, więc da się wytrzymać. Słyszę stłumione odgłosy morskich ptaków i szelest niewielkich fal głaszczących kamienistą plażę. Od czasu do czasu rozlega się donośny trzask: to góra lodowa pęka w zatoce. Pojutrze wróci Isbjørn i weźmiemy się do budowy chaty.

Nie przypuszczałem, że coś takiego będzie możliwe, ale czuję się tu jak w domu. Pokochałem Gruhuken. Pokochałem czystość i odosobnienie, a nawet okrucieństwo. Jest autentyczne. Stanowi część życia.

Jestem szczęśliwy.

## 8 sierpnia

Dziwny dzień. Nie do końca dobry. Po śniadaniu postanowiliśmy przyjrzeć się tutejszym ruinom, żebyśmy jeszcze przed powrotem statku wiedzieli, co należy uprzątnąć. Ku mojemu niezadowoleniu Algie zabrał psy. Jak na razie udaje mi się je ignorować, one zaś, zapewne wyczuwając moją niechęć, trzymają się ode mnie z daleka.

Kolejny piękny dzień, w słońcu niemal upalny. Wybraliśmy się na zwiedzanie opuszczonej kopalni; Gus i ja wspinaliśmy się po zboczu jako pierwsi, zasapany Algie podążał z tyłu. Z ulgą stwierdziłem, że z kopalni niewiele zostało: zardzewiałe wagoniki, tory, skały porozbijane przez materiały wybuchowe.

– Nie ma żadnych budynków – zauważył Algie.

– Rozmawiałem o tym z Erikssonem – odparł Gus. – Powiedział, że zostały zniszczone przez lawinę skalną.

– Biedacy – skrzywił się Algie.

– Górnicy akurat byli w pracy, więc nikt nie zginął, ale to była kropla, która przepełniła czarę goryczy.

– Co masz na myśli?

– A jakie to ma znaczenie? – parsknąłem. – Nie opłacało im się tu

pracować, więc wyjechali, i to wszystko!

Tłuste policzki Algiego pokryły się rumieńcem.

– Spokojnie, kolego!

Nic mnie nie obchodziło jego oburzenie. Miałem serdecznie dość tego ciągłego grzebania w przeszłości. Gus, który chciał załagodzić konflikt, zaproponował, żebyśmy poszli obejrzeć resztki chaty. To ponura ruina wciśnięta między ogromne głazy i otoczona porozrzucanymi kośćmi. Psom też się nie spodobała; powęszyły trochę, a potem pognały z powrotem na plażę, do naszego namiotu. Algie i Gus musieli pobiec za nimi, aby je uwięzić. Towarzyszyłem im, żeby okazać dobrą wolę, ale szczęśliwie nie poprosili mnie o pomoc. Następnie wróciliśmy do ruin, by dokładniej się rozejrzeć, Gus zaś postanowił zbadać kości. Są wśród nich czaszki morsów i reniferów, a także niemal kompletne szkielety lisów, niedźwiedzi i fok. Te ostatnie mają łapy o długich, delikatnych palcach, niepokojąco przypominające ludzkie dłonie. W pewnej chwili potknąłem się o elegancką metalową tabliczkę z wytłoczonym napisem po angielsku, niemiecku i norwesku:

WŁASNOŚĆ THE SPITSBERGEN PROSPECTING COMPANY,  
EDYNBURG 1905

Gus wziął tabliczkę do ręki, przyjrzał się jej, po czym cisnął ją na ziemię.

– A teraz nic z tego nie zostało... – mruknął. Chata była maleńka, przytulona do potężnego bloku skalnego, który stanowił jedną ze ścian; trzy pozostałe miały po sześć stóp. Budowniczym zapewne chodziło o to, żeby zużyć jak najmniej drewna. Dach zachował się w całości, tylko podarta papa trzepotała na wietrze. Drzwi miały zaledwie dwie stopy wysokości, by przy wchodzeniu i wychodzeniu jak najmniej ciepła uciekało na zewnątrz. Jedno duże okno zostało roztrzaskane przez jakiegoś ciekawskiego niedźwiedzia, mniejsze natomiast, od strony morza, wciąż były przesłonięte okiennicami. Trzy stopy przed oknem, na kopczyku z kamieni, ustawiono wysokie

drzewce. Algie wyjaśnił, że jego funkcją było wabienie niedźwiedzi, by zaintrygowane zwierzęta podchodziły prosto pod lufę trapera zaciągniętego za oknem. Gus dobył noża i podważył okiennicę. Przez chwilę stawiała opór, potem ustąpiła, z okna posypało się szkło. Wnętrze cuchnęło starością i stęchlizną. Gus zajął do środka.

– Może trzymalibyśmy tu psy? Jak myślisz, Algie?

Algie wzruszył ramionami.

– Trochę za mało miejsca, choć szkoda, żeby stała bezużytecznie. – Odwrócił się ku mnie. – Chcesz zajrzeć, Jack?

Nie miałem na to najmniejszej ochoty, ale nie przychodziła mi do głowy żadna wymówka. Nigdy nie czułem się dobrze w małych, zamkniętych przestrzeniach. Wczołgałem się do wnętrza, czując, jak serce podchodzi mi do gardła. Wrzaski mew ucichły. Słyszałem tylko zawodzenie wiatru w kominie. Powietrze było gęste od smrodu butwiejących wodorostów... i czegoś jeszcze. Jakby kiedyś coś wczołgało się tu, żeby umrzeć.

Ściany były czarne od sadzy, a sufit tak niski, że nie dało się wyprostować. W kącie stał zardzewiały żelazny piecyk na wygiętych nogach. Z drewnianej pryczy przy tylnej ścianie został jedynie stos przegniłych desek. Algie znalazł zapleśniałą skórę renifera i metalowy talerz.

– Obrzydlistwo – stwierdził, krzywiąc się z odrazą. – Nawet psów bym tu nie wpuścił.

Wyszedł, a ja zostałem. Sam nie wiedziałem dlaczego.

Pierwszy raz od przybycia do Gruhuken pomyślałem o ludziach, którzy byli tu przed nami. Zbudowali tę chatę z drewna przyniesionego przez morze, spędzili tu polarną zimę, a potem wyjechali, zostawiając po sobie metalowy talerz i cementarzysko szkieletów. Jak im się tutaj żyło? Nie mieli radia. W chacie stała jedna prycza, więc może był tu tylko jeden człowiek? Zupełnie sam na tym przeraźliwym pustkowiu...

Podszedłem do frontowego okna, wygarnąłem resztki szyby i



wystawiłem głowę na zewnątrz. Ani śladu Algiego albo Gusa. Przed sobą miałem sterczące drzewce, a dalej kamienistą plażę schodzącą ku morzu. Nagle ogarnęło mnie okropne przygnębienie. Nie potrafię tego opisać. Podekscytowanie i radość z przygody ulotniły się bez śladu, ich miejsce zajęły desperacja i poczucie osamotnienia, zupełnie jakby ściany tej nędznej chatki przesiąkły nieszczęściem ludzi, którzy tu żyli, tak jak deski Isbjørna przesiąkły smrodem foczego tłuszczu.

Czym prędzej wypełzłem na zewnątrz i przez chwilę łapałem powietrze szeroko otwartymi ustami. Nienawidzę tego zwiedzania ruin. Gruhuken ma być wyłącznie nasze. Nie chcę pamiętać o tym, że przed nami byli tu inni.

## 11 sierpnia

Wiem, że mam rację, bez względu na to, co mówi ten cholerny pan Eriksson.

Statek wrócił o umówionym czasie i przez dwa dni pracowaliśmy przy rozładunku. Skończyliśmy dzisiaj i gdyby nie on, zapewne od razu wzięlibyśmy się do wznoszenia chaty. Podczas jego nieobecności wybraliśmy właściwe miejsce. Zajęło nam to jakieś pięć minut, sprawa bowiem od początku była oczywista: na zachodnim brzegu zatoki, w miejscu starej chaty. Blisko stamtąd do strumienia, potężne bloki skalne chronią od wiatru, łatwo można dotrzeć na szczyt klifu, który najlepiej nadaje się do ustawienia anten. Ale dla pana Erikssona to wszystko nie ma najmniejszego znaczenia. Jego zdaniem powinniśmy zamieszkać na wschodnim brzegu, niemal u podnóża klifów, jak najdalej od chatki traperów.

– Przecież to nonsens! – zaprotestowałem. – Tę chatę trzeba zburzyć, nie ma z niej żadnego pożytku!

– Nie – powiedział głuchym tonem. – Dlaczego? – zapytał Gus. Eriksson wymamrotał coś o psach. – Przecież już panu mówiliśmy, że to się dla nich nie nadaje – odparł Algie ze znużeniem.

– Radiostacji też tam nie zainstaluję – dodałem.

Jakby nas nie słyszał.

– Nie ruszacie resztek kopalni, zostawcie więc też w spokoju chatę.

– Resztki kopalni w niczym nam nie przeszkadzają, a ta chata owszem – zwróciłem uwagę.

– Nie będzie wam przeszkadzać, jeśli swoją postawicie dalej na wschód.

I w ten sposób wróciliśmy do punktu wyjścia. Dyskusja ciągnęła się godzinami. W końcu przyznał nam rację, że dobrze byłoby mieć gdzieś w pobliżu źródło wody pitnej, nadal jednak kategorycznie protestował przeciwko zburzeniu starej chaty. Pierwszy poddał się Algie, który zaproponował, żebyśmy urządzili w niej magazyn. Zaraz potem Gus doszedł do wniosku, że właściwie moglibyśmy postawić naszą po sąsiedzku. Nie wytrzymałem, wściekłem się i zapytałem, czy zależy im na pielęgnowaniu ruin, czy na tym, żeby radiostacja działała jak należy i zapewniała nam łączność ze światem.

Jeśli jednak mam być szczery, to muszę przyznać, że zależy mi na zburzeniu tej chaty, ponieważ nie jestem w stanie nawet o niej myśleć. Są miejsca, które działają wyjątkowo przygnębiająco, a ona z pewnością tak właśnie działa na mnie. Może dlatego, że jest taka nędzna, samotna i zawiera w sobie to wszystko, przed czym uciekłem? A może po prostu jej nie lubię i tyle.

Tak czy inaczej, zwyciężyłem.

## Nazajutrz

Nie ma jej już, choć nieźle się natrudziliśmy przy wyburzaniu. Z jakiegoś powodu członkowie załogi nie chcieli w tym uczestniczyć, trzeba więc było zaproponować im podwójną zapłatę, a Eriksson musiał ostro przemówić do nich po norwesku. Pracowali w ponurym milczeniu, my zaś pomagaliśmy, jak mogliśmy, odciągając na bok deski i rąbiąc je na opał. Już

po wszystkim, zostało jedynie wabiące niedźwiedzie drzewce, które Algie chce wykorzystać jako maszt flagowy. Zwróciłem mu uwagę, że nie mamy flagi, ale on tylko popukał się palcem w nos i odparł: „Jeszcze nie”. Boże, jakież on potrafi być irytujący! Nie pojmuję, jak Gus może uważać go za najlepszego przyjaciela.

To był męczący dzień, więc wcześniej położyliśmy się do łóżek. Gus i Algie już śpią. Gus marszczy brwi we śnie. Wygląda jak jakiś młody, szlachetny oficer nad Sommą. Algie leży z rozchyłonymi wargami i chrapie. Z kącika ust spływa mu strużka śliny. Godzinę temu pogoda się załamała i od strony lodowca nadciągnął gwałtowny, lodowaty wiatr. Wieje bez ustanku, wściekle szarpiąc płótnem namiotu. Góry lodowe nacierają na siebie w zatoce, co jakiś czas wielki kęs lodu odłamuje się z donośnym trzaskiem i wpada do wody. Zdaniem kapitana jeśli taki wiatr się utrzyma, odegna je na pełne morze, a to zawsze coś.

Wieczorem po kolacji, kiedy jeszcze był spokój, poszliśmy podziwiać miejsce przygotowane pod chatę. Jest doskonałe. Zdaje się, że Gruhuken ma dość ponurą przeszłość; nie chcę niczego, co by ją przypominało. Udało nam się sprzątnąć większość kości, ale wolałbym, żeby Algie nie kazał zostawić tego cholernego masztu. Rzecz jasna, uraczył nas obszernym wykładem na ten temat.

– Taki maszt najlepiej sprawdza się zimą, kiedy kry gromadzą się przy brzegu, umożliwiając niedźwiedziom polarnym swobodną wędrówkę. Niedźwiedzie interesują się czymś tak wysokim, szczególnie jeśli na szczycie powiesi się płat foczej słoniny. Wystarczy stanąć przy oknie ze strzelbą gotową do strzału i zaczekać, aż któryś się zbliży. Nie ukrywam, że sam z przyjemnością tego spróbuję.

– Zapomnij o tym, proszę – odparł uprzejmie Gus. – Nie wydaje mi się, żebyśmy chcieli wabić niedźwiedzie do obozu.

Zostawiłem ich, przekomarzających się przyjaźnie, i ruszyłem w dół, ku plaży. Przedostałem się po kamieniach przez strumień i wspiałem na skały.

Nadchodziła północ, wielkie głązy lśniły w tajemniczej, złocistej poświacie. Z daleka wydaje się, że schodzą łagodnie ku wodzie, w rzeczywistości jednak kończą się paskudnym urwiskiem długim na czterdzieści stóp. Woda jest głęboka, ale krystalicznie czysta. Wzrok bez trudu sięga aż do dna usianego kamieniami, nad którym falują długie wodorosty przypominające włosy. Przykucnąwszy, obserwowałem tańczące na falach kawałki lodu. Znowu słyszałem jego charakterystyczny odgłos. Pomyślałem, że gdybym spadł, z pewnością nie zdołałbym wyjść z powrotem na brzeg. Musiałbym płynąć w poszukiwaniu płytszego miejsca, ale zanimbym je znalazł, wpierw zabiłoby mnie zimno.

Zawróciłem. Niespodziewanie promień słońca padł na maszt. Drewno było niemal białe, z nielicznymi ciemnymi plamami, przypuszczalnie po wieszanej tam słoninie. Trudno mi było uwierzyć, że to pień sosny, która kiedyś rosła w jakimś syberyjskim lesie. Dotarwszy do jego podnóża, tknięty niewytłumaczalnym impulsem zdjąłem rękawicę i dotknąłem drewna. Było gładkie i nieprzyjemnie zimne. Martwe.

Chyba rozumiem już, dlaczego ludzie chętnie strzelają do niedźwiedzi. Wcale nie chodzi o futro, mięso ani nawet o rozrywkę – a przynajmniej nie tylko o to. Po prostu muszą to robić. Muszą zabijać te najpotężniejsze stworzenia w Arktyce, by udowodnić sobie, że to jednak oni panują nad sytuacją... Nawet jeżeli to jedynie złudzenie.

Przed chwilą nad namiotem przemknął jakiś cień. Tak się przestraszyłem, że mało nie krzyknąłem. Spokojnie, Jack. To tylko mewa.

Wiatr wciąż szaleje, psy wyją niemal bez przerwy. Niespokojna noc.

## 15 sierpnia, chata w Gruhuken

Chata jest gotowa i już w niej mieszkamy! Budowa trwała trzy dni, wszyscy harowaliśmy jak konie. Jest piękna. Całkiem czarna: ściany obite papą, dach – filcem, komin piecyka sterczy trochę krzywo, co upodabnia naszą chatę do chatki Baby Jagi z *Jasia i Małgosi*. Dwa frontowe okna tak bardzo różnią się rozmiarami, że przypominają kompletnie niepasujące do siebie oczy. Między nimi znajduje się mały zamykany ganek, nad którym Gus powiesił poroże renifera. Miły szlachecki akcent. Po prawej stronie, za narożnikiem, stoi wychodek, trochę na wyrost nazywany przez Algiego toaletą. Z tyłu, przy wschodniej ścianie, zgromadziliśmy skrzynie i klatki dla psów, od zachodu natomiast chata opiera się o blok skalny. Przylega do niej (z wyjątkiem składowiska skrzyń i bloku skalnego) coś w rodzaju zbitego z desek ganku o szerokości dwóch stóp. Jeśli ktoś siedzi w środku, a w tym czasie ktoś inny wejdzie na ganek, doskonale słysząc jego kroki i czuć wyraźną wibrację. Algie jest gotów w każdej chwili to zademonstrować.

Moje maszty radiowe stoją parę kroków dalej na zachód, a zaraz za nimi rozłożyliśmy ekran Stevensona do prowadzenia pomiarów meteorologicznych. Otoczyliśmy go płótem dla ochrony przed psami i wytyczyliśmy drogę na ganek solidnymi palikami połączonymi liną, ponieważ pan Eriksson powiedział, że przyda nam się to przy złej pogodzie. Awaryjny magazyn z zapasami ulokowaliśmy w pewnym oddaleniu, bliżej klifu, paliki zaś, do których wiążemy psy, wkopaliśmy przed domem, żeby mieć zwierzęta cały czas na oku.

Jeszcze w trakcie rozpakowywania zapasów przetestowałem sprzęt radiowy. Dzięki Bogu, działa bez zarzutu. Uruchamiając agregat prądotwórczy przy dużej radiostacji, miałem duszę na ramieniu, a kiedy

lampy zaczęły się żarzyć, pot dosłownie ściekał mi z czoła. Drżącą ręką nadałem pierwszą wiadomość do Anglii. Wiem, że to dziecinne, ale byłem zadowolony, że mogę się popisać przed towarzyszami. Widzicie? Nieźle sobie radzę, co?

Jakiś czas później odebrałem pierwszą depeszę skierowaną do nas z dalekiego świata: WIADOMOSC ODEBRANA STOP MAMY DLA WAS 5 WIADOMOSCI STOP. Tysiąc siedemset mil w eterze i żadnych zakłóceń! „The Times” i Królewskie Towarzystwo Geograficzne, Hugo po sportowemu życzący nam powodzenia z Tromsø, dziewczyna Algiego, rodzice i siostra Gusa. Algie po chamsku zapytał, dlaczego nie ma niczego do mnie. Szybko mu wyjaśniłem: rodzice nie żyją, nie mam rodzeństwa ani przyjaciół. Chyba poszło mu w pięty.

Mały nadajnik Gambrellego także działa bez zarzutu, podobnie jak odbiornik Eddystone, który włączyłem akurat na wiadomości BBC. Umarł George Gershwin, a Japończycy zbombardowali Szanghaj. Wszystko to wydaje mi się niewiarygodnie odległe. A raczej wydawałoby mi się, gdyby Algie nie zaczął paplać o tym, jak to spuścimy tęgie manto panu Hitlerowi. Gus wreszcie nie wytrzymał i kazał mu się zamknąć. Pod tym względem przypomina mnie: nawet nie chce myśleć o kolejnej wojnie. Powiedział mi kiedyś, że w jego rodzinie wszyscy mężczyźni byli żołnierzami od czasów Crécy, więc takie sprawy nie są mu obojętne. Dziwne, że Algie o tym nie pamiętał, znają się przecież od małego. Zresztą mniejsza z tym. Już po wszystkim, a my zaczęliśmy się rozlokowywać w naszym nowym domu.

Ma dwadzieścia stóp na trzydzieści. Wydaje się, że to dużo, ale musieliśmy w nim zmieścić tyle sprzętu, że jest dość ciasno. Żeby wejść na ganek, trzeba się precyzyjnie między nartami, butami, łopatami i miotłami. Następnie – bardzo ważne, by pamiętać o tym zimą – trzeba zamknąć zewnętrzne drzwi i dopiero potem otworzyć wewnętrzne. Pan Eriksson nazywa to pierwszym przykazaniem arktycznym: zawsze zamknij jedne drzwi, zanim otworzysz drugie. Zwłaszcza podczas zamieci.

Kiedy się zamknie drzwi wejściowe, zapada całkowita ciemność, ponieważ wąski przedpokój, który ciągnie się przez całą długość domu, na ma okien. Są tu stojaki na broń, wieszaki na płaszcze nieprzemakalne oraz szafa, którą Gus nazywa swoją ciemnią. W suficie umieściliśmy klapę prowadzącą do magazynu z żywnością.

Po wymacaniu drogi trafia się na drzwi, za którymi znajduje się nasza sypialnia, a w niej – uwaga! – okno. Zajmuje całą wschodnią część chaty. Choć potrzebujemy tylko trzech pryczy, mamy ich aż cztery, łatwiej bowiem było nam zbudować właśnie tyle. Za materiał konstrukcyjny posłużyły deski z opróżnionych skrzyń. Prycza nade mną jest pusta, wykorzystujemy ją jako podręczny magazyn na wszystko, co w każdej chwili może się okazać przydatne. Moja prycza znajduje się najbliżej pieca stojącego w głównym pomieszczeniu, i to jest bardzo dobre. Niezbyt dobre natomiast jest to, że tuż za ścianą znajduje się psiarnia.

Z mojej pryczy widać wewnątrz głównego pokoju, ponieważ w przejściu nie ma drzwi. Zaraz po wejściu po prawej stronie stoi piec, obok beczka z wodą, dalej zaś półki tworzące część kuchenną. (Rzecz jasna, nie mamy zlewu). Największym meblem w tym pomieszczeniu jest sosnowy stół, wokół którego stoi pięć krzeseł. Całą tylną ścianę zasłaniają regały z książkami, amunicją, lornetkami, mikroskopami i zapasami.

W zachodniej części chaty, w miejscu, gdzie kiedyś stała chatka traperów, mieści się moja centrala łączności. Pełno tam nadajników i odbiorników, są generator spalinowy, a także rowerowy, ustawiony przodem do okna, przez które widać maszty antenowe. Mój warsztat znajduje się przy oknie od strony północnej, wychodzącym na zbiegające drzewce. Jest to część chaty najbardziej oddalona od pieca, a w związku z tym najchłodniejsza, ale nic nie można na to poradzić.

Po rozpakowywaniu, trwającym wiele godzin, nie mieliśmy już sił na przygotowanie porządnego posiłku, więc po prostu usmażyłem pełną patelnię jajecznicę z jaj edredonów. Kupiliśmy je od marynarzy, którzy

wybierają jaja z gniazd i tysiącami wysyłają do Norwegii. Są dwukrotnie większe od kurzych i mają zielone, pięknie nakrapiane skorupki. Smakują wybornie, choć odrobinę trącą rybą. Wciąż czuję ten zapach.

Piszę te słowa, siedząc przy stole, przy świetle lampy naftowej. Na zewnątrz jest tak jasno, że bez problemu dałoby się czytać, tu jednak, w chacie, trzeba korzystać z lamp, ponieważ w pokoju są jedynie dwa okna: mniejsze w zachodniej ścianie i nieco większe w północnej, frontowej.

Zanim napaliliśmy w piecu, para buchała nam z ust przy każdym oddechu, ale teraz jest już cieplej. Zostawiliśmy drzwiczki otwarte, żeby widzieć płonące rażno polana. Deszcz łomocze o dach, wiatr zawodzi w kominie. Wczoraj popsuła się pogoda. Rankiem woda w psich miskach była zamrznięta. Kiedy powiedziałem panu Erikssonowi, że chyba zaczyna się zima, roześmiał się tylko i odparł, że na Spitsbergen prawdziwa zima przychodzi dopiero po świętach.

Dochodzi ósma wieczorem, a my w ciepłym i bezpiecznym wnętrzu chaty czekamy na nadejście nocy. Piszę „nocy”, bo choć wciąż jest całkiem jasno, to jednak takie właśnie mamy odczucia. Dziś wieczorem po raz pierwszy dostrześliśmy na niebie gwiazdy.

Siedzę z Gusem przy jednym końcu stołu. Ja piszę w dzienniku, Gus pali i sporządza notatki, według których w przyszłości przygotowuje raport z ekspedycji. Przy drugim końcu stołu Algie rozstawił maszynę do szycia i robi uprząż dla psów. Pogwizduje pod nosem jakąś głupiutką melodyjkę, a kiedy tego nie robi, oddycha głośno przez usta. Tak więc, ze względu na maszynę i Algiego, trudno powiedzieć, żeby w chacie panowała cisza. Do tego dochodzą głosy psów. Zwierzęta są ze sobą spokrewnione, co miało zminimalizować konflikty, ale sądząc po dźwiękach, jakie dobiegają z psiarni, chyba niespecjalnie się to udało. Warczenie, parskanie, ujadanie, drapanie i skrobanie, wycie... Kiedy robi się za głośno, krzyczymy i łomoczemy w ściany. Ucisząją się wtedy na jakiś czas i co najwyżej skamlą żałośnie.



Jak zwykle pan Eriksson wraz z załogą wrócił na noc na statek. To ich ostatnia noc w Gruhuken; odnoszę wrażenie, że są z tego bardzo zadowoleni. Jutro wydajemy obiad na cześć pana Erikssona, a następnie serdecznie pożegnamy Isbjørna i zostaniemy sami.

## Później

Przeniosłem się na pryczę, ponieważ wolę nie patrzeć, jak Algie kąpie się w rozkładanej płóciennej wannie. To pofałdowane, nakrapiane piegami ciało... Najgorsze są stopy: spłaszczony różowy palek z drugim i trzecim palcem dłuższymi od palucha, budzącymi moje szczególne obrzydzenie. Gus zauważył, że im się przyglądam, i oblał się rumieńcem. Z pewnością wstydzi się swojego „najlepszego kumpla”. Czasem jednak sam się zastanawiam, dlaczego tak bardzo nie znoszę Algiego. Być może ma to związek z ciasnotą, w jakiej tu żyjemy. Robimy się coraz bardziej zarośnięci i coraz brudniejsi, w chacie cuchnie dymem i nieświeżymi rzeczami. Trzeba się co chwila schylać, żeby przejść pod skarpetkami schnącymi na sznurach i lawirować między porozstawianym sprzętem. Algie jeszcze to pogarsza. Nigdy nie odstawia niczego na miejsce, każdego ranka zaś odwraca śpiwór na lewą stronę i przewiesza przez oparcie, „żeby się wywietrzył”.

Nie przypuszczałem, że kiedykolwiek to powiem, ale cieszę się, że nie pozbyliśmy się psów. Naturalnie wciąż ich nie lubię i, pomimo starań Gusa, z pewnością się to nie zmieni. Wczoraj usiłował mnie zapoznać ze swoją ulubienicą, kościstą rudą suką imieniem Upik. Łasiła się do niego, natomiast na mój widok natychmiast zaczęła warczeć. Nie przejąłem się tym, jemu jednak najwyraźniej zrobiło się przykro – zapewne zarówno ze względu na Upik, jak i na mnie.

– Nie mam pojęcia, dlaczego się tak zachowała – powiedział. – Przecież jej się nie boisz, prawda?

– Oczywiście, że nie. Ale jej nie lubię, a ona to czuje. – Roześmiałem

się, widząc jego zawiedzioną minę. – Daj spokój, człowieku! Nigdy nie zrobisz ze mnie miłośnika psów.

Słyszę, jak powarkują i drapią pazurami za ścianą. O dziwo, wcale mi to nie przeszkadza. Wręcz przeciwnie: nawet mi się to podoba. Dobrze jest wiedzieć, że tuż za ścianą, zaledwie kilkanaście cali od mojej głowy, są żywe stworzenia, choćby tylko psy.

## 16 sierpnia, północ, pierwsza ciemność

Isbjørn odpłynął i zostaliśmy sami. Moja lampa rzuca niewielki krąg żółtego światła. Dalej panuje mrok. Przed chwilą podszedłem do północnego okna i ujrzałem jej odbicie w granatowej szybie zamrożonej od zewnątrz. Przyłożywszy do okna stulone dłonie, zobaczyłem gwiazdy na niebie koloru indygo oraz czarną krechę masztu. Właściwie nie zaszło nic złego, ale chcę spisać wszystko, co wydarzyło się tego popołudnia, żeby to sobie przemyśleć.

Około południa część załogi przyплыnęła łodzią na brzeg. W podziękowaniu daliśmy jej członkom skrzynkę piwa. Ciężko pracowali, chcieli bowiem jak najszybciej odpłynąć, żeby przed nadejściem zimy zapolować jeszcze na fok.

Zaprosiliśmy pana Erikssona na obiad. Ponieważ domyślaliśmy się, że chętnie odpocznie od okrętowego wikt, ugościliśmy go wołowiną z puszki i warzywami z sosem chutney. Na deser były kalifornijskie gruszki, ananas z Singapuru, czekolada i kawa. Smakowało mu niezmiernie, choć początkowo wydawał się nieco onieśmielony porcelanową zastawą. Jak tylko Gus otworzył dwie butelki klaretu i pudełko cygar, kapitan szybko odzyskał dobry humor. Powiedział nam, jak przyrządza się traperski przysmak, czyli naleśniki z krwi, oraz udzielił wielu rad, jak przetrwać polarną zimę.

– Dużo chodźcie, przestrzegajcie rozkładu dnia i nie myślcie za dużo!

Dodał, że gdybyśmy mieli jakieś problemy, to w Wijdefjordzie,

dwadzieścia mil na zachód od nas, zimuje jego przyjaciel, doświadczony traper nazwiskiem Nils Bjørvik. Powtórzył to kilka razy, potem zaś, ku naszemu zaskoczeniu, podarował nam trzy słoiki marynowanych moroszek, będących, jego zdaniem, najlepszym lekarstwem na szkorbut. (Nie za bardzo wierzy w istnienie witaminy C i uważa, że tabletki, które łykamy, to strata pieniędzy). Bardzo mnie ujął tym gestem. Pozostałych chyba też.

Po posiłku załoga montowała jeszcze nasze łodzie, Gus wybrał się z Erikssonem na plażę, żeby zrobić parę zdjęć, Algie zaś wziął się do zmywania, ponieważ wypadła właśnie jego kolej. Ja poszedłem na spacer, by oczyścić płuca i głowę z kłębow tytoniowego dymu.

Minąłem pozostałości kopalni i skierowałem się w górę strumienia. Początkowo szedłem szybkim krokiem po sprężystym dywanie z karłowatej wierzby i mchu, ale szybko zacząłem się pocić. Muszę się jeszcze nauczyć właściwie dobierać strój, a szczególnie liczbę warstw, jakie na siebie wkładam. Według norweskiego przysłowia, które usłyszeliśmy od pana Erikssona, jeżeli komuś jest ciepło, kiedy wyrusza w drogę, to znaczy, że za grubo się ubrał.

W miarę jak docierałem coraz wyżej, droga stawała się trudniejsza. Co chwila potykałem się na skalnym rumowisku i ślizgałem na czarnych suchych porostach. Lodowaty wiatr sprawił, że szybko zmarzłem. Choć szare chmury przesłoniły pobliski lodowiec, wyraźnie czułem jego mroźny oddech. Kiedy zdjąłem czapkę, w ciągu kilku sekund głowa rozboleła mnie od lodowatego uścisku.

Słyszeć było tylko świst wiatru i szmer strumienia. Minąłem szkielet renifera i zatrzymałem się przy niewielkim jeziorku. Docierające do mnie odgłosy – wiatr, woda, moje sapanie – jeszcze bardziej podkreślały panującą dokoła ciszę. Odbierałem ją jako czyjaś przytłaczającą fizyczną obecność. Uświadomiłem sobie, że to miejsce było, jest i będzie prawdziwą ziemią niczyją.

Nie ma chyba niczego dziwnego w tym, że od czasu do czasu czuję się tu

trochę nieswojo. Bądź co bądź urodziłem się w mieście i nie przywykłem do dzikiej przyrody, niemniej... Stanąc na wznoszącym się stromo zboczcu ze świadomością, że najbliższym lądem na zachód stąd jest dopiero Grenlandia, że na wschodzie rozciąga się Ocean Arktyczny, a prosto na północ jest biegun północny... To doprawdy niezwykle doświadczenie.

W pewnej chwili uświadomiłem sobie z niepokojem, że nie zabrałem broni. Natychmiast pomyślałem o niedźwiedziach i czym prędzej ruszyłem z powrotem, zły na siebie za tak głupią nieostrożność.

Zapędziłem się znacznie dalej, niż zamierzałem. Hen, w dole, nasze obozowisko wyglądało jak zbieranina zabawek, śmiesznie małych w porównaniu do leżących na plaży kości wielorybów. Isbjørn stojący w zatoce także wydawał się maleńki. Niebo przybrało niezwykle, chorobliwie żółty kolor. Słońce zanurzało się właśnie w morzu. Za chwilę po raz pierwszy miało całkowicie zniknąć.

W jego dogasających promieniach błysnęły wiosła. Część załogi wracała już na statek. Powinienem się pospieszyć, skoro chciałem się pożegnać z panem Erikssonem.

Zapadł zmrok, szum wiatru przycichł do ledwie słyszalnego szeptu. Słyszałem szelest mojego anoraka i świst oddechu. Od obozu dzieliło mnie jeszcze co najmniej pięćset jardów, kiedy dostrzegłem jakiegoś człowieka stojącego przed chatą, tuż przy maszcie. Był zwrócony do mnie plecami, lecz i tak miałem pewność, że nie jest to ani Algie, ani Gus. Musiał tu przyjść ktoś z załogi statku, kto chciał jeszcze raz rzucić okiem na chatę, którą pomagał budować. Choć zachodzące słońce świeciło mi prosto w oczy, zauważyłem, że nie jest ubrany jak marynarz. Miał na sobie mocno sfatygowany półkożuszek, czapkę z daszkiem i znoszone buty.

– Hej tam! – zawołałem. – Lepiej się pospiesz, bo zostawię cię na brzegu!

Odwrócił się ku mnie. Widziałem tylko ciemną sylwetkę na tle nieba rozświetlonego wieczorną zorzą. Miał opuszczone ręce i dziwnie

przekrzywioną głowę. Nie wywarł na mnie dobrego wrażenia. Pragnąłem z całej duszy, by jak najszybciej zszedł na dół, na plażę, i dołączył do pozostałych. Żałowałem, że zwróciłem na siebie jego uwagę. Czując się coraz bardziej głupio, schodziłem ku obozowi. Przez jakiś czas musiałem patrzeć uważnie pod nogi, a kiedy ponownie podniosłem wzrok, stwierdziłem z ulgą, że mężczyzna zniknął.

Jakiś czas potem dotarłem na plażę, gdzie czekał pan Eriksson z resztą załogi, żeby się pożegnać. Nie było tam ani Algiego, ani Gusa, a ludzie wydawali się bardzo niespokojni i zerkali co chwila przez ramię na zachodzące słońce. Nie dostrzegłem nikogo w sfatygowanym półkożuszku, spytałem więc o to pana Erikssona. Spojrzał na mnie ostro, popatrzył na swoich ludzi, a następnie ujął mnie za ramię i odprowadził na bok.

– Pomylił się pan – rzekł przyciszonym głosem. – Nikogo tam nie było.

– Oczywiście, że był! – odparłem tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Widocznie odpłynął poprzednią łodzią.

Eriksson skrzywił się i pokręcił głową. Pomyślałem, że zapewne zinterpretował moje słowa jako oskarżenie jednego z jego ludzi o próbę kradzieży, dodałem więc pospiesznie:

– Zresztą, nieważne. Wspomniałem o nim tylko dlatego, że obawiałem się, że może zostać. – Roześmiałem się niezręcznie. – Wolelibyśmy uniknąć niezapowiedzianych gości.

Kapitan otworzył już usta, ale zanim zdążył się odezwać, nadeszli Gus i Algie z pożegnalnymi podarunkami w postaci wina i cygar. Moi towarzysze wygłosili krótkie, niezgrabne podziękowania, pan Eriksson zaś poczerwieniał i odpowiedział dość szorstko i równie niezgrabnie, ale oni chyba tego nie zauważyli. Kiedy przyszła kolej na mnie, zamknąłem moją dłoń w niedźwiedzim uścisku swojej ręki.

– Udanego zimowania, profesorze – powiedział, kiedy nasze oczy się spotkały.

Wtedy nie wiedziałem, jak zinterpretować wyraz jego twarzy. Teraz

zastanawiam się, czy to nie było współczucie. Chwilę potem siedział już w łodzi, a jego ludzie spychali ją na wodę. Obejrzał się, lecz nie na nas, tylko na chatę. Ja też spojrziałem w tamtym kierunku, ale zobaczyłem jedynie psy ujadające i szarpiące się na uwięzi. Staliśmy we trzech na brzegu i odprowadzaliśmy wzrokiem łódź płynącą na Isbjørna. Ludzie weszli na statek, a gdy wciągnęli łódź na pokład, rozległ się stukot silnika i statek zaczął szybko nabierać prędkości. Po słońcu pozostała krwawa łuna nad horyzontem.

Algie nagle uderzył się w czoło otwartą dłonią, po czym co sił w nogach popędził do chaty i wciągnął na maszt „flagę” – martwego petrela, którego ustrzelił rano. Przytwierdził ptaka za jedno skrzydło, a wiatr rozpostarł drugie i zaczął trzepotać truchłem jak prawdziwą flagą. Odpływający Isbjørn zasalutował w odpowiedzi banderą. Wkrótce opuścił zatokę i zniknął za cyplem.

– I zostało ich tylko trzech – powiedział Algie, kiedy stanął obok nas.

Gus nie odpowiedział, a ja z trudem powstrzymałem gest irytacji i zniecierpliwienia.

– Zaczekajcie tutaj! – rzucił Algie.

Ponownie pobiegł do chaty i wrócił zaraz z butelką whisky, butelką wody i trzema metalowymi kubkami w skórze. Dźwigał też jakieś tajemnicze zawiniątko; okazało się, że to bryła lodu, którą minionego dnia wyrąbał z lodowca.

– Mamy pierwszą prawdziwą noc – wysapał.

Istotnie. Słońce znikło, od strony morza nadciągnęły szare chmury i zasłoniły horyzont, zza którego sączył się jego dogasający blask. Wznieśliśmy toast na powitanie nocy.

28 sierpnia

Zdaje się, że z początku byłem trochę podminowany, ale już nie jestem. Kilka tygodni ciężkiej, monotonnej pracy pomogło mi odzyskać równowagę.

Wstajemy o wpół do siódmej i ubieramy się przy piecu. Ten, na kogo wypada dyżur przy psach, wypuszcza je na zewnątrz; ten, na kogo wypada dyżur w kuchni, nastawia kawę. Dyżur naukowy oznacza konieczność wycieczki do ekranu Stevensona (przypomina ul na nogach, w którym kryją się instrumenty pomiarowe) i spisania wskazań. Punktualnie o siódmej trzeba zanotować wskazania anemometru, wiatromierza, sprawdzić wielkość opadu śniegu i grubość szronu na małej mosiężnej kuli. O siódmej trzydzieści uruchamiam generator rowerowy i nadaję meldunek do rządowej stacji meteorologicznej na Wyspie Niedźwiedziej, skąd następnie trafia on do Anglii. O ósmej jest śniadanie: chleb upieczony przez „panią Balfour”, do tego jaja i bekon albo owsianka. W południe odbywa się druga sesja odczytów i transmisji, o piątej trzecia. Psy karmimy o szóstej, w przerwach zaś polujemy, zbieramy drewno przyniesione przez morze, Algie (ku mojej uldze) prowadzi poszukiwania geologiczne, a ja pomagam Gusowi w połowach planktonu.

Raz w tygodniu budzę do życia dużą radiostację. Przesyłamy wtedy do Anglii wiadomości dla rodziny i przyjaciół oraz relacje dla „Timesa” i sponsorów. Autorem tych dziarskich kawałków o dzikiej przyrodzie i psych harcach jest zawsze Gus. Anglia z każdym dniem wydaje nam się bardziej odległa i mniej rzeczywista, w związku z czym wykonywanie tego zadania przychodzi mu z coraz większym trudem.

Niewiarygodne, jak szybko zmienia się tu pogoda. Dwa tygodnie temu mróz zmienił kolor karłowatych wierzb na zboczach na szkarłatny, zupełnie

jakby zostały zbryzgane krwią. Dziesięć dni później zostawiliśmy na noc uchylone jedno z okien i obudziliśmy się w gęstej mgle. Minionej nocy spadł pierwszy śnieg. Jak małe dzieci wystawialiśmy twarze ku spadającym szybko płatkom. Teraz całe Gruhuken przystroiło się w biel. Nawet psiarnia przeistoczyła się w budowlę pełną czystości i wdzięku. Śnieg wytłumił wszystkie odgłosy z wyjątkiem kroków. Minie trochę czasu, zanim się do tego przyzwyczaimy.

Noce wydłużają się w alarmującym tempie: dwadzieścia minut na dobę. Dlaczego napisałem „alarmującym”? Przecież to mi się podoba. Przywykłem już do ciasnoty i polubiłem długie wieczory w chacie. Gus pracuje przy mikroskopie, co jakiś czas wzywa mnie, żeby mi pokazać jakiś nowy cud natury, po czym złości się, kiedy udaję, że niczego nie rozumiem. Algie czyści broń i kataloguje próbki. (Nadal mnie irytuje, ale Gus sprzeciwił się kąpielom pod pretekstem, że za dużo z tym zamieszania, a poza tym od kiedy zaczęło się robić coraz zimniej, sam Algie jakby stracił do nich zapał). Palimy, słuchamy radia, a ja zapoznaję się z najnowszymi, szaleńczymi teoriami fizycznymi. Przed wyjazdem z Londynu dostałem od mojego starego profesora mnóstwo fachowych periodyków. Przekopując się przez ich zawartość, czuję, jak chwilami ogarnia mnie dawny zapał. Doskonale pamiętam, co kiedyś odczuwałem i jak mocno marzyłem.

Myślę o tym również, siedząc przy radiostacji. Od czasu do czasu dostrzegam w szybie swoje odbicie. Z trudem mogę się rozpoznać. Urosły mi włosy, a z brodą wydaję się młodszy i pełen nadziei. Naprawdę mam nadzieję. Może Gus się nie mylił, może rzeczywiście nie zmarnowałem szansy.

To dziwne, ale w kącie przeznaczonym na radiostację jest tak zimno, że muszę wkładać dodatkowy sweter, od czasu do czasu zaś czuć tam lekką, nieprzyjemną woń wodorostów. Umyłem podłogę i ściany lizolem, ale zapach nie znikł. Inni chyba niczego nie czują.

Mimo to lubię Gruhuken. Jest milion mil od obszarpanej



pretensjonalności Tooting i od zastanawiania się, czy kołnierzyk wytrzyma bez prania jeszcze jeden dzień. Tak wyglądało życie mojej matki. Pamiętam, jak pucowała schody w naszym domu w Bexhill. Co prawda do najcięższych robót miała dziewczynę, ale schodami zawsze zajmowała się sama. Frontowe malowała białą, a kuchenne szarą farbą. Serce mi pęka, kiedy o tym myślę. Spędzić życie na czyszczeniu i malowaniu schodów...

Gusowi też się tu podoba, ponieważ nie ma służby. Wyznał, że pierwszy raz w życiu mógł sam sobie posłać łóżko. Co do Algiego, to nie jestem pewien. Upiera się, żeby cały czas grały radio albo gramofon, ostatnio zaś nieustannie pogwizduje przez zęby. Niekiedy wydaje mi się, że nie jest w stanie znieść ani chwili ciszy. Przed czym stara się uciec?

Od kilku dni na zatoce gromadzą się gigantyczne stada ptaków. Gus mówi, że szykują się do odlotu.

## 30 sierpnia

Gus miał rację: psy w końcu mnie polubiły. W każdym razie jeden z nich.

Aż do dzisiejszego popołudnia mój kontakt z nimi ograniczał się do tego, że nauczyłem się ich imion. Przywódcami stada są ruda suka Upik oraz jej partner Svarten. Eli, Kiawak, Pakomi i Jens to ich potomstwo, Issak i Anadark zaś to jeszcze prawie szczeniaki, bo choć wyglądają jak dorosłe wilki, to dopiero co skończyły rok. Isaak to ten, który wpadł do wody w porcie w Tromsø.

Wczoraj Gus i Algje wybrali się na polowanie. Siedziałem w chacie i czytałem, kiedy nagle na zewnątrz rozpętało się istne piekło. Myślałem, że to niedźwiedź, dlatego wskoczyłem w ubranie, złapałem strzelbę i wybiegłem na dwór. Dzięki Bogu, żadnych niedźwiedzi. Psy ujadły jak szalone i szarpały się na uwięzi, by dopaść Isaaka, który znalazł gdzieś puszkę z pemikanem, przegryzł blachę i wcisnął pysk do środka. Puszka

utknęła mu na łbie jak hełm i zataczał się po omacku, waląc głową w skały.

Usłyszawszy moje kroki, zatrzymał się. Niewiele myśląc, podbiegłem, stanąłem nad nim okrakiem i ścisnąłem go kolanami, tak jak czynią Gus albo Algie przy zakładaniu psom uprzęży. Szarpał się, lecz nie mógł się uwolnić, a ja jednym ruchem ściągnąłem mu puszkę ze łba.

Mój Boże, ależ był szybki! Skoczył na mnie, rąbnął mnie pyskiem w klatkę piersiową i przewrócił na wznak. Wypuściłem puszkę z dłoni, on zaś natychmiast doskoczył do niej... i łeb ponownie uwiązał mu w puszcze.

– Niedobry pies! – wrzasnąłem dzikim głosem, gramoląc się na nogi.

Powtórzyłem operację, lecz tym razem, jak tylko zdjąłem mu puszkę, odskoczyłem na bok. Byłem z siebie tak zadowolony, że wygarnąłem całą jej zawartość na śnieg. Połknął wszystko w okamgnieniu, po czym, machając energicznie ogonem, skierował na mnie oczekujące spojrzenie jasnoblękitnych ślepi. Może jeszcze raz?

A niech to! Skaleczył sobie ucho o ostrą krawędź blachy. Po tym, co przed chwilą z nim przeszedłem, nie mogłem pozwolić, żeby dostał szczękościsku, odwiązałem go więc od palika i zacząłem ciągnąć do chaty, by opatrzyć mu ranę. W połowie drogi uświadomiłem sobie, że powinienem był najpierw pójść po środek dezynfekujący, a dopiero potem go odwiązać. On chyba też tak uważał, przyglądał mi się bowiem ze zdziwieniem.

Sekret zapanowania nad husky polega na tym, żeby chwycić go za uprzęż i przytrzymać tak, żeby przednie łapy nie dotykały ziemi. Dzięki temu nie może uciec – tak przynajmniej głosi teoria, której, aż do dziś, nie miałem okazji wypróbować. Dźwignąwszy częściowo Isaaka we właściwy, jak miałem nadzieję, sposób, zawlokłem go do chaty, po drodze zgarnąłem z półki butelkę ze środkiem dezynfekującym, wywlokłem psa z powrotem na zewnątrz i, zlany potem, przywiązałem do palika. Husky może nie są wielkie, ale za to potwornie silne. Mamrocząc „dobry piesek, grzeczny piesek...”, zdezynfekowałem mu ucho. Zaskoczony, nawet nie warknął. Tak się ucieszyłem, że już po wszystkim, że dałem mu jeszcze jedną puszkę

pemikanu.

Jak tylko Gus i Algie wrócili z polowania, opowiedziałem im, co się stało. Algie ofuknął mnie, że nie powinienem faworyzować jednego psa w obecności pozostałych, Gus natomiast tylko się uśmiechnął. Stwierdziłem kwaśno, że nie widzę powodów do radości, bo to chyba najgłupszy pies na świecie. Sami zresztą pomyślcie: dwa razy wsadzić łeb do tej samej puszki!

Gus wybuchnął śmiechem.

– Najgłupszy pies na świecie? Przecież właśnie wycygał od ciebie dwie puszki żarcia!

Od tej pory Isaak wciąż mnie wypatruje. Wystarczy, żebym na niego spojrział, a już macha ogonem i skamle cicho. Kiedy dziś po południu paliłem papierosa, przyszedł i otarł mi się o nogę.

## 15 września

Ptaki odlatują, a noce stają się coraz dłuższe. Jest ciemno, kiedy się budzimy i kiedy jemy kolację. Patrząc z ganku, widzę szyby płonące ciepłą pomarańczową barwą, a główne pomieszczenie jest oświetlone jak bożonarodzeniowa choinka. Kiedy jednak idę sprawdzić wskazania przyrządów, góry pochylają się nade mną i ogarnia mnie wrażenie, że coś ogromnego i ciemnego szykuje się, by odebrać zagarniętą bezprawnie ziemię. Najchętniej wróciłbym wtedy jak najprędzej do chaty i szczelnie zasunął zasłony, by odgrodzić się od nocy, ale to niemożliwe. Nie mamy zasłon.

W jednym z moich czasopism znalazłem artykuł napisany przez kogoś, kto ustalił, że znany nam wszechświat jest zaledwie maleńkim fragmentem tego, co istnieje. Autor utrzymuje, że reszta, choć nie możemy jej zobaczyć ani wykryć, jest obok nas. Nazywa ją „mroczną materią”. Rzecz jasna, nikt mu nie wierzy, ja jednak wciąż o tej teorii myślę, a raczej nie tyle o niej myślę, ile co jakiś czas ogarnia mnie poczucie, że otaczają nas rzeczy, z

których istnienia nie zdajemy sobie sprawy.

Za miesiąc, 16 października, zobaczymy słońce po raz ostatni. Jeśli wierzyć książkom, przez kilka kolejnych tygodni dotrze do nas jeszcze trochę światła, ponieważ w południe słońce będzie się znajdowało niewiele poniżej horyzontu. Jego blask nazywa się „południowym świtem”. A potem już nic.

Mój Boże, jakie my tu teraz widzimy barwy! Jeżeli jest pogodnie, świt maluje niebo na cudowny, różowozłoty kolor. Śnieg skrzy się jak posypany brylantami, zebra wielorybów na plaży są oślepiająco białe. Dach chaty jest pokryty śniegiem, na ścianach siwieje szron. Po kilku godzinach światło przygasa, zatoka zamienia się w brązowy całun, dzień umiera w feerii szkarłatu, magenty i purpury. Tyle światła.

A teraz to.

Było już po kolacji, siedziałem przy stole, paląc i czytając. Algie stawiał pasjansa, bębniąc palcami o blat stołu, Gus zajmował się na zewnątrz psami. Nagle wpadł do chaty.

– Panowie, szybko! Chodźcie!

Ponieważ było prawie dwadzieścia pięć stopni mrozu, „szybko” oznaczało gorączkowe naciąganie butów, swetrów, kurtek, rękawic i czapek. Ale było warto.

– Domyśliłem się, jak tylko zobaczyłem, że psy mają naelektryzowane futro – wymamrotał Gus.

Staliśmy z zadartymi głowami i podziwialiśmy zorzę polarną.

Fotografie nie są w stanie oddać całego jej piękna, bo największe wrażenie robią zmiany i ciągły ruch, przesuwanie się po niebie bladozielonych, fosforyzujących fal, które rozdzielają się, znikają i zaraz pojawiają na nowo w innym miejscu. A wszystko w nieprzeniknionej ciszy. Ocean światła. Wiem, że oglądanie zorzy polarnej to dla wielu ludzi niemal religijne przeżycie, na mnie zaś ten widok podziałał onieśmielająco. Te ogromne, migoczące fale... Tak wielkie, tak odległe... Całkowicie obojętne

na wszystko, co dzieje się w dole. Poza tym w przedziwny sposób ta nadzwyczajna jasność jeszcze bardziej podkreśla ciemności roztaczające się dokoła.

Algie zaczął pogwizdywać pod nosem i czar prysł, lecz wyjątkowo nie miałem do niego pretensji. Zaraz potem wrócił do chaty, ale Gus i ja nadal gapiliśmy się w niebo.

– Trudno pozostać na to obojętnym, prawda? – zapytał Gus.

Chrząknąłem potwierdzająco, a on zaczął wygrzebywać obcasem dziurę w śniegu.

– Czytałem gdzieś, że według wierzeń Eskimosów zorza to pochodnie zapalane przez zmarłych, którzy starają się oświetlić drogę żywym. – Zawahał się, po czym dodał: – I że gwizdanie zachęca ich, by się do nas zbliżyli.

Zerknąłem na niego z ukosa, lecz on pilnie przyglądał się swoim butom.

– Wierzysz w to, Jack? – zapytał z poważną miną. Kryształki lodu w jego brodzie migotały w blasku lampy.

– W co? – zapytałem ostrożnie. – Że duchy zapalają pochodnie?

– Oczywiście, że nie. Chodzi mi o... różne niewidzialne siły, i takie tam...

Zażenowany, znowu zaczął grzebać nogą w śniegu. Chyba wiedziałem, co rozumie przez „takie tam”, ale nie chciałem o tym rozmawiać, a już na pewno nie tu, w ciemności, udałem więc, że nie rozumiem.

– Wierzę w wiatr – odparłem. – Też go nie widać. I w fale radiowe.

Milczał przez jakiś czas, a potem prychnął:

– W porządku, skoro koniecznie chcesz wszystko rozumieć dosłownie, jak jakiś naukowiec...

– Wcale taki nie jestem.

Jako dowód przytoczyłem mu treść artykułu, który przeczytałem w jednym z czasopism mojego profesora. Mówiłem chyba ze zbytnim przejęciem, bo Gus uśmiechnął się lekko.

– Zazdrościsz im, prawda, Jack?

– Słucham?

– Tym wszystkim fizykom w ich laboratoriach. Chciałbyś być na ich miejscu i tworzyć rozmaite szalone teorie na temat wszechświata.

Tym razem to ja się zawstydzilem, a równocześnie zrobiło mi się przyjemnie, że tak dobrze mnie zna. Miał całkowitą rację: jestem zazdrosny. To ja powinienem siedzieć w laboratorium i obmyślać nowe teorie. Kto wie, może mi się uda? Może po powrocie do Anglii zdołam znaleźć sposób, by kontynuować studia i karierę naukową? Gus uważa, że to całkiem możliwe, a to o czymś świadczy.

Siedząc teraz przy stole, co jakiś czas przerywam pisanie, by fantazjować o wspaniałych pomysłach, jakie przyjdą mi do głowy tutaj, w Gruhuken, i o tym, jak zadziwię świat po powrocie z wyprawy. Jakże się wszystko zmienia! Kiedy tu dotarliśmy, byłem dosłownie kłębkim nerwów. Cała ta gadanina o „wielkiej ciszy” i ten marynarz w półkożuszku, który rozpląnął się bez śladu... Teraz, gdy na dobre objęliśmy Gruhuken w posiadanie, jestem zupełnie spokojny.

## 1 października

Nie wytrzymam tego, on jest nie do zniesienia! Oczywiście wiem, że psy potrzebują świeżego mięsa, a to oznacza konieczność zastrzelenia kilku fok, ale coś takiego...

Wczoraj wypłynąłem z nim łódką i dopisało mi szczęście: ustrzeliłem fokę. Wiosłując jak wszyscy diabli, dopłynęliśmy do niej, zanim utonęła i dociągnęliśmy ją do brzegu. Psy mało nie oszalały na uwięzi, a Gus przybiegł natychmiast, by pomóc przy oprawianiu.

Funkcję głównego rzeźnika pełnił Algie, bo po sześciu tygodniach na Grenlandii oczywiście dysponuje największym doświadczeniem. Zabrał się do roboty za pomocą swojego wielkiego noża do oskórowywania, ale kiedy

rozciął brzuch, zwierzę nagle się poruszyło! Wnętrznosci wylewają się na ziemię, w powietrzu czuć ostry, miedziany zapach krwi, a w wielkich jak śliwki, łagodnych oczach widać życie!

– Na litość boską, ona żyje! – wykrzyknąłem, rozglądając się za jakimś kamieniem, którym mógłbym zadać cios i zakończyć cierpienia zwierzęcia.

Blady jak ściana Gus szuka po omacku noża, Algie zaś jakby nigdy nic kontynuuje pracę. Dopiero kiedy odsłonił serce, wbił w nie nóż i zakończył sprawę. Dlaczego tak postąpił? Czy chciał nam pokazać, jaki jest twardy, czy może dlatego, że nienawidzi tego miejsca i próbuje się odegrać?

Powiedziałem mu, że przez niego zrobiło mi się niedobrze, a on na to, że skoro tak, to powinienem być jakoś zareagować, a nie tylko się gapić. Pewnie skończyłoby się na bijatyce, gdyby Gus nie odciągnął mnie od sapiącego wściekle Algiego.

– Wiem, że od dawna jesteście przyjaciółmi – powiedziałem, kiedy zdołałem się jakoś opanować – choć wciąż nie jestem w stanie zrozumieć, dlaczego. Sam widziałeś, co zrobił. Mam nadzieję, że nie będziesz próbował go tłumaczyć?

– Nie – odparł Gus, oblewając się rumieńcem. – Nie tym razem.

Przyjąłem tę deklarację z niewysłowioną ulgą.

Wydawałoby się, że obdzieranie foki żywcem ze skóry powinno wystarczyć, ale dzisiaj Algie posunął się jeszcze dalej – a raczej posunąłby się, gdybyśmy mu pozwolili. Od wielu dni starał się oduczyć psy od gryzienia i przeżuwania uprząży. Dziś oświadczył, że wystarczy tego dobrego, i chwycił swój młotek geologiczny.

– Co zamierzasz z nim robić, do diabła? – zapytałem.

– O nic się nie martw, stary – odrzekł pogodnym tonem. – To stara eskimoska sztuczka. Wystarczy wybić im tylne zęby.

Wybałuszyliśmy na niego oczy, a on westchnął i zrobił taką minę, jakby miał do czynienia z imbecylami.

– To praktycznie bezbolesne! Poddusza się je trochę, żeby straciły

przytomność, a potem wybija się zęby i opuszcza na ziemię. Szybko dochodzą do siebie. Nie wiecie o tym, że husky to twarde sztuki?

Powoli podniosłem się z krzesła.

– Jeśli zbliżysz się do psów z tym młotkiem, zrobię ci z twarzy siekane mięso.

Gus położył mi dłoń na ramieniu.

– Spokojnie, Jack.

Strąciłem ją.

– Mówię serio, Algie.

Twarcz Algiego przybrała intensywnie różową barwę.

– Nic mnie to nie obchodzi, stary. Ja zajmuję się psami, nie ty.

– Nie jestem stary i spokojnie sobie z tobą poradzę, więc...

– Jack, daj spokój – przerwał mi Gus. – Ja to załatwię. – Odwrócił się do Algiego, a potem z kamienną twarzą i nieruchomym spojrzeniem oświadczył: – Jako dowódca tej ekspedycji kategorycznie ci tego zabraniam. Czy rozumiesz, co powiedziałem?

Jasne rzęsy Algiego zadrżały. Chwilę później westchnął ciężko i opuścił młotek.

– Boże! Tyle zamieszania z powodu paru psów!

Wątpię, żeby się domyślał, co było prawdziwym powodem „zamieszania”. On chyba naprawdę sądzi, że zwierzęta nie odczuwają bólu. Ma mnie za mięczaka, ponieważ uważam inaczej. Jeżeli ten człowiek dotknie Isaaka, wybije mu zęby. Zobaczymy, jak mu się to spodoba.

## 6 października

Zostało nam zaledwie kilka godzin światła. Kiedy nadchodzi świt, w głębi duszy jesteś pewien, że czeka cię pełny, normalny dzień. Jesteś szokowany, widząc, że ledwo słońce weszło, już chyli się ku zachodowi i wkrótce znowu zapadnie ciemność. Bardzo trudno przywyknąć do jej wciąż



bardziej wszechwładnego istnienia i do świadomości, że niebawem zapanuje niepodzielnie.

Akurat teraz mamy księżyc, więc nie jest jeszcze tak źle, ale wiemy, że to nie potrwa długo. Dziwne. Latem, kiedy było zawsze jasno, świecił tak słabo, że w ogóle nie zwracało się na niego uwagi. Teraz śledzimy każdy jego ruch.

Uczę się odnajdywać drogę w ciemności bez latarki. Nie czuję się pewnie, kiedy snop światła przyciąga mój wzrok i sprawia, że wszystko, co znajduje się poza nim, robi się niewidoczne. Podobnie jest wtedy, gdy w chacie siedzimy w chacie przy zapalonym świetle, które uniemożliwia nam dostrzeżenie wszystkiego, co znajduje się na zewnątrz. Choć właściwie niezupełnie; istnieje pewna gradacja. Kiedy zapalamy jedną lampę, widzimy przez okno psy i maszt, kiedy zapalamy drugą, z trudem dostrzegamy niewyraźne zarysy. Przy trzech lampach widać już tylko ich odbicia w szybach. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego, ale dla mnie to coś jakby dokonane na nowo odkrycie. To trochę dziwne, że światło przeszkadza nam widzieć...

Dziś jest jeszcze zimniej, poniżej minus dwudziestu pięciu stopni Celsjusza. Najważniejsza czynność to dokładanie do pieca, ubranie się zaś zajmuje wieki, nawet jeśli trzeba wyjść tylko na chwilę, po drewno ze stosu, który piętrzy się parę kroków za drzwiami. Po powrocie trzeba najpierw starannie otrzepać się ze śniegu i wyskubać lód z brody. W ubiegłym tygodniu musieliśmy rozbijać tafłę na strumieniu, żeby dostać się do wody. Teraz wody już nie ma, więc przynosimy wiadra wypełnione lodem.

Ptaki odleciały. Na klifach zapanowała cisza. Coś jakby oczekiwało.

## 12 października

Za cztery dni słońce zniknie na dobre. Zaraz po świcie zapada zmierzch. Z powodu mgły przez minione trzy dni nawet tego nie widzieliśmy. Nasz

obóz to wyspa zawieszona w pustce wypełnionej szarością. Jedyńm kolorem jest kolor szary. I wszędzie panuje cisza.

Bez przerwy towarzyszy ci niepokój. To dziecinne, ale prawdziwe: obawiasz się, że przegapisz ostatnie promienie słońca. Codziennie zaraz po obudzeniu zadajesz sobie pytanie, czy mgła się podniosła. Pewnie tak. Niestety okazuje się, że się nie podniosła i już w porze obiadu wiesz, że czekają cię kolejne dwadzieścia cztery godziny martwej, szarej ciszy. A jeśli mgła zniknie dopiero wtedy, kiedy będzie już za późno?

Chyba właśnie dlatego nie śpiam zbyt dobrze. Wiem, że mam sny, i że są mroczne i wyczerpujące, ponieważ budzę się niewyspany i zmęczony jak po walce, choć wcale ich nie pamiętam. Nie tylko ja cierpię na tę przypadłość. Algie często wstaje w nocy, Gus jęczy przez sen, a czasem, kiedy wchodzę do chaty, obaj milkną na mój widok. Nie powinno mnie to obchodzić, a jednak obchodzi. To boli. Wydawało mi się, że sprawa z foką otworzyła Gusowi oczy. Chyba nie zbliżył się znowu do Algiego? Psy również są niespokojne. Kiedy zaprzęgamy je do sań, zawsze kierują się na wschód, nigdy na zachód.

Dzisiaj o piątej po południu była moja kolej, żeby sprawdzić wskazania przyrządów pomiarowych. Oczywiście panowały już kompletne ciemności, lecz nawet wtedy padający śnieg tworzy coś w rodzaju przytłumionej, szarej poświaty. Jeśli zna się dobrze teren, bez trudu można znaleźć drogę, i choć nie sposób rozróżnić twarzy, da się łatwo rozpoznać sylwetki napotkanych stworzeń: arktycznego lisa, psa albo człowieka.

Oddech zamarzał mi w nozdrzach, kiedy brnąłem w kierunku stacji pomiarowej. Musiałem iść bardzo ostrożnie, przed trzema dniami spadł deszcz, więc pod warstwą śniegu był żywy lód. Nie lubię, gdy niesie się ze sobą własny hałas. Nie lubię, kiedy kaptur nasunięty na czoło zasłania wszystko, co dzieje się z tyłu i po bokach. W ubiegłym tygodniu spróbowałem zabrać ze sobą Isaaka. Prowadziłem go na sznurze przywiązany do uprzęży. Nic z tego nie wyszło. Był zdenerwowany, sapał

i kładł uszy po sobie. Przypuszczam, że to dlatego, że stacja pomiarowa stoi zaledwie trzydzieści jardów od skał, a on z jakiegoś powodu bardzo ich nie lubi. Może po prostu boi się morza?

Wszyscy jesteśmy podenerwowani. Będzie lepiej, kiedy wreszcie pożegnamy słońce na dobre, zapomnimy o nim i zajmiemy się innymi sprawami.

## 16 października

Widziałem to. Pisząc te słowa, oblewam się lodowatym potem, ale muszę o tym opowiedzieć. Muszę postarać się to zrozumieć.

Niebo wypogodziło się tuż przed południem, dzięki czemu udało nam się pożegnać słońce. Choć wypadła kolej Gusa, towarzyszyłem mu przy spisywaniu pomiarów, żeby obejrzeć wschód i zachód słońca, co właściwie oznaczało to samo. Algie został w chacie. Stwierdził, że ten widok za bardzo by go przygnębił. Tym razem nikt nie zaproponował toastu.

Półmrok. Za ptasimi klifami czerwona łuna przedświt, na zachodzie natomiast głęboka noc, roziskrzona punkcikami gwiazd. Spod śniegu wyłaniają się czarne kości gór. Na brzegu bieleją oszronione żebra wielorybów oraz skały schodzące łagodnie ku falom. Woda jest soczyście fioletowa, niezwykła.

Niewiele widzieliśmy ze względu na klify. Niebo zapłonęło nagle krwistą czerwienią, kiedy słońce usiłowało dźwignąć się nad horyzont. Przez mgnienie oka tuż nad widnokregiem błysnął srebrzysty, wąziutki skrawek, i niemal natychmiast znikł. I to było wszystko.

Zamknąłem oczy. Wciąż go widziałem pod opuszczonymi powiekami. Kiedy otworzyłem oczy, już go nie było. Została tylko szkarłatna poświata.

– A więc to tak – powiedział cicho Gus.

Cztery miesiące bez słońca. Wydawało się to kompletnie nierealne. Z psiarni dobiegło wycie.

– One też to czują.

Z trudem zdobyłem się na uśmiech.

– A ja myślę, że są po prostu głodne.

Skrzywił się.

– W takim razie będą musiały nieco poczekać. Wracasz?

– Za chwilę.

Miałem trochę czasu do ustalonej godziny transmisji. Nie chciałem tracić tego szkarłatnego blasku. Słyszając oddalające się kroki Gusa, obserwowałem, jak poświata stopniowo gaśnie nad klifem niczym stygnące węgle. Księżyc jeszcze nie wstał, ale było wystarczająco jasno, żeby widzieć. Wiatr ucichł, psy umilkły.

Nagle, bez żadnego powodu, ogarnęło mnie przerażenie. Nie niepokój, tylko potworna, paraliżująca panika. Całe ciało pokryło się gęsią skórą, serce podskoczyło do gardła, zmysły wyostrzyły się do granic możliwości. Moje ciało czuło, że nie jestem sam, choć ja w tamtej chwili nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Coś poruszyło się wśród skał, jakieś trzydzieści jardów ode mnie. Chciałem krzyknąć, ale język przywarł mi do podniebienia.

Coś czało się na skraju skał. Było zupełnie mokre, jakby przed chwilą wyszło z morza. Mimo to nic nie zakłócało ciszy. Nie słyszałem szmeru wody ściekającej na śnieg i kamienie, nie słyszałem szelestu mokrej odzieży, kiedy wyprostowało się, powoli i niezdarnie.

Stało twarzą do mnie, zupełnie czarne na tle morza. Ramiona zwisały nieruchomo po bokach, jedno wyraźnie wyższe od drugiego. Głowa była zupełnie okrągła. Od razu się zorientowałem, że to nie traper z sąsiedniego obozu, nie polarna fatamorgana ani nie „złudzenie optyczne”. Umysł nie podsuwa wyjaśnień przeczących faktom tylko po to, by zaraz potem je odrzucić. Wiedziałem, co to jest. Wiedziałem – a raczej wiedziała jakaś moja pradawna, ukryta głęboko część – że to coś jest martwe.

Z tyłu, za moimi plecami, skrzypnęły drzwi chaty i na śnieg wylała się

struga żółtego światła.

– Jack, już prawie wpół do pierwszej! – zawołał Gus. – Pora nadawania!

Chciałem odpowiedzieć, ale nie mogłem. Skały były puste. To coś znikło.

Stałem bez ruchu, oddychając przez usta. Za którymś razem udało mi się wreszcie wymamrotać, że wszystko w porządku i że zaraz przyjdę. Gus zamknął drzwi, światło znikło. Nie miałem na to najmniejszej ochoty, zmusiłem się jednak, by wyjąć z kieszeni latarkę, włączyć ją i podejść do skał. Zamarznięta wierzchnia warstewka śniegu była nienaruszona. Nie dostrzegłem żadnych śladów, żadnych oznak świadczących o tym, że przed chwilą ktoś wyszedł w tym miejscu z morza. Spodziewałem się tego, ale musiałem się przekonać na własne oczy. Stałem z opuszczonymi rękami, wsłuchany w mlaskanie fal i poskrzypywanie śniegu pod moimi stopami. Lęk znikł, pozostało tylko zdumienie. Myśli wirowały mi w głowie. To niemożliwe. Ale przecież sam widziałem. Ale to niemożliwe. Ale widziałem.

Wiem, choć nie potrafię powiedzieć skąd, że widziałem, właśnie postać, którą przed dwoma miesiącami dostrzegłem przy maszcie. Jest prawdziwa. I martwa.

## 17 października

Przez cały dzień zastanawiałem się, co właściwie widziałem i czy powinienem powiedzieć o tym pozostałym.

Do chaty wróciłem o 12.29, musiałem więc uwijać się jak w ukropie, by zdążyć z transmisją. W moim ciele przebywali dwaj ludzie: jeden pedałowal zaciekle, napędzając generator rowerowy, trzymając wyniki pomiarów w lewej ręce, a prawą wystukując wiadomość, drugi natomiast dopiero co widział ducha, który wyszedł z morza.

Nie pamiętam, co robiłem później, ale na pewno rozglądałem się po wnętrzu chaty: pomarańczowy blask lamp, skarpety i ścierki do naczyń na sznurze nad piecem, Gus i Algie zajadający owsiankę z syropem klonowym. Nie czułem się częścią tego, co tu widziałem, oni byli po jednej stronie, ja po drugiej. Jak to wszystko może istnieć w tym samym świecie, co tamta okropność? – pytałem się w duchu. Jakoś wytrzymałem do końca dnia i, o dziwo, zasnąłem jak suseł.

Dzięki Bogu, dzisiaj była kolej Algiego na sprawdzanie odczytów. Ja miałem dyżur w kuchni. Uczepiłem się tego jak tonący brzytwy. Na śniadanie przygotowałem potrawkę z ryżu, jaj i ryb. Algie nazywa to „internatowym przekładańcem”. Musiałem sobie przez cały czas powtarzać, że to jest rzeczywistość: zapach kawy, smak zimnej ryby i jaj ugotowanych na twardo.

Nawet nie wystawiłem nosa na zewnątrz, jeśli nie liczyć wypadów do wychodka. Wyszorowałem kuchnię, zrobiłem pranie, przygotowałem obiad, usiłowałem czytać czasopisma, obsługiwałem radiostację. Na kolację przyrządziłem gulasz z pemikanu. Jest to mieszanka chudej i tłustej wieprzowiny z dodatkiem białka, wysuszona i sprasowana w bloki. Taki

blok kruszy się, a następnie gotuje w wodzie. Jeśli wody jest za dużo, wychodzi z tego obrzydliwa lura; jeśli za mało – jeszcze bardziej odrażająca breja. Zwykle udaje mi się dać właściwe proporcje. Dorzucam ziemniaki, suszone warzywa oraz mój tajny dodatek – oxo – i w rezultacie otrzymuję smaczny, pożywny gulasz.

Zatajanie czegoś to ciężka praca. Czułem się tak wyczerpany, że prawie straciłem apetyt. Algie też był zmęczony, Gus zaś w nie najlepszym nastroju grzebał widelcem w talerzu. Nikt nie zaproponował, by włączyć radio. Położyliśmy się spać wcześniej niż zwykle.

Piszę to na pryczy. Za ścianą słychać odgłosy z psiarni. Jutro moja kolej na spisywanie odczytów. Boję się. Zabiorę Isaaka.

Nie jestem gotów, żeby powiedzieć o wszystkim Gusowi i Algiemu. Jeszcze nie. Chciałbym wierzyć, że to, co wtedy zobaczyłem, stanowiło wyłącznie wytwór mojego umysłu, bo oznaczałoby to, że nie było prawdziwe. Niestety, dobrze wiem, że tak nie jest. Czułem strach i widziałem to, co widziałem. Gruhuken jest nawiedzone.

A jednak użyłem tego słowa. Dlatego Eriksson nie chciał nas tu przywieźć. Dlatego załoga zawsze nocowała na statku i dlatego tak im było spieszo, żeby odpłynąć przed nadejściem ciemności. Co to jednak właściwie znaczy „nawiedzone”?

Sprawdziłem w słowniku Gusa. Nawiedzać: 1) odwiedzać osobę lub miejsce pod postacią ducha; 2) powracać (np. o wspomnieniach); 3) wielokrotnie wracać w to samo miejsce.

Żałuję, że tam zajrzałem. Tak pozornie niewinne wytłumaczenie czegoś naprawdę okropnego... Ale co to właściwie jest?

Echo. Echo przeszłości. Kiedyś o tym czytałem: nazywa się to „pamięcią miejsca”, pojęcie znano już w czasach wiktoriańskich. Coś niezwykle gwałtownego albo naładowanego emocjami na stałe wtapia się w miejsce, gdzie nastąpiło – być może wpływając na atmosferę, jak fale radiowe, albo zmieniając materię, czyli na przykład utrwalając w skałach to, co się działo

w pobliżu. Później, gdy pojawi się osoba o właściwej wrażliwości, miejsce odtwarza dawne zdarzenia albo ich fragmenty. Trzeba tylko umieć się dostroić, a kto nadaje się do tego lepiej niż radiooperator? Cha, cha.

Tak, z pewnością właśnie o to chodzi. Nie wydaje mi się, żeby z mojej strony było to rozpaczliwe racjonalizowanie. No bo cóż by innego? Tylko takie wytłumaczenie ma jakikolwiek sens. A to oznacza, że to co widziałem na skałach, naprawdę nie istnieje. Kiedyś – owszem, ale nie teraz. I tego muszę się trzymać.

Widziałem jedynie echo.

## 18 października

Ale echo czego? Jest piąta rano. Muszę to sobie uporządkować, zanim wyjdę spisać wyniki pomiarów z siódmej. Echo czego?

To musi być coś, co wydarzyło się tutaj. Coś niedobrego. Wiem o tym, bo bardzo się boję.

Przejrzałem wszystkie książki o Spitsbergenie, jakie przywieźliśmy, lecz nie znalazłem żadnej wzmianki o Gruhuken, wróciłem też do tego, co wcześniej napisałem w dzienniku o ludziach, którzy byli tu przed nami. Nie ma tego wiele, a poza tym nie wiem, do jakiego stopnia można wierzyć własnym informacjom, ponieważ pisząc tamte słowa, nie interesowałem się zbytnio tym tematem. Eriksson powiedział, że najpierw dotarli tu traperzy, a za nimi górnicy. Te wszystkie kości, pozostałości kopalni, zwoje drutu na plaży, tabliczki z prawem własności, chata... Właśnie, chata. To przygnębiające spustoszenie, jakie zobaczyłem, kiedy wpełzłem do środka. Czyżby jakiś traper albo górnik skończył tam ze sobą? Czy o to właśnie chodzi?

Muszę się dowiedzieć. Kierują mną wewnętrzny przymus i ciekawość podszyta lękiem. Ta sama, która tamtej nocy kazała mi zatrzymać się nad brzegiem Tamizy i patrzeć, jak wyciągają trupa z wody.



Pora się ubrać i pójść po te cholerne wyniki. Oczywiście zabieram Isaaka. Czy powinienem powiedzieć pozostałym o tym, co widziałem?

## 19 października

Minęły już trzy dni – i nic. Żadnych problemów. Wczoraj nic mnie nie niepokoiło podczas spisywania wskazań przyrządów. Isaak także był całkowicie spokojny. Próbował nawet wykopać jamę pod stacją pomiarową. Ośmieliło mnie to tak bardzo, że zabrałem go na plażę i do ruin kopalni na poszukiwanie śladów albo wskazówek. Rzecz jasna niczego nie znaleźliśmy. Było ciemno, wszystko przykrył śnieg. Zresztą, szczerze mówiąc, nie odważyłem się zostać tam długo. Żeby samemu sobie wydać się mniejszym tchórzem, zdjąłem z masztu „flagę” Algiego: martwego ptaka, który wisiał tam już od paru tygodni. Przypuszczałem, że zgnił, ale na to oczywiście było za zimno. Isaak pożarł go w ciągu paru minut.

Po trzech dniach bez żadnych nadzwyczajnych wydarzeń zaczynam się czuć coraz lepiej. W życiu nie należy się niczego bać, trzeba tylko próbować wszystko zrozumieć. Maria Curie miała rację: bałem się, ponieważ nie wiedziałem, z czym mam do czynienia. Teraz już wiem – albo przynajmniej stworzyłem sobie całkiem wiarygodną hipotezę – i daję sobie radę. Kiedyś będę musiał powiedzieć pozostałym, ale jeszcze nie teraz. Gdybym o tym mówił, wszystko stałoby się bardziej rzeczywiste.

Przyszła mi na myśl moja matka. Opanowała do perfekcji sztukę niemówienia o różnych sprawach. Nigdy nie chciała nam opowiedzieć, co przytrafiło się ojcu. Mawiała: „Nie, Jack. Bo to się robi naprawdę”. Pamiętam, jak się wściekałem. Przecież to jest naprawdę, mamó! No to bardziej naprawdę, odpowiadała. I miała rację.

Dziś po południu Algie niespodziewanie zapytał, czy mam ochotę przejechać się saniami, a ja od razu poczułem, że tak, i to ogromną. Tego właśnie potrzebuję: ciężkiego fizycznego wysiłku. Do diabła z całą resztą.

Trochę mi żal Algiego. Nie jest głupcem, doskonale wie, że działa nam na nerwy i że Gus lepiej czuje się w moim towarzystwie. Przypuszczam też, że czuje się nieswojo z powodu sprawy z foką i psimi zębami. Być może ta propozycja to z jego strony próba nawiązania nici porozumienia.

Sanie stały za wychodkiem. Przymarzły do ziemi tak mocno, że musieliśmy odrąbywać je siekierami. Potem zajęliśmy się zaprzęgnięciem psów. Jak tylko się zorientowały, o co chodzi, mało nie oszalały z radości, ponieważ uwielbiają biegać. Isaak chyba powiedział im, że jestem w porządku, bo zachowywały się wobec mnie całkiem przyzwoicie.

Sanie wykonano z twardego drewna, mają płozy okute żelazem i są praktycznie niezniszczalne. Mogą jechać po śniegu, lodzie, a nawet po kamieniach. Algie i ja stanęliśmy na końcu, zwolniliśmy hamulec i wystrzeliliśmy jak z procy. Psy biegły w milczeniu, ciągnąc mocno, w eskimoskiej formacji w kształcie wachlarza, która w porównaniu z europejską dwójkową sprawia wrażenie chaotycznej, ale okazuje się zaskakująco efektywna.

Boże, to było niesamowite! Podskakiwaliśmy i trzęśliśmy się tak gwałtownie, że niewiele brakowało, bym spadł na ziemię. Nie zapalaliśmy latarni, bo znacznie lepiej widać bez nich, jak tylko wzrok przyzwyczai się do blasku gwiazd i śniegu. Pędziliśmy na zachód, przez zamarznięty strumień, po skałach pokrytych lodem i śniegiem. Nie było czasu na strach, nie przy miękkim tupocie łap, zgrzytaniu płóz, wymachiwaniu ogonami, ostrej woni psich odchodów. Wszystko działo się szybko, wyraziście, intensywnie.

Algie nie używa bicza. Woła „ille, ille!”, kiedy chce, by psy skręciły w prawo, albo „yuk, yuk!”, kiedy mają skręcić w lewo, a one go słuchają. Skręciliśmy na południe, jadąc wzdłuż brzegu Wijdefiordu, po kamieniach przysypanych śniegiem. Isaak, biegnący na skraju formacji, co jakiś czas oglądał się na mnie. W pewnej chwili uznał, że ma już dosyć, zawrócił gwałtownie i wskoczył na sanie. Wybuchnąłem śmiechem, lecz mimo to

zgoniłem go na ziemię.

– Nie ma jazdy na gapę, leniuchu!

Żeby dać odpocząć psom, Algie zatrzymał sanie. Przewrócił je na bok, by zwierzęta nam z nimi nie uciekły. Upik i Svarten, najbardziej doświadczony, położyły się od razu i chłodziły zgrzane brzuchy w śniegu, pozostałe zaś albo się tarzały, albo stały, i ciężko dysząc, rozglądały się dokoła z wywieszonymi jęzorami. Algie zajął się rozplątywaniem uprząży Jensa i Anadarka, ja natomiast podszedłem do Isaaka. Futro miał obficie posypane śniegiem, było jednak tak grube, że płatki w ogóle się nie topiły. Trącił moją nogę nosem i przywarł do niej. Żadnego skakania, to nie taki pies.

Na południe od nas fiord wrzynał się głęboko między góry. Gdzieś tam, po drugiej stronie, stała chata trapera, przyjaciela Erikssona, ale nie mogłem dostrzec żadnego światła. Od ciemnego grafitu gór tu i ówdzie odbijały się smugi śniegu. Morze było czarne. Pomyślałem o drodze powrotnej, przez skały, i zadrzałem.

Do tej pory wydawało mi się, że jeśli komukolwiek miałbym opowiedzieć o tym, co mnie spotkało, to tylko Gusowi. Teraz jednak, patrząc, jak Algie pochyla się nad psami, poczułem ogromną chęć wyjawienia mu wszystkiego. Wiesz, parę dni temu przydarzyło mi się coś dziwnego... Natychmiast jednak przyszła refleksja: a jeśli on uzna, że zaczynam tchórzyć? Jeśli wszystko powtórzy Gusowi i zaczną się zastanawiać, czy jeszcze mogą na mnie polegać?

A jeżeli... Jeżeli wyznam mu wszystko, a on spojrzy na mnie i powie: „Cieszę się, że to widziałeś, Jack, bo ja widziałem to samo?”.

W końcu niczego nie powiedziałem. Ani jemu, ani Gusowi po powrocie do chaty. Teraz, pisząc te słowa na pryczy tuż przed zaśnięciem, żałuję. Mam już dosyć samodzielnego borykania się z tym ciężarem. Nie dam rady dłużej.

Jutro z samego rana, przy śniadaniu. Wtedy im powiem.

22 października

Za późno. Zaprzepaściłeś szansę. Już ich nie ma. Gus nie wstał na śniadanie. Leżał na pryczy, blady i osłabiony gorączką. Zirytował mnie tym. Chciałem, a raczej potrzebowałem, żeby szybko wydobrzeł. Nie dopuszczałem do siebie myśli, że mógłby być poważnie chory.

Nie wierzyłem w to nawet wtedy, kiedy gorączka się nasiliła, a on leżał z podkuloną jedną nogą, przyciskając obie ręce do brzucha. Podręcznik pierwszej pomocy wydany przez Czerwony Krzyż okazał się bezużyteczny, podobnie jak sole wątrobowe Andrews. Połączyłem się z Longyearbyen i odbyłem długą rozmowę z lekarzem, składającą się wyłącznie z pytań i odpowiedzi. Powiedział, że wygląda mu to na zapalenie wyrostka robaczkowego i że natychmiast wyrusza w drogę.

Niewiele pamiętam z minionych trzech dni. Algie i ja staraliśmy się pomóc Gusowi butelkami z gorącą wodą i morfiną. Jedliśmy, karmiliśmy psy, nadawaliśmy transmisje w wyznaczonej porze i prawie nie rozmawialiśmy. Wszyscy myśleliśmy o tym samym: co teraz będzie? Czy to koniec?

Lekarz przyplłynął na pokładzie Isbjørna – statek akurat był w Longyearbyen, kiedy wezwałem pomoc – a potem wydarzenia potoczyły się w błyskawicznym tempie.

Po prawie dwóch miesiącach spędzonych we trzech czułem się dość dziwnie, widząc innych ludzi, ale nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Dzięki Bogu lekarz stwierdził, że nie trzeba przeprowadzać operacji na miejscu, lecz że musi zabrać Gusa do Longyearbyen i tam go zoperować. Ktoś z nas powinien mu towarzyszyć, „na wszelki wypadek”.

Przez chwilę pragnąłem z całej duszy, żebym to był ja. Wyjedź stąd, zostaw to cholerne miejsce, Gus cię potrzebuje. Ale właśnie ta myśl wpłynęła na zmianę mojej decyzji. Gusowi zależało na powodzeniu tej wyprawy tak samo jak mnie. Gdybym wyjechał, zostawiwszy tu Algiego, oznaczałoby to koniec. Algie nie potrafiłby się zmobilizować, żeby

dopilnować wszystkiego. A Gus dobrze by wiedział, że ja na pewno dałbym sobie radę, że mogłem uratować wyprawę, ale tego nie zrobiłem. Te wszystkie myśli przemknęły mi przez głowę w krótkim czasie, jakiego potrzebowałem, żeby odciągnąć Algiego do kąta, w którym stała radiostacja. Lekarz i pan Eriksson zostali przy przyczynie Gusa.

– Ty jedź – powiedziałem.

Zerknął na mnie z ukosa.

– A co z tobą?

– A jak myślisz? – parsknąłem. – Wygląda na to, że będę musiał zostać.

– Chyba nie sam?

– Znasz inne rozwiązanie?

Przełknął ślinę.

– Mógłbyś pojechać z nami. Lekarz mówi, że jeśli wszystko dobrze pójdzie, wrócimy już za kilka tygodni.

– A psy? Co z tymi pieprzonymi psami, Algie? Ich przecież nie zabierzemy, a nie możemy tak po prostu ich tu zostawić. Moglibyśmy zaproponować paru ludziom Erikssona, że zapłacimy za to, żeby zostali tu i zajęli się nimi, ale coś mi się wydaje, że nie znaleźlibyśmy chętnych. Co więc nam pozostaje, he? Eriksson na naszym miejscu po prostu by je zastrzelił, lecz ja tego nie zrobię. Chyba że może ty?

Spojrzał na mnie jakoś dziwnie.

– Masz takie racjonalne podejście, Jack...

– Racjonalne? – Potarłem czoło. – Posłuchaj: nawet gdybym z wami pojechał, to czy sądzisz, że Gus będzie zadowolony? Całe przedsięwzięcie miałoby wziąć w łeb tylko dlatego, że nie byłbym w stanie zająć się wszystkim sam przez parę tygodni?

Nie oponował. Podejrzewam, że początkowy sprzeciw miał na celu wyłącznie ugaszenie wyrzutów sumienia. Już nie wracał do tego tematu.

Położyli Gusa na noszach, Algie wepchnął trochę rzeczy do plecaka i ruszyliśmy w kierunku brzegu. Pogoda była paskudna, silny wiatr siekł nam

w twarzę śniegiem z deszczem. Kiedy marynarze ustawiali nosze w łodzi, Eriksson ujął mnie pod ramię i odprowadził na bok. Upierał się, że nie mogę zostać sam, że powinienem płynąć z nimi. Sprzeczałyśmy się dłuższy czas, nim uznał się za zwyciężonego, ale na koniec spojrzał mi prosto w twarz i powiedział:

– To duży błąd. Ten, który chodzi... Widziałeś go, *ja*?

Aż się zachwiałem. W głębi duszy miałem chyba wciąż nadzieję, że to był jednak wytwór mojego umysłu. Georg Eriksson, doświadczony kapitan Isbjørna, właśnie położył kres tym nadziejom.

– Nieważne, co widziałem – odparłem. – Nie mogę zostawić psów i nie mogę narazić na szwank ekspedycji z powodu jakiegoś echa!

Nie zrozumiał, a zanim zdołałem mu to dokładniej wytłumaczyć, zawołano go do łodzi. Ja też tam poszedłem, żeby pożegnać się z Gusem, i nagle do mnie dotarło, że jest poważnie chory. Że może umrzeć. Poczuliśmy się tak, jakby ktoś kopnął mnie w żołądek. Gus może umrzeć.

Leżał skulony na noszach. W blasku latarni jego twarz wyglądała jak wykuta w kamieniu, niepokojąco podobna do maski pośmiertnej.

– Jack... – wyszeptał, ciężko dysząc. – Jesteś pewien? Możesz zmienić zdanie... Możesz jechać z nami...

– Nie, nie mogę – odparłem najłagodniej, jak potrafiłem. – Nie mogę pozwolić, żeby ekspedycję szlag trafił. Wrócisz za parę tygodni, zdrowy jak koń.

– Dziękuję, Jack. Bardzo ci dziękuję.

Zsunął rękawicę i wyciągnął dłoń. Chwyciłem ją i mocno uściskałem.

– Będzie mi ciebie brakowało.

Uśmiechnął się.

– Mnie ciebie też. Bądź ostrożny, Jack. Bądź ostrożny. Nie ruszaj się nigdzie bez psów.

– Spokojnie, zaopiekuję się nimi. Niczym się nie martw, tylko wracaj do zdrowia.

Zwilżył językiem usta.

– Świetnie sobie radzisz, Jack. – Gwałtownie wciągnął powietrze. – Nawet nie wiesz, jak... Świetnie sobie radzisz.

Istotnie, świetnie sobie radziłem – a przynajmniej na to wyglądało – kiedy odprowadzałem wzrokiem szalupę lawirującą między krami i górami lodowymi, słuchałem cichnącego stukotu silnika i patrzyłem, jak światła Isbjørna oddalają się na zachód. Jack Miller, zbawca wyprawy, heroicznie strzegący fortu aż do powrotu reszty załogi. Światła zamigotały... i znikły. Zostałem zupełnie sam na brzegu szarego morza liżącego mi buty, w nocy, która nie ma końca. Co innego mogłem jednak uczynić? Pozwolić, żeby przez jakieś głupie echa przeszłości nasza ekspedycja zakończyła się klęską? Już sobie wyobrażam, jak zdawałbym sprawozdanie w Królewskim Towarzystwie Geograficznym: „Okropnie mi przykro, panowie, nie zostałem, bo zobaczyłem ducha”. Czy mógłbym to zrobić Gusowi? Poza tym przecież nie jestem całkiem sam. Mam psy i radio, a gdybym potrzebował pomocy, nad Wijdefiordem mieszka ten traper.

Wiem, za bardzo się tłumaczę.

Musisz pamiętać, Jack, to tylko echo; jak odcisk stopy albo cień. Nie może cię skrzywdzić, najwyżej przestraszyć.

## 23 października

Jakoś przeżyłem pierwszy dzień. Receptą jest rutynowe działanie. Odczyty wskazań o siódmej, w południe i o piątej, transmisje radiowe pół godziny później. Za każdym razem brałem psy i nie miałem żadnych problemów – co najwyżej z tym, żeby je później złapać. Na szczęście garść słodczy potrafi zdziałać cuda. Szczególnie lubią baryłeczki z brandy i landrynki owocowe. Najlepsze trzymam dla Isaaka.

Krzątając się przy gotowaniu, rąbaniu drewna, obsłudze radiostacji, karmieniu i pojeniu psów, często rozmawiam ze sobą.

– No dobrze, co zrobimy na śniadanie? Jajka sadzone? A na kolację? Może curry? W porządku, niech będzie curry!

Zauważyłem, że zwracam się do siebie w liczbie mnogiej, nigdy „Jack” albo „ty”. Widocznie nie chcę sam przed sobą przyznać się do samotności.

To zupełnie nowe doznanie: móc swobodnie rozrzucić swoje rzeczy po całej chacie i jeść to, na co akurat mam ochotę. Wczoraj na kolację przygotowałem sobie zapiekankę z wołowiny i ziemniaków, z dodatkiem cebuli i sera. W piecu jest zawsze napalone, lampy mają przycięte knoty, beczułka na wodę stoi pełna. Stosuję system, który sami odkryliśmy i dopracowaliśmy do perfekcji: ładuję do beczuлки śnieg, dolewam wrzątku z czajnika, napełniam czajnik śniegiem i stawiam na piecu. Cokolwiek robię, robię to bez przerwy. Nie lubię ciszy, która zapada, kiedy nieruchomieję.

Najgorsze w samotności jest to, że gdy wychodzę sprawdzić wskazania przyrządów albo na spacer z psami, z obawy przed pożarem nie mogę zostawić rozpalonego pieca ani zapalanej choćby jednej lampy. To jeszcze ważniejsze niż zasada każdorazowego zamykania drzwi. W rezultacie wracam zawsze do ciemnej, zimnej chaty. Zbliżając się, usiłuję nie patrzeć



w ślepe, czarne okna. Kiedy wchodzę na ganek, moje kroki rozlegają się zbyt głośno, za głośny jest też mój oddech, który brzmi jak oddech kogoś innego. Najbardziej nie lubię chwili, gdy zamykam za sobą zewnętrzne drzwi i jestem sam w długim, ciemnym korytarzu. W świetle latarki rozmaite przedmioty zdają się wyskakiwać na mnie z mroku. Wodoodporne płaszcze na wieszakach wyglądają jak... No, wcale nie wyglądają jak puste ubrania. W dużym pokoju panuje lodowate zimno. Czuć zapach dymu i nafty. I jest zupełnie cicho.

Na niebie wisi sierp księżycy, lecz wkrótce i on zniknie. Zamierzam powiesić latarnię na porożu nad wejściem.

Wczoraj wieczorem uruchomiłem gramofon, potem włączyłem radio, ale odcieleśnione dźwięki i głosy sprawiły, że poczułem się jeszcze bardziej samotny. Wziąłem się więc do czytania. Towarzyszyło mi syczenie lamp, trzask drewna płonącego w piecu i tykanie budzika Gusa. To model podróżny, w portfelu z cielęcej skóry, wyprawionej na zielono, gładkiej i chłodnej w dotyku. Tarcza otoczona pozłacanym pierścieniem jest piękna i prosta. Trzymam go zawsze blisko siebie.

Nigdy w życiu nikogo nie brakowało mi tak bardzo jak Gusa. To dziwne. Miałem dziesięć lat, kiedy umarł ojciec, i chociaż go kochałem, szybko przestałem za nim tęsknić – być może dlatego, że chorował przez wiele lat, więc zdążyłem zaznać żałoby jeszcze za jego życia. Podobnie z matką: była bardzo zmęczona i chciała już odejść. Nie rozpacziałem po nich obojgu długo. Tym razem natychmiast po wyjeździe Gusa pojawił się dotkliwy ból, który nie chciał ustąpić. Czy tak właśnie czuje się ktoś, kto traci brata? Albo najbliższego przyjaciela? Czuję się zdezorientowany i nie bardzo wiem, co o tym myśleć. Za to z pewnością nienawidzę Algiego za to, że jest z nim, kiedy ja nie mogę.

Piszę to o ósmej wieczorem, siedząc przy stole ze szklaneczką whisky, w blasku trzech lamp. Każdy, kto wszedłby na ganek i zajrzał do środka, widziałby mnie doskonale. Rzecz jasna, nikt nie zagląda, ale ja i tak czuję

się nieswojo. Szczególnie gdy podnoszę wzrok i widzę czarne szyby. Chętnie bym je czymś zasłonił, żeby uchronić się przed wzrokiem nocy.

Przez kilka minionych tygodni poznałem się bliżej z radiooperatorem ze stacji meteorologicznej na Wyspie Niedźwiedziej. Nazywa się Ohlsen. W Bodø ma żonę i dwie córki, za którymi bardzo tęskni. Odkąd tamci wyjechali, nie mam jednak ochoty na pogaduszki. Nie lubię pedałowac ze słuchawkami na uszach, odwrócony plecami do pokoju, bo nie wiem wtedy, co się dzieje za mną – chociaż, rzecz jasna, nie dzieje się nic.

Martwię się o Gusa. Jeszcze nie dopłynęli do Longyearbyen. A jeśli jego stan się pogorszy i operację trzeba będzie zrobić na statku? Zapomniałem poprosić Algiego, żeby zawiadomił mnie, jak tylko cokolwiek będzie wiadomo, ale chyba sam się domyśli, żeby to zrobić.

Jest pogodnie, bardzo zimno (minus dwadzieścia pięć stopni) i bezwietrznie. Około dziesiątej rano na południowym wschodzie, za klifami, pojawia się bladozielona poświata – dowód na to, że słońce jednak gdzieś tam istnieje. Na północnym zachodzie niebo przez cały czas jest smoliście czarne. W taki pogodny dzień jak dzisiaj poświata przybiera na sile i nabiera różowozłocistego odcienia. Na jej tle wyraźnie widać postrzępione górskie szczyty, a lodowiec zdaje się świecić własnym światłem. Człowiek prawie zaczyna wierzyć, że zbliża się świt... Ale nic z tego: wkrótce ponownie robi się zupełnie ciemno, cienie wypełniają się głęboką purpurą, brzask przygasa i zmienia odcień z powrotem na zielonkawy, aż wreszcie niknie zupełnie. A najgorsze jest to, że jeśli jestem wtedy w chacie, to i tak nic nie widzę, bo okna wychodzą na północny zachód, gdzie panuje wieczna noc.

## 24 października

Kładąc się spać, postawiłem na krześle przy pryczy zapaloną lampę, ale co chwila budziłem się, by sprawdzić, czy nie przewróciłem jej we śnie, tak że w końcu musiałem ją zgasić. Zapadłem w półsen, w którym ogarnęło

mnie przerażające przekonanie, że na pryczy nade mną ktoś leży. Wyraźnie widziałem od spodu uginający się materac i słyszałem skrzypienie desek. Ocknąłem się gwałtownie, zebrałem w sobie odwagę, wstałem i włączyłem latarkę. Oczywiście na pryczy leżało tylko zmięte ubranie.

Żałuję, że nie przywieźliśmy specjalnych nocnych lamp. Pamiętam doskonale pozycję na liście zaopatrzeniowej sił zbrojnych: nocne lampki Clarka, 12 szylingów 9 pensów za tuzin, palą się do dziewięciu godzin.

Isbjørn z pewnością dotarł już do Longyearbyen. Być może Gus jest już po operacji. Być może.

Przestań, Jack. Zajmij się przygotowaniem śniadania. Owsianka z odrobiną pemikanu, babeczki z dżemem jeżynowym. Jak zjesz, od razu się lepiej poczujesz.

Kolejny zimny bezwietrzny dzień (minus dwadzieścia osiem), ale tym razem pochmurny, więc bez fałszywego brzasku. Nad morzem wisi smuga najgłębszej czerni, która wygląda jak front złej pogody, ale nie jestem w stanie ocenić, czy się zbliża, czy oddala. Cisza działa mi na nerwy. Gdzie burze śnieżne, które powinny tu występować jesienią?

W ustawicznej ciemności określenia takie jak „rano”, „południe” i „noc” przestają mieć jakiegokolwiek znaczenie, ja jednak wciąż je stosuję, traktując jako punkty odniesienia w pustce wypełnionej wiecznym mrokiem. Zdaję sobie sprawę, że „wieczór” to tylko czas między transmisją o siedemnastej trzydziści a odczytami o siódmej „rano”, lecz mimo to dziarsko zacieram dłonie i pytam głośno: „No, co będziemy robili dziś wieczorem?”.

Dzisiejszy dzień upłynął spokojnie, nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego. (Nawet w dzienniku nie piszę o tym wprost, używam różnych eufemizmów. „Coś nadzwyczajnego”. Co to ma właściwie znaczyć? Na pewno nie „coś wspaniałego”. Już prędzej „coś niewłaściwego”. Właśnie. To dobre określenie).

To zabawne, co można znaleźć, zupełnie tego nie szukając. Po raz kolejny przejrzałem wszystkie książki o Spitsbergenie, na wypadek gdybym

przeoczył informację o czymś, co się tu wydarzyło. W jednej z nich, wydanej w roku 1913, przedstawia się wyspę jako górniczy raj: bogate, łatwo dostępne złoża węgla, dogodne kotwiczowiska blisko brzegu, brak podatków, przepisów i praw. Każdego lata – jak pisze autor – przybywa tu mała armia poszukiwaczy i górników z Rosji, Ameryki, Niemiec, Norwegii i Wielkiej Brytanii. Często zdarzają się nieporozumienia, z braku sądów rozwiązywane na miejscu, w przyspieszonym tempie. W jaki sposób? Czy o to właśnie chodzi? O jakiś spór?

Nie znalazłem żadnej wzmianki o Gruhuken, ale w jednej z książek trafiłem na rozdział o miejscowym folklorze, który pominąłem podczas pierwszej lektury. Nie pozwolę, żeby za jego sprawą w mojej głowie pojawiły się jakieś rojenia. I tak jest ich tam już wystarczająco wiele.

Wśród książek Gusa o botanice i biologii znalazłem pamiętnik oprawiony w granatowe płótno. Nie miałem pojęcia, że sporządza prywatne zapiski, sądziłem, że prowadzi tylko oficjalny dziennik ekspedycji. Może to dziecinne, ale gdy zobaczyłem jego charakter pisma, łzy napłynęły mi do oczu. Odstawiłem dziennik tam, gdzie go znalazłem. Oczywiście, nieprzeczytany.

## 25 października

Wspaniałe wieści! Wiadomość z Longyearbyen!

OPERACJA GUSA SUKCES STOP WSZYSTKO DOBRZE STOP  
ZAWIADOMILEM RODZICOW STOP TRZYMAJ SIE CHLOPIE STOP  
NIEBAWEM WRACAMY STOP ALGIE STOP

Dzięki Bogu! Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że niepokój przez cały czas czaił się we mnie jak zwinięta sprężyna. Kiedy odebrałem wiadomość, ogarnęła mnie tak wielka radość, że z trudem zdołałem ją zapisać. Z Gusem wszystko w porządku! Niedługo wróci i wszystko będzie tak, jakby nigdy nie wyjeżdżał!

Uczciłem doskonałe wieści, polewając poranną owsiankę syropem klonowym i whisky, zaraz potem jednak sumiennie wróciłem do obowiązków i uruchomiłem dużą radiostację, by przekazać cotygodniowy raport do Anglii. (Łatwiej to powiedzieć niż zrobić, bo to oporne bydlę nie znosi chłodu, więc muszę ogrzewać lampy na piecu). Jestem dumny z relacji dla „Timesa”. Udało mi się zachować rzeczowy, profesjonalny ton: kierownik wyprawy chwilowo niedysponowany, jego obowiązki czasowo przejął radiooperator. Nie chcę, żeby zaczęli się ekscytować faktem, że zostałem sam.

„Dzień” był pogodny – poświata nad horyzontem okazała się wystarczająco silna, żeby tak go nazwać – zabrałem więc psy na spacer na plażę. Mój Boże, co ja bym bez nich zrobił? Są niesamowicie żywotne i przyjazne. Uwielbiam odgłos ich szybkich stąpień po śniegu, kiedy ganiają tu i tam, wywąchując rozmaite zapachy, a potem biegną do mnie, by opowiedzieć o tym, co znalazły. Upik nie jest aż tak ostra, jak przypuszczałem, ale niezwykle odważna. Jej partner, Svarten, bywa wobec mnie nieśmiały, za to utrzymuje porządek w stadzie. Kiawak ma równie czarną sierść jak on, długie futro i brązowe brwi. Nie znosi mieć mokrych łap. Eli jest białokremowy i niezbyt bystry (czasem nazywam go Głupim Blondynem). Pakomi, Jens i Anadark są maści wilczej: skołtunione szarobrązowe futro z czarnymi końcówkami włosów. To rozrabiaki, uwielbiają wskakiwać na dach psiarni, by rozejrzeć się po okolicy. Podejrzewam, że planują już wyprawę na dach chaty. Isaak także przypomina wilka, ale ma ładniejszy pysk i niesamowite, jasnoblękitne ślepie. Pomyśleć, że chciałem zostawić psy, a nawet zaproponowałem, żeby je zastrzelić!

## Później

Na zatoce pojawiła się cienka warstwa lodu. Nie zauważyłem jej podczas

spaceru z psami, dopiero wieczorem, po odczytach o piątej. Jest naprawdę bardzo cienka. Kiedy rzuciłem kamieniem, roztrzaskała się na długie, ostre kawałki. Przyływ z pewnością je rozproszy, muszę się jednak przygotować na to, że prędzej czy później morze całkiem zamarźnie. Ale kiedy?

Eriksson mówił, że węglowce docierają do Longyearbyen nawet w listopadzie, lecz Gruhuken leży przecież dalej na północ. A jeśli morze zamarźnie przed powrotem Gusa i Algiego? Jeśli będę musiał zostać tu sam aż do wiosny?

## 26 października

Nic się nie stało, po prostu napędziłem sobie stracha i tyle. Co za głupota. Muszę bardziej uważać. Gdyby coś mi się przydarzyło, z pewnością nie byłoby mi do śmiechu.

Kolejny bezwietrzny dzień, z dużym zachmurzeniem, a więc bez fałszywego brzasku. O szóstej trzydzieści „rano”, kiedy wypuszczam psy, zaczyna padać śnieg. Bezszelestnie, łagodnie odgradza mnie od świata. Nie ma morza, gór ani nieba. Psy pojawiają się i znikają w szarości jak cienie. Błogosławię w duchu Erikssona za to, że podsunął nam pomysł z wytyczeniem najważniejszych tras za pomocą lin.

Tylko ta cholerna stacja pomiarowa... Zadaniem żaluzji jest chronić przyrządy przed słońcem, ale że słońca nie ma, zarastają szronem i lodem, które muszę usuwać trzy razy dziennie. Mogę to robić wyłącznie za pomocą noża. Zajęcie jest bardzo niewygodne, częściowo ze względu na wysokie buty, w których ciężko się poruszać, a częściowo przez śnieg i lód, które sypią się w oczy. Lampa czołowa niewiele pomaga, ponieważ snop światła skierowany w górę bezużytecznie grzeźnie w ciemności. Tak bardzo chciałbym usłyszeć odgłos kroków Gusa zbliżającego się od strony chaty! Do licha, mógłby to być nawet Algie, pogwizdujący Sam w *blasku księżyca!*

To się zdarzyło tuż po odczytach o piątej. Psy dokądś pobiegły, ale

wiedziałem, że niezbyt daleko, bo do pory karmienia została niespełna godzina. Śnieg sypał gęsto, niezbyt mocny, lecz stały wiatr tworzył z płatków ukośnie tkaną zasłonę. Właśnie uporałem się z czyszczeniem żaluzji i brnąłem przez śnieg w kierunku chaty: z wyłączoną lampą, skulony, z jedną ręką na linie. Smugi śniegu, niesione wiatrem tuż nad ziemią, próbowały chwytać mnie za nogi jak gigantyczne palce. Słyszałem własny chrapliwy oddech i skrzypienie śniegowców i uważałem, żeby się nie odwracać. Kiedy idę w śniegowcach, doświadczam nieprzyjemnego złudzenia, że ktoś podąża za mną, że za plecami słyszę czyjeś kroki. Rzecz jasna, to tylko echo moich kroków.

Otarłem oczy ze śniegu... i zobaczyłem kogoś stojącego przed drzwiami chaty. Tak mnie to zaskoczyło, że zawadziłem nogą o nogę, potknąłem się i przewróciłem, wskutek czego uderzyłem boleśnie biodrem o skałę. Chwilę potem uświadomiłem sobie, że to tylko maszt.

Co za głupota. Co się z tobą dzieje, Jack? Za chwilę zaczniesz się bać własnego cienia! Od tej pory znacznie bardziej uważaj na to, co robisz. Co by było, gdybyś złamał nogę? Albo rąbnął głową w kamień i stracił przytomność?

## Później

Około szóstej przestało padać i ponownie zapadła bezwietrzna cisza. Mimo to wcale nie czuję spokoju. Bywają cisze, które nie mają nic wspólnego ze spokojem. Nauczyłem się tego tu, w Gruhuken.

Przyłapałem się na tym, że chodzę na palcach, starając się czynić jak najmniej hałasu. Zupełnie jakbym nie chciał zwrócić na siebie uwagi... Właśnie: czyjej? Myślę o tych traperach w chacie na Wyspie Barentsa. O ich lęku przed ciemnością za progiem.

Trudno mi się na czymkolwiek skoncentrować. Często zrywam się, by poprzyćcinać knoty w lampach, albo uzupełniam w nich naftę, choć zbiorniki

są prawie pełne. Bez przerwy sprawdzam baterie w latarkach, a kiedy wychodzę, oprócz lampy czołowej zabieram co najmniej dwie latarki, a dodatkowo także lampę naftową. Mimo to i tak jestem pełen obaw. A jeśli baterie zawiodą? Jeśli upuszczę lampę?

Aż do tej pory nie rozumiałem, czym jest tęsknota za światłem. Nie zdawałem sobie sprawy, że istnieje zasadnicza różnica między fałszywym zmierzchem albo świtem, pojawiającymi się na krótko co dwadzieścia cztery godziny, a całkowitą ciemnością. Godzina szarówki przywraca poczucie normalności, pozwala stwierdzić: O, tam jest niebo, tam ziemia, a tam morze. Świat wciąż istnieje. Kiedy jednak okno wypełnia nieprzenikniona czerń, przerażająco szybko człowiek zaczyna wątpić w istnienie tego wszystkiego. W głowie pojawiają się niepokojące myśli: Może za oknami jest tylko pustka? Może jest jedynie ta chata i ja w środku, a na zewnątrz nie ma zupełnie nic?

Lęk przed ciemnością. Zanim tu przyjechałem, wydawało mi się, że to wyłącznie dziecięca przypadłość, że z tego się wyrasta. On jednak nigdy całkiem nie znika. Zawsze czai się gdzieś w pobliżu. Najstarszy lęk ze wszystkich. Co jest tam, w głębi jaskini?

Eriksson miał rację: nie należy zbyt wiele myśleć. Staraj się być ciągle zajęty, chodź na spacer, powtarzał. Będę się ściśle stosował do jego rad. Szczególnie jeśli chodzi o spacer.

## 29 października

Trzy dni deszczu. Bez fałszywego brzasku, bez księżyca i gwiazd. A deszcz jest lodowaty, najzimniejszy, jakiego w życiu doświadczyłem.

Po ostatnim wypadku chyba trochę puściły mi nerwy, nie odważyłem się już na przechadzki po plaży. Zamiast tego chodzę dokoła chaty, jedną ręką dotykając ściany, żeby się nie zgubić. Oczywiście zawsze z włączoną lampą czołową.



Znam już na pamięć każdy gwóźdź i każdy naderwany strzep papy. Podczas obchodu przeżywam czasem chwile grozy, a czasem czuję się całkiem bezpiecznie. Zaraz za drzwiami skręcam w prawo, mijam stos drewna na opał oraz beczki z naftą. Dalej są wychodek i paka z węglem, o którą opierają się sanie. Teraz muszę zejść z ganku, ale nie przejmuję się tym, bo to najprzyjemniejsze miejsce: psiarnia. Otwieram drzwi ze skobla i atakują mnie pyski, łapy i ogony. Psy towarzyszą mi zwykle przez jakieś dwa okrążenia, lecz potem, znudzone, rozbiegają się we wszystkie strony. Tylko Isaak kręci się w pobliżu nieco dłużej – być może wie, że zawsze mam dla niego czekoladkę. Niekiedy biorę go na smycz, zwykle jednak nie mam serca pozbawiać go okazji do pobiegania i zostaję sam.

Za psiarnią jest gorzej, ponieważ moja dłoń ukryta w rękawiczce traci kontakt ze ścianą i dotyka nagiej skały. Kiedy mijam skupisko głazów, zwalniam z obawy przed tym, co może czekać mnie za zakrętem. Wołam, żeby przepłoszyć... co? Lisy? Niedźwiedzie? Pola lodowe jeszcze nie dotarły do wyspy, więc szanse na spotkanie z niedźwiedziem są prawie żadne. Obecność psów zmniejsza je jeszcze bardziej.

Przeszedłszy obok głazów, ponownie dotykam ręką ściany i wracam na ganek. Mogłoby się wydawać, że powinienem odczuwać ulgę, ale tak naprawdę nienawidzę tego miejsca, bo tu właśnie stała stara chata traperów. Przyspieszam kroku ze wzrokiem utkwionym w zbawczy blask latarni sztormowej zawieszanej na porożu nad drzwiami. Robię wszystko, żeby nie patrzeć na maszt sterczący zaledwie trzy kroki od wejścia. Staram się, by nawet na ułamek sekundy nie padł na niego snop światła z mojej lampy. Docieram do drzwi i uderzam w nie pięścią „na szczęście”. Dobra robota, Jack. Jedno okrążenie za tobą, zostało już tylko dziewiętnaście.

Wyznaczyłem sobie normę dwudziestu okrążeń dziennie i ściśle jej przestrzegam. To klamra spinająca mój czas, punkt odniesienia dla mojej egzystencji, tak jak odczyty danych i transmisje.

Do podobnej rangi urosło suszenie odzieży. Godzinami wywracam

rękawice na lewą stronę, rozwieszam skarpety nad piecem, pilnuję, żeby nie zaczęły się przypalać. Każda część odzieży to mój zaufany przyjaciel. Dziś po południu niewiele brakowało, bym zaczął gawędzić z szalikiem. Przyjacielem jest także piec, tyle że nie stałym, a kiedy mocno wieje, nasze relacje stają się dość napięte. Krzątam się przy nim i namawiam go, żeby się bardziej postarał, otwieram drzwi i obserwuję trzepotanie płomieni, ciesząc się z każdej rozpalonej szczapy. Jeżeli odmawia współpracy, obsypuję go wyzwiskami.

W Londynie wydawało mi się, że jestem samotny, ale to było nic w porównaniu z moją obecną sytuacją. Samotny? Przecież otaczały mnie miliony ludzi! Tu nie mam nikogo. Jestem jedynym człowiekiem na tym obszarze...

Zamknij się, Jack. Nie pomagasz sobie w ten sposób.

## Później

Wiadomość od Algiego: Z GUSEM LEPIEJ ALE LEKARZ MOWI ZE PRZYJAZD NAJWCZESNIEJ ZA DWA TYGODNIE STOP PRZYKRO MI STARY STOP ALGIE STOP

Dwa tygodnie? Chodząc w tę i z powrotem, starałem się przyswoić tę wiadomość. Przeżyłem w samotności tydzień, a wydawało mi się, że to co najmniej miesiąc. Jak wytrzymam jeszcze dwa? I co to znaczy „najwcześniejszy”?

Dwa tygodnie, czyli w połowie listopada. Boże. Czy morze do tego czasu nie zamrznie? Czy uda im się dopłynąć?

Whisky. Dużo whisky. To powinno pomóc.

## 30 października

Przeczytałem ten rozdział o folklorze i bardzo tego żałuję. W większej

części wcale nie dotyczył Spitsbergenu, a przynajmniej nie bezpośrednio. To raczej dość nieprzyjemne zestawienie skandynawskich wierzeń i obrzędów, częściowo mających sporo wspólnego ze staroangielskimi. Na przykład przekonanie, że morskie ptaki przynoszą szczęście podczas połowów, albo zwyczaj rzucania przez ramię szczypty soli dla ochrony przed urokiem. Przypomniałem sobie, że robiła to moja matka.

„Niektóre obszary na Spitsbergenie” (ale nie napisano, które konkretnie) rzekomo nawiedzają „umrzyki”. Umrzyk to duch topielca, który czai się na przybrzeżnych płyciznach, by porwać i wciągnąć w głębinę niczego niespodziewającą się ofiarę. Kiedy fale wyrzucają na brzeg ciało, powstaje dylemat: pochować je, pozbawiając tym samym morze jego własności, czy zostawić, narażając się na nieprzyjemności ze strony ducha? Najbardziej spodobało mi się to „kiedy”: czyżby tak często znajdowano tu topielców?

A potem to: zdaniem ludzi znających te wyspy szczególną ostrożność należy zachować na początku nocy polarnej. Niektórzy twierdzą, że siedem tygodni przed Bożym Narodzeniem na Spitsbergenie otwierają się groby.

Siedem tygodni przed Bożym Narodzeniem, czyli 31 października. Halloween.

No dobrze, Jack. I co z tego?

Kiedy byłem mały, dostałem od ojca książkę zatytułowaną *Baśnie ludów Północy*. Większość historii dotyczyła wiedźm, trolli i duchów harujących w wigilię Wszystkich Świętych. Jeśli się zastanowić, jest to całkowicie zrozumiałe. To naturalna reakcja na życie w tych warunkach. Podczas wielomiesięcznej nocy polarnej, gdy człowiekowi się wydaje, że cały świat umarł, można uwierzyć w każdą rzecz. Najważniejsze, by pamiętać, że to właściwie nic nowego, że wszystko już gdzieś kiedyś wymyślono.

Jutro jest 31 października.

## 31 października

Czy ja to sprowokowałem? Czy niedawna lektura uczyniła mnie bardziej podatnym na takie przeżycia? Czy to z powodu daty?

Nocą spadł śnieg. Kiedy o siódmej rano wyszedłem spisać wskazania przyrządów, zrobiło się znacznie cieplej, zaledwie minus dwadzieścia stopni. Dzięki Bogu, był czysty i pogodny „poranek”: wysypane gwiazdami niebo w kolorze indygo, a na tym tle jaskrawy sierp księżycy. Świeży śnieg spowił obozowisko przedziwną szarawą poświatą. W jej ledwo uchwytnym blasku widziałem wykrzywione żebra wielorybów na plaży i góry lodowe w zatoce. (Na całe szczęście morze wciąż jeszcze nie zamarzło. Postanowiłem, że od dzisiaj trzy razy dziennie będę sprawdzał jego stan).

Zawstydziłem się swojego tchórzostwa. Te żałosne spacerki wokół chaty, na wyciągnięcie ręki, jakby każde odejście od ściany wiązało się z ryzykiem zagubienia się na zawsze. Nie mogę sobie pozwolić na takie zachowanie. Przecież zostały mi jeszcze tylko dwa tygodnie. Tak więc w bojowym nastroju zabrałem psy na daleki spacer.

Początkowo było wspaniale. Psy skakały wokół mnie, ujadały, goniły się i baraszkowały w śniegu. Isaak szarpał się na sznurze – przyuczam go do chodzenia na smyczy – ale nie ustąpiłem, więc szybko zrezygnował i dreptał potulnie przy mojej nodze. Byłem mu za to wdzięczny, ponieważ na nogach miałem śniegowce, w dłoniach kijki narciarskie, a przez ramię przerzuciłem strzelbę. W miarę jak robiło się coraz „jaśniej”, posuwaliśmy się w górę zamrzniętego strumienia, a ja gratulowałem sobie decyzji. Widzisz, Jack? Wystarczy odrobina odwagi! Spójrz, jak tu pięknie! Falujące białe wzgórza, lśniące skaliste szczyty, kępy zmarzniętej trawy wychylające się spod śniegu... Nawet pozostałości kopalni nabrały innego wyglądu.

Isaak zaszczekał z podniecenia, a ja w oddali dostrzegłem ciemne kropki poruszające się na białym tle. Renifery! Widzisz? – powtarzałem sobie, powstrzymując psa wyrywającego się do przodu. Tu jest nawet życie. Wystarczy trochę śmiałości, żeby wyjść i go poszukać.

Psy puściły się w pogoń za reniferami, które odchyliły głowy do tyłu i rzuciły się do ucieczki. Husky szybko się zorientowały, że nie mają najmniejszych szans, i w podskokach wróciły do mnie.

Wspinaczka była męcząca, więc szybko zacząłem się obficie pocić. Technika chodzenia w śniegowcach polega na tym, żeby wbijać czuby jak najgłębiej w śnieg; wówczas zamocowane tam kolce zahaczają o twardsze podłoże i można posunąć się naprzód o kolejny krok, odpychając się z całej siły kijkami. Po kilkudniowych opadach deszczu pod warstwą świeżego śniegu był dość solidny lód, w związku z czym każdemu krokowi towarzyszył głośny trzask pękającej lodowej skorupy. W pewnej chwili jeden ze śniegowców się rozwiązał i musiałem przyklęknąć, by ponownie zawiązać rzemienie.

Kiedy wstałem, widok zupełnie się odmienił. Górskie szczyty unosiły się nad mgłą, która zdążyła już częściowo przesłonić morze niczym zasłona z tiulu. Mgła błyskawicznie gęstniała, po chwili już tylko z najwyższym trudem mogłem dostrzec granicę między lądem i wodą.

– Chyba pora wracać do domu – odezwałem się, patrząc na Isaaka.

Zawróciliśmy. Truchtał przodem, oglądając się co chwila za siebie, jakby chciał zapytać, dlaczego nie idę szybciej. Patrzyłem pod nogi, ostrożnie stawiając kroki. Kiedy znowu podniosłem wzrok, gór już nie było. Mgła połknęła także obozowisko i morze. Na twarzy czułem jej wilgotne macki.

– Im szybciej znajdziemy się w domu, tym lepiej – powiedziałem do Isaaka.

W ciszy mój głos brzmiał drżąco i niepewnie. A cisza była wyjątkowo głęboka. Odważnie włączyłem lampę czołową. Niewyraźna sylwetka Isaaka

przypominała jakiegoś baśniowego okropnego stwora. Snop światła sięgał najwyżej na metr, może półtora, lecz przynajmniej widziałem własne ślady wiodące z powrotem do chaty. To jedna z zalet śniegowców. Byłe głupiec zdołałby za mną trafić takim tropem.

Nie mam pojęcia, w jaki sposób, ale zszedłem ze szlaku. Z niedowierzaniem rozglądałem się dokoła: nic, nawet najmniejszego śladu. Wyjąłem z kieszeni latarkę i włączyłem, jednak snop jej światła również sięgał na jard, najwyżej półtora. „Snop” to zresztą znacznie przesadzone określenie, raczej rozproszony, słaby blask, błyskawicznie roztopiający się w szarości.

W dół, pomyślałem. To najlepsze rozwiązanie. Otaczała mnie jednak nieprzenikniona szarość, a bez jakiegoś punktu odniesienia nie mogłem ustalić ukształtowania terenu. Zakręciło mi się w głowie. Nie wiedziałem już, gdzie góra, a gdzie dół. Ruszyłem na oślep przed siebie, niemal natychmiast się poślizgnąłem, w tej samej chwili Isaak poczuł jakiś zapach i pognał naprzód. Upadłem, koniec sznura wysunął mi się z dłoni, zostałem sam.

– Isaak! – zawołałem co sił w płucach, ale mój głos wydobywał się jak spod grubej kołdry. Pies nie zawrócił.

Klnąc siarczyście, oparłem się na kijkach i z trudem dźwignąłem się na nogi. Mgła napierała ze wszystkich stron.

– Svarten! Upik! Anadark! Jens! Isaak!

Nic. Zataczając się, ruszyłem dalej.

Nie, Jack. Nie w tę stronę. Idziesz pod górę.

Zawróciłem, lecz nie widziałem niczego, do czego mógłbym się cofnąć. Moje ślady były tak chaotyczne i rozdeptane, że nie miałem z nich żadnego pożytku. Poniewczasie przyszło mi do głowy, że taką samą lampę jak z przodu, nad wejściem, powinienem był powiesić również z tyłu chaty. Zdjąłem lampę czołową, zsunąłem kaptur i wyteżyłem słuch. Morze było jednak zbyt daleko, a strumień zamarzł. Słyszałem tylko własny chrapliwy

oddech.

Zgubiłem się.

Pod warstwą nieprzemakalnej wierzchniej odzieży byłem cały obłany potem. Pot i przesiąknięte nim ubranie stygły błyskawicznie, z każdą chwilą robiło mi się coraz zimniej. Z najwyższym trudem zmusiłem się do zachowania spokoju. Myśl logicznie. Jak odróżnić, gdzie jest góra, a gdzie dół?

Kopnąć śnieg i patrzeć, jak się rozsypuje.

Naciągnąłem kaptur i umocowałem lampę na czole. W grubych rękawicach i z trzęsącymi się rękami to wcale nie jest takie łatwe, jak się wydaje. W panice wyobrażałem sobie, że coraz bardziej oddalam się od obozowiska, wchodzę na lodowiec albo wpadam do opuszczonej sztolni. Jeśli przez dwa dni nie nadam komunikatów o wyznaczonej porze, Wyspa Niedźwiedzia podniesie alarm i z Longyearbyen wyruszy wyprawa ratunkowa. Dotrze tu po kolejnych dwóch dniach, o ile oczywiście pozwolą na to warunki lodowe. Ratownicy znajdą opustoszały obóz i zdesperowane psy. Na moje kości ktoś, być może, natknie się przypadkowo dopiero latem. Wszystko to przemknęło mi przez głowę z szybkością błyskawicy.

Wtedy przypomniałem sobie, że mam w kieszeni kompas. Idiota. Wystarczy skierować się na północny wschód, żeby dotrzeć do morza.

Wysunął mi się z ręki i wpadł w śnieg. Padłem na kolana, zacząłem go rozpaczliwie szukać, ściągnąłem nawet rękawice. Bez skutku.

Cholera. Jasna cholera.

Znalazłem, ale strzałka tkwiła nieruchomo. Zepsuł się? Oby nie. Potrząsnąłem nim i strzałka zatańczyła dziko. Drżała mi ręka, nie byłem w stanie utrzymać go nieruchomo. Położyłem go na skale. Strzałka – mała, błogosławiona strzałka – zatoczyła koło, wychyliła się w lewo, w prawo, wreszcie stanęła. A więc tędy. Łapiąc powietrze szeroko otwartymi ustami, popędziłem w dół. Minąłem śnieg ugnieciony i pokryty strzępkami sierści w miejscu, gdzie najwidoczniej odpoczywały renifery. To świadectwo życia

niezmiernie podniosło mnie na duchu. Kilka kroków dalej w świetle lampy dostrzegłem żółte ślady po psiej urynie i niemal w tej samej chwili z oddali dobiegło przytłumione ujadanie. Po kolejnych trzydziestu krokach znalazłem się na plaży.

– Jezu... – wyszeptałem. – Słodki Jezu...

Szukając na oślep szlaku, zawędrowałem aż na wschodni skraj zatoki, do podnóża klifów. Z niewysłowioną ulgą, a jednocześnie zawstydzony, że tak łatwo uległem panice, odwróciłem się i ruszyłem wzdłuż brzegu, trzymając się blisko wody, żeby znowu nie zgubić drogi. Z mgły najpierw wyłoniła się garbata sylwetka zapasowego magazynu, chwilę potem w blasku lampy zaśniły białe zebra wielorybów. Chwilę później dostrzegłem maszt, a trzy kroki za nim wytęskniony krąg światła, rzucanego przez lampę zawieszoną na reniferowym porożu.

– Upik! Pakomi! Anardark! Eli! Isaak!

Cisza. Nic nie szkodzi. Wróć, jak tylko zgłodnieją. Przyspieszyłem kroku.

Kiedy zbliżyłem się do masztu, w blasku mojej lampy zobaczyłem kopczyk kamieni u jego podnóża oraz kępkę zeschniętej, martwej trawy wychylającą się spod śniegu. Ciemne plamy na drzewcu pod wpływem wilgotnej mgły przybrały czarną barwę.

Lęk dopadł mnie nagle, nie wiadomo skąd. Po skórze przebiegły mi ciarki, włosy zjeżyły się na głowie. Widziałem jedynie dolną część masztu i kopczyk kamieni wokół niej, ale moje ciało już czuło, co się miało stać, i przygotowywało się na to.

Z mgły za masztem dobiegł niezwykle, stłumiony odgłos – tak jakby ktoś ciągnął po skale jakiś metalowy przedmiot. Rozejrzałem się błyskawicznie, światło lampy czołowej podążyło za moim wzrokiem, ale niczego nie dostrzegłem. Mimo to dźwięk rozlegał się coraz wyraźniej. Zgrzytliwy i brzęczący.

Zbliżał się.



Serce podeszło mi do gardła. Chciałem uciekać, lecz nogi odmówiły posłuszeństwa.

Był tuż przede mną, najwyżej kilka stóp, ja jednak wciąż niczego nie widziałem. Tylko słyszałem. To niemożliwe.

Pobrzękiwanie i zgrzytanie.

Cisza.

Dźwięk dotarł do masztu. Odległość była tak mała, że gdybym wyciągnął rękę, dotknąłbym... Czego? Jakiejś... obecności. Niewidzialnej, przerażająco bliskiej.

Stałem bezradny, ze wstrzymanym oddechem, przyciskając ramiona do boków. Strach narastał we mnie niczym czarna powódź, w której zaraz miałem utonąć. Nagle... Odgłos szybkich psich kroków za moimi plecami. Ocknąłem się, zatoczyłem do tyłu, potknąłem o własne nogi i upadłem.

W promieniu światła rzucanym przez moją czołówkę zobaczyłem Isaaka. Zatrzymał się z postawionymi uszami i wyprężonym ogonem. W blasku lampy oczy błyszczały mu srebrzyście. Jak tylko podniosłem się na kolana, podbiegł do mnie, wymachując ogonem. W jego ślepiach ujrzałem podwójne odbicie czyjejś okrągłej głowy. Minęła chwila, zanim rozpoznałem siebie.

## II

Jakoś dotarłem do ganku, z trudem otworzyłem drzwi, wtoczyłem się do środka i zatrzasnąłem je za sobą. Ściągnąłem wierzchnie ubranie i powlokłem się dalej. W pokoju promień światła z czołówki kroił nieprzeniknioną ciemność. Z każdym wydechem z moich ust buchały kłęby pary. Usiłowałem zapalić lampę naftową, ale za bardzo trzęsły mi się ręce. Wrzuciłem do pieca garść brzozonej kory, dołożyłem kilka polan. Po jakimś czasie wreszcie zajęły się ogniem. Przykucnąłem przy piecu i przez palce patrzyłem w płomienie. Wciąż słyszałem tamten odgłos, wciąż czułem czyjąś obecność.

Szczękałem zębami, ubranie miałem przesiąknięte lodowatym potem. Zataczając się, przeszedłem do sypialni, zgarnąłem suche rzeczy, wróciłem i przebrałem się przy piecu. Nalałem sobie do kubka sporo whisky i wypłem jednym łykiem. Pomogło. Udało mi się zapalić lampę, potem jeszcze jedną, i kolejną. Nagle poczułem potworny głód. Zrobiłem sobie kawę i owsiankę, po czym pochłonałem je, jakbym umierał z głodu. Chwilę potem pobiegłem do wiadra na odpadki i wszystko zwymiotowałem.

Tęskniłem za ludzkimi głosami, za normalnością. Włączyłem radio; niestety, akumulatory wymagały naładowania. Klnąc pod nosem, wsiadłem na rower i pedałowałem zawzięcie, starając się nie patrzeć w okna. Na częstotliwości, na którą był ustawiony odbiornik, nadawało właśnie jakieś słuchowisko. Pobrząkiwanie zastawy, gwar kobiecych głosów.

Podszedłem do północnego okna, przyłożyłem dłonie do szyby i spojrzałem na zewnątrz. Psy wróciły; niektóre leżały spokojnie, zwinięte w kłębek, inne próbowały jeść śnieg. Żaden nie zwracał najmniejszej uwagi na maszt.

Sterczał zaledwie trzy kroki od okna. To tylko kawał drewna, powtarzałem sobie. Długi kawał drewna przyniesiony przez morze.

Usiadłem przy stole. W ustach czułem gorzki smak żółci. Słyszałem te dźwięki. Czułem tę obecność. Niczego sobie nie wyobraziłem.

Słuchowisko dobiegło końca. Spiker BBC spokojnym, rzeczowym tonem zapowiedział kolejny program. Mój zegarek wskazywał dziesiątą. Wszedłem z domu o ósmej. Czy to możliwe, że minęły zaledwie dwie godziny? Byłem gotów przysiąc, że znacznie więcej. Potrzebowałem czegoś, co pomoże mi przewyciężyć panikę, co odegna tamte dźwięki.

Dźwignąłem się z krzesła, i powłócząc nogami, dotarłem do półki, na której stały książki, wziąłem dziennik Gusa i otworzyłem. Potrzebowałem go. Do diabła z szacunkiem dla prywatności.

Widok jego odręcznego pisma natychmiast dodał mi odwagi. Było okrągłe, dziecinne, a z nadmiaru entuzjazmu Gus chwilami tak mocno przyciskał pióro, że aż dziurawił papier. Stronę za stroną zapełniał opisami polarnej przyrody, przeplatanymi refleksjami ogólniejszej natury: o Arktyce i charakterze norweskich łowców fok. Pochłaniałem wszystko, a szczególną przyjemność sprawiały mi najnudniejsze, najbardziej rozwlekłe fragmenty.

Tak jak się spodziewałem, Gus trzymał się mocno faktów, niechętnie dawał wyraz emocjom. Widocznie taką właśnie postawę wbijano uczniom do głów trzcina w Harrow. Prawie w ogóle nie wspominał o Algii, o mnie zaś kilka razy, co oczywiście sprawiło mi dużą przyjemność.

*Mam wrażenie, że Jack niezbyt lubi Algii, napisał 31 lipca, w dniu, kiedy po raz pierwszy ujrzeliśmy Spitsbergen. Jak tylko Algie powie coś dosadnego – co, jako żywo, zdarza się dość często – Jack zaciska zęby. Chyba czyni to po to, żeby go nie uderzyć.*

Zabawne, pomyślałem z uśmiechem. Gus dostrzegł to wcześniej, niż ja zdałem sobie z tego sprawę. Później, już po naszym przybyciu do Gruhukén, wspominał o mojej niechęci do pozostałości po kopalniach. Jack wyjątkowo silnie reaguje na różne rzeczy, co chyba bardzo utrudnia mu życie. Mimo to rozumiem, dlaczego nie lubi „prześwitującej przeszłości”, jak to nazywa, bo ze mną jest tak samo. Chcę, żeby Gruhukén było tylko i wyłącznie nasze.

Byłem zaskoczony i zarazem zadowolony. Nie miałem pojęcia, że podziela moje uczucia.

Kilka stron dalej trafiłem na dość niepokojący ustęp o Erikssonie. *Co za wspaniały człowiek! Urodził się w skrajnym ubóstwie na farmie. Od maja do października wszystkie dzieci biegały na bosaka (w północnej Norwegii!). Uciekł w wieku dziesięciu lat i już nigdy tam nie wrócił. Nie chodził do szkoły, sam nauczył się czytać z Biblii. Bardzo szanuje swój statek i załogę, choć jest zbyt skryty, żeby się do tego przyznać. Rozsądny, odporny na przeciwności, uprzejmy, bezwzględny. A poza tym przesądny. Dziś po południu kazał wyrzucić za burtę pełne wiadro rybich wnętrzności; jak wielu rybaków, wierzy, że to przynosi szczęście i odstręcza złe duchy. Algie zaczął się śmiać, a ja kazałem mu czym prędzej zamilknąć, zanim Eriksson usłyszy. Dorastałem z ludźmi takimi jak on: z wieśniakami, którzy pozornie byli gorliwymi chrześcijanami, ale wystarczyło leciutko zadrapać powierzchnię, żeby odsłonić pokłady pogańskich wierzeń. Najzabawniejsze, że często nie są one całkiem pozbawione sensu.*

Dlaczego uznał za stosowne to napisać? No i ta data: 9 sierpnia. Byliśmy w Gruhuken już od tygodnia.

Dzień później: *W jednej z moich książek napisano, że niektóre części Spitsbergenu są nawiedzane przez duchy. Zapytałem o to pana E., ale nie chciał ani potwierdzić, ani zaprzeczyć. Powiedział tylko tyle: „Tu, na północy, człowiek zaczyna sobie uświadamiać sprawy, których w ogóle nie dostrzega na południu”. Naturalnie wyraził to w sposób znacznie prostszy i bardziej nieudolny, ale sens był właśnie taki.*

O dziwo, Gus nie rozwinął tego tematu. Zaraz potem umieścił dwustronicowy opis przyrody. Już dawno dostrzegłem u niego nadzwyczajną umiejętność całkowitego odseparowywania się od wszystkiego, co niemiłe, i poświęcania się czemuś przyjemniejszemu. Może tego także nauczył się w Harrow?

31 sierpnia. Coś tu jest nie w porządku. Czuję to od chwili odpłynięcia Isbjørna. Co takiego? Co takiego???. Pierwszy raz zobaczyłem to wtedy z łodzi, w wodorostach. Boże! Co zobaczyłeś, Gus? Gorączkowo przewracałem kartki. Znowu rozważania o zachowaniu się ptaków i analiza charakteru naszych psów. Nie mogę w to uwierzyć. Tyle czasu, tyle tygodni spędzonych razem... I przez cały czas wiedział? 16 września. Jak to możliwe, żeby Jack tego nie poczuł? Minionej nocy po raz pierwszy zobaczyliśmy zorzę polarną. Zacząłem wtedy o tym mówić, chciałem mu powiedzieć, ale zmarszczył brwi i zmienił temat. Czy naprawdę niczego nie czuje? Z nas trzech jest najsilniejszy i najmocniej stąpa po ziemi, ale przy tym jest także wrażliwy i ma wyobraźnię. Przecież prawie się rozplakał, kiedy po raz pierwszy ujrzeliśmy Gruhukena, i tak się przejął porzuconym pisklęciem nurzyka, że wrócił pod klif i szukał go godzinami. Dziwne więc, gdyby był jedynym, który niczego nie zauważył.

Jedynym? No nie, Algie z pewnością nie...

10 października. Biedny Algie. Wyciągnąłem go dziś na przechadzkę, a on wyznał wszystko. Powiedział: „Wiem, że to zabrzmi żałośnie, ale boję się tego miejsca. Chwilami wydaje mi się, że ktoś mnie obserwuje, a raz, na tych skałach, nawiedziła mnie okropna myśl. To znaczy – nie myśl, tylko raczej obraz w mojej głowie. Zobaczyłem noże i... Nie chcę mówić, co jeszcze. Czuję też zapach nafty, naprawdę. Chciałem uciec, lecz nie mogłem się poruszyć, tak jakbym miał związane ręce i nogi. Ten obraz wciąż tkwi w moim umyśle, nie potrafię się go pozbyć. Jest przerażający.

Po prostu mnie zatkało. Ten tłusty, niewrażliwy Algie, który pogwizdywał *Someone To Watch Over Me* podczas pierwszego spotkania z zorzą polarną?

Niewyraźny wpis z 14 października: Dziś rano Algie wyznał, że słyszy głosy. Nazwał je „koszmarem na przebudzenie”. Tak długo wypytywałem go o szczegóły, że w końcu wszystko mi opowiedział. Nie chcę ich powtarzać, są

*zbyt przerażające. Teraz żałuję, że byłem taki natarczywy. Najbardziej niepokoi mnie, że jego opowieść ma bardzo wiele wspólnego z tym, co przeżyłem w łodzi. Biedny Algie, jest naprawdę przerażony. I potwornie się wstydzi. Kazał mi przysiąc, że o niczym nie powiem Jackowi. Wątpię, czybym się na to zdobył, nawet gdybym chciał. Poza tym nie chciałbym, żeby Jack pomyślał, że ja też się boję.*

*Kolejny wpis pochodził tuż sprzed choroby Gusa. Zacząłem sobie uświadamiać, napisał 18 października, że długotrwała ciemność może wpływać na umysł w sposób, jaki trudno sobie nawet wyobrazić. Otaczająca nas niema martwota wywołuje szok. Chyba rozwija się u mnie nerwica albo to schorzenie, które dopadło tamtych traperów. Jak je nazwał Jack? Rar? Najbardziej niezwykle jest to, że moje doznania w łódce wydawały się tak niewiarygodnie prawdziwe! Choć, rzecz jasna, takie nie były. Na tym chyba zresztą polega natura halucynacji: ma się wrażenie, że są autentyczne. Sny też zdają się prawdziwe, choć stanowią tylko wytwór umysłu, a skoro mój mózg potrafi wytwarzać takie produkty, kiedy jestem pogrążony we śnie, to tym bardziej jest do tego zdolny na jawie. Ale nawet jeżeli uwierzę, że to jedynie halucynacje, to gdzie tu pociecha? Co począć ze świadomością, że w mojej głowie mogą powstawać takie koszmary?*

To był jeden z ostatnich wpisów. Nazajutrz Gus zachorował.

Siedziałem jak posąg, wpatrując się w zapisaną stronę. Och, Gus... Przechodziłeś przez to wszystko, a ja nie byłem tego świadomy. Ze względu na twoje dobro cieszę się, że jesteś teraz bezpieczny w izbie chorych w Longyearbyen, ale gdybym wiedział... Mogliśmy przynajmniej o tym porozmawiać, mogliśmy spróbować wspólnie jakoś to zrozumieć. Gdybyś tu jednak był – a Bóg mi świadkiem, jak bardzo tego pragnę – to musiałbym ci powiedzieć, że się mylisz. Nie wyobraziłeś sobie tego wszystkiego. Istnieją rzeczy gorsze od halucynacji.

Nie wierzę ani przez chwilę, że to, co słyszałem przy maszcie, stanowiło

„wytwór mojego umysłu”. To było prawdziwe. Dźwiękowy odcisk, utrwalony w powietrzu ślad czegoś okropnego, jakiegoś aktu okrucieństwa, który wydarzył się kiedyś tu, w Gruhukem.

Aktu okrucieństwa? Dlaczego tak napisałem? Przecież słyszałem tylko odgłos metalu uderzającego i skrobiącego o skałę.

Chyba chodzi o przerażenie, które mnie wtedy ogarnęło. Z pewnością nie czułbym go, gdyby nie chodziło o coś niewyobrażalnie okropnego.

Słowa, które przed chwilą napisałem, przypomniały mi coś, o czym nie myślałem od wielu lat. Teraz też nie chcę o tym myśleć, toteż zastosuję metodę Gusa i nie będę o tym pisał.

Budzik stojący na kuchennej półce wskazuje za dwadzieścia dwunastą. Pora wyjść, by po raz kolejny spisać wskazania instrumentów pomiarowych. Muszę to zrobić, bo inaczej tamto zwycięży.

Czyli co? Spokojnie, Jack. Jesteś na najlepszej drodze, by stworzyć sobie Potwora z Mroku. Cokolwiek to jest, musisz pamiętać, że pochodzi z przeszłości. Coś tu się kiedyś zdarzyło. Coś okropnego. Bez względu na to, czym było, pozostało w przeszłości. Ty zetknąłeś się tylko z echem.

Tylko z echem.

31 października, później

Wyszedłem w południe i potem jeszcze raz, o piątej. Za każdym razem psy witały mnie z entuzjazmem i towarzyszyły mi do stacji pomiarowej. To, że zachowywały się tak swobodnie i nie zdradzały najmniejszego lęku, ogromnie podniosło mnie na duchu.

Od tamtego zdarzenia nie zbliżałem się do masztu. Po wyjściu z chaty skręcałem od razu w prawo i obchodziłem ją dookoła. Od tej pory zawsze tak będę robił.

Kilka minut temu podszedłem do okna. Zobaczyłem majaczące niewyraźnie sylwetki psów, spokojnie przeżuwających ochłapy foczego mięsa. Wiejący od strony lodowca lekki wiatr sypie im w pyski śniegiem, ale one wcale się tym nie przejmują. Nie uwiązałem ich, bo uważam, że to nie ma sensu. Przecież nigdzie nie uciekną, a tak będą mogły zawczasu ostrzec mnie przed niedźwiedziami.

To taki zwyczajny widok. W środku też wszystko jest normalne: lampy świecą, w piecu trzaska ogień, ja siedzę ze szklaneczką whisky w zasięgu ręki i jednym z cygar Hugona w zębach. Patrząc na siebie w lusterku do golenia, nie widzę ani lęku, ani przerażenia. W niczym nie przypominam tego osobnika o błędnym spojrzeniu, który zaledwie kilka godzin temu wymiotował do wiadra na odpadki. Muszę pamiętać o tym, że przede mną zimowali tu inni, i choć także spotkały ich różne rzeczy, to jednak dali radę. Ja też dam radę. Nie pozwolę się pokonać. Aby to osiągnąć, ustaliłem kilka podstawowych zasad.

Po pierwsze, nie będę już uwiązywał psów ani zamykał ich w psiarni. Niech sobie biegają luzem. Zostawię drzwi psiarni uchylone, żeby w razie potrzeby miały się gdzie schronić, ale będą mogły wchodzić i wychodzić,



kiedy zechcą. Wątpię, żeby stała im się jakaś krzywda. Przecież tę rasę wyhodowano z myślą o życiu w Arktyce.

Po drugie, ustalę sobie codzienne racje żywnościowe i nie będę ich przekraczał. Byłoby nie do pomyślenia, żeby po powrocie Algiego i Gusa okazało się, że roztrwożyłem zapasy.

Po trzecie, mocno ograniczę picie. (Od jutra).

Po czwarte, najwyżej dziewięć godzin snu w nocy. W tej niekończącej się ciemności bardzo łatwo przespać dwanaście godzin albo nawet więcej, ale trzeba oprzeć się pokusie. Czas musi być zorganizowany: spanie, jedzenie, picie. To najlepszy sposób.

Widok tych zasad, spisanych i starannie ponumerowanych, niezmiernie podniósł mnie na duchu. I dobrze jest wiedzieć, że na zewnątrz pilnuje mnie osiem czujnych husky.

## 1 listopada

To był dobry dzień. Przespałem przepisowe dziewięć godzin bez żadnych snów. Obudził mnie budzik Gusa.

Zasady w pełni się sprawdzają. Jeżeli nie zajmuję się żadnym ze zwykłych zajęć, wynajduję sobie nowe: pranie, sprząatanie, uszczelnianie dachu i ścian psiarni za pomocą papy i słomy. Sprawdzam stan lodu na zatoce. (Na razie, Bogu dzięki, woda nie zamarzała). Kiedy siedzę w chacie, mam cały czas włączone radio. Koresponduję alfabetem Morse'a z Ohlsenem na Wyspie Niedźwiedziej, a dziś po południu „rozmawiałem” z Algim; poinformował mnie, że z Gusem coraz lepiej, ja zaś powiedziałem mu o moich nowych zasadach (ale nie przyznałem się, że puściłem psy luzem). Dwa razy pytał, czy wszystko w porządku, a ja dwa razy odpowiedziałem twierdząco. Sprawilo mi to sporą przyjemność; jeśli on nie zamierza się przede mną otworzyć, to tym bardziej ja nie zrobię tego przed nim. Przecież dobrze wie, co to za miejsce. Dobrze wie, przed czym uciekł.

Ale jakie to ma znaczenie? Najważniejsze, że moje zasady doskonale się sprawdzają.

Można by uznać, że wszystko wróciło do normy, gdybym nie nabrał dziwnego zwyczaju wyglądania przez północne okno, żeby się upewnić, że maszt nie jest aż tak blisko chaty, jak mi się wydaje. Rzecz jasna, za każdym razem widzę go w tym samym miejscu, dobre trzy kroki od ściany. Wystarczy jednak, bym się czymś zajął choć na chwilę, a wątpliwości natychmiast wracają. Mam wrażenie, że stoi bliżej niż poprzednio, jakby ukradkiem przysuwał się do drzwi, by w końcu wtargnąć do środka. Naturalnie zdaję sobie sprawę z niedorzeczności tych podejrzeń, niemniej muszę podejść do okna, żeby to sprawdzić. Dlatego też w gruncie rzeczy ani na moment nie przestaję myśleć o tym cholerstwie.

Na zewnątrz jest dwadzieścia pięć stopni mrozu, wieje wschodni wiatr, ciśnienie spada. Czyżby zbliżała się burza śnieżna?

Podczas „rozmowy” z Algiem spytałem, czy zamierzają z Gusem wrócić wtedy, kiedy planowali. Zaprzeczył, ale nie wdawał się w szczegóły. Poprzednio wspomniał o „co najmniej dwóch tygodniach”. To było 29 października, czyli powinni się tu zjawić 12 listopada. Najwcześniej. Za jedenaście dni. Jeśli będę przestrzegał moich zasad, być może zdołam tyle wytrzymać.

Przed chwilą sprawdziłem jeszcze raz, tuż przed pójściem spać. Na niebie wisi jasny sierp księżyca. Maszt rzuca długi, czarny cień skierowany w moją stronę.

Gdybym tylko nie musiał na niego patrzeć...

## 2 listopada

Kończyłem właśnie śniadanie, kiedy uświadomiłem sobie, że od wstania z łóżka wyglądałem przez okno już co najmniej dziesięć razy. To przepełniło czarę goryczy. Z rozmachem postawiłem kubek na stole.

– Dość tego, do jasnej cholery!

Pobiegłem do sypialni, chwyciłem naręczę koców i pozawieszałem je nad oknami. Proszę bardzo. Narzekałeś na brak zasłon, no więc teraz je masz.

Podziałało mniej więcej na godzinę. Potem leciutko odchyliłem narożnik i wyjrzałem na zewnątrz. Rzecz jasna maszt stał tam, gdzie zawsze: odrobinę bliżej, niżbym sobie życzył, ale na pewno nie bliżej niż poprzednim razem.

W tej chwili postanowiłem zmienić strategię. Przyznam się przed sobą do dręczącej mnie obsesji, ale będę się starał ją ograniczyć. Wolno mi wyjrzeć przez okno dziesięć razy dziennie i to wszystko. Zasłony zostały jednak na swoim miejscu. W razie potrzeby mogę je odchylić, lecz odkąd są, czuję się znacznie pewniej.

Wiatr zawodzi w kominie, słychać też furkotanie naderwanego skrawka papy. Muszę się tym zająć.

## Później

Właśnie wróciłem z odczytami z godziny siedemnastej i sam nie wiem, co o tym wszystkim myśleć.

Same wskazania przyrządów były jednoznaczne: całkiem przyzwoita pogoda, minus dwadzieścia siedem stopni i wiatr od lodowca, ale niebo pogodne, z piękną zorzą polarną. Obozowisko, brzeg, góry lodowe w zatoce – wszystko skąpane w tym tajemniczym bladozielonym blasku. Zorza nie onieśmiela mnie już, wręcz przeciwnie, dodaje otuchy. To przecież zjawisko czysto fizyczne, efekt bombardowania atmosfery ziemskiej cząstkami wyrzuconymi w przestrzeń kosmiczną podczas erupcji na Słońcu.

Psy przybiegły w podskokach, żeby się ze mną przywitać. Doskonale czują się na swobodzie. Dałem każdemu po czekoladce z brandy, a następnie, pogwizdując przez zęby (wspomnienie Algiego!), okrężną drogą dokoła chaty powędrowałem ku stacji pomiarowej. Isaak pobiegł za mną i w

nagrodę dostał jeszcze jedną czekoladkę. Doskonale wiedział, że tak będzie. Wróciliśmy także razem, wyszliśmy zza narożnika chaty i zbliżaliśmy się już do wejścia, kiedy nagle stanąłem jak wryty. Maszt z pewnością był bliżej niż poprzednio.

Isaak szturchnął mnie nosem w łydkę, zastanawiało go chyba, dlaczego się zatrzymałem. Nie zwracając na niego uwagi, wyjąłem latarkę. Patrzył na mnie uważnie, z wahaniem machając ogonem. Ośmielony jego obecnością, podszedłem do północnego okna i zmierzyłem krokami odległość masztu od ściany. Dwa i pół. Tylko dwa i pół. Wcześniej były trzy. Chyba że nieświadomie wydłużyłem krok, czego nie dało się wykluczyć. Zabrakło mi jednak odwagi, żeby sprawdzić ponownie.

W chacie wypilem solidnego drinka, wypaliłem parę papierosów i przeprowadziłem ze sobą poważną rozmowę. Kawałki drewna nie przemieszczają się same z siebie. Uległem złudzeniu. Wydawało mi się, że maszt jest bliżej, ponieważ dzięki zorzy polarnej widziałem go znacznie wyraźniej niż jeszcze dzień temu.

Moja świadomość w pełni zaakceptowała to wyjaśnienie, ale w głębszych pokładach umysłu – tych pamiętających jeszcze mrok jaskiń – wciąż czały się wątpliwości.

### 3 listopada

Co za bzdury wypisywałem wczoraj wieczorem! „Mrok jaskiń”, dobre sobie! Muszę mocniej wziąć się w garść.

No i wzięłem się.

Dziś był okropny dzień. Z najwyższym trudem powstrzymałem się przed wyglądaniami przez okno, co oznaczało, że nawet robiąc coś innego, wciąż myślałem tylko o tym. Tak mnie to zmęczyło, że po obiedzie musiałem się trochę zdrzemnąć.

Wstałem o trzeciej, z ciężką, bolącą głową. Naturalnie pierwszą rzeczą,

jaką zrobiłem, było dowleczenie się do okna. Już miałem odchylić zasłonę, kiedy uświadomiłem sobie, co robię. Boże, Jack! Jak tak dalej pójdzie, wkrótce postradasz zmysły!

– Dosyć tego! – wrzasnąłem. – Dostyć!

W pośpiechu wciągnąłem wierzchnie ubranie, chwyciłem latarkę i siekiere i wybiegłem w ciemność. Podekscytowane psy kręciły mi się pod nogami, bo przeczuwały, że coś się wydarzy.

– Dostyć tego! – powtórzyłem.

Mamrocząc to pod nosem jak zaklęcie, zacisnąłem dłonie na trzonku siekiery i zacząłem rąbać. Celowałem nisko, tuż nad kamiennym kopczykiem, żeby nie trafić w ciemne plamy. Nie chciałem, żeby siekiera się z nimi zetknęła. Maszt okazał się twardy jak granit. Nie chciał się poddać. Psy umilkły i przyglądały mi się, zbite w ciasną gromadkę. Kiedy wreszcie maszt runął z trzaskiem, uciekły z podwiniętymi ogonami.

Zdyszany, zmęczony, porąbałem przekłete drewno na kawałki i zostawiłem na śniegu. Z pewnością nie zużyję go na opał. Nie ma mowy, żebym je wniósł do chaty.

Przed chwilą wyjrzałem przez północne okno. Dobrze. Bardzo dobrze. Aż do morza nic, tylko łagodne, zaśnieżone zbocze. Nie widzę nawet resztek masztu, a że właśnie zaczął padać śnieg, wkrótce nie zostanie po nich żaden ślad. Tak jakby ten przeklęty maszt nigdy nie istniał.

Powinienem był to zrobić już dawno temu. Nie mam pojęcia, dlaczego dotąd zwlekałem.

## Później

Burza zaatakowała godzinę po tym, jak skończyłem rąbać maszt na kawałki. Wiatr zaczął się wściekle dobijać do okien i ciskać w nie kłębami śniegu. Pierwszą myślą, która przyszła mi do głowy, było, że to ja ją wywołałem, że to ja wyzwoliłem demona burzy. Dobra, stara zasada

przyczyny i skutku, a do tego typowo ludzka skłonność do wyciągania pochopnych wniosków. Dobrze wiedzieć, że pod tym względem nic a nic nie różni się od pierwszego z brzegu dzikusa.

Zaraz potem pomyślałem o psach. Taka burza może potrwać dość długo. Co robić? Nie mogę wpuścić ich do środka, bo wszystko by poniszczyły. Najlepiej będzie, jeśli nakarmię je na zapas, zanim zrobi się jeszcze gorzej. Potem muszą dać sobie radę same. Mogą jeść śnieg, jest go pod dostatkiem.

Karmę dla psów trzymamy na poddaszu, w hallu, dzięki czemu fozce mięso nie rozmarza. Algie zatroszczył się o ogromne zapasy, a oprócz tego mamy jeszcze mnóstwo pemikanu. Napełniwszy worek porcjami mięsa zamrożonymi na kość, otworzyłem drzwi... i wiatr uderzył we mnie jak ogromna, niewidzialna pięść, wbijając mi w skórę na twarzy niezliczone igiełki lodu (oczywiście zapomniałem włożyć kominiarkę). Zgięty wpół, z najwyższym trudem dotarłem do uchylonych drzwi psiarni i wrzuciłem do środka ładunek. W świetle latarki ujrzałem sporą zaspę utworzoną ze śniegu naniesionego przez wiatr, ale psy, nie zwracając najmniejszej uwagi na szalejącą zawieruchę, jakby nigdy nic ochoczo zabrały się do posiłku.

Paliwo, pomyślałem, wracając powoli do drzwi. Drewno i nafta.

Zgromadzenie w hallu wystarczającego zapasu zajęło mi wieki. Zaraz potem musiałem się zająć uprzątnięciem śniegu, który przy okazji również tam się dostał.

Już prawie północ, a burza śnieżna szaleje w najlepsze. Śnieg łomocze w szyby, wicher wyje ponuro w kominie, chata skrzypi i chwieje się w posadach. Boże, mam nadzieję, że dach wytrzyma! Okiennice zostały w magazynie awaryjnym, po drugiej stronie zatoki. Równie dobrze mogłyby być w Timbuktu.

Może to dziwne, ale w pewnym sensie cieszę się z tej burzy. To znajome, wytłumaczalne zjawisko: gwałtowne przemieszczanie się mas powietrza połączone z silnymi opadami śniegu, wywołane dużą różnicą ciśnienia atmosferycznego. To przynajmniej rozumiem. Wolę coś takiego od

złowróznej ciszy.

## 6 listopada

Trzy dni bez najmniejszej zmiany. Burza nie cichnie ani na chwilę. Hałas jest nieprawdopodobny: łoskot pędzącego pociągu połączony z nieustającym wyciem w kominie. To dosyć męczące. Jeśli już uda mi się zasnąć, śnią mi się pociągi i tramwaje. Nie pamiętam już, co to takiej cisza.

Rozumiem, dlaczego wikingowie czcili bogów burzy. Bez przerwy powtarzam sobie, że za tym wszystkim nie kryje się żadna świadoma intencja, choć łatwo można sobie wyobrazić, że ktoś – lub coś – wściekle stara się rozedrzeć chatę na strzępy i porwać mnie w ciemność.

Nie ma mowy o tym, żeby spisywać wskazania instrumentów meteorologicznych, ale utrzymuję kontakt z Ohlsenem na Wyspie Niedźwiedziej (dzięki Bogu, maszty radiowe wytrzymały). W depeszach staram się zachować spokój doświadczonego polarnika. NIELICHA BURZA STOP SNIEG DO OKIEN STOP PRZYNAJMNIENIEJ MOGE NADROBIC ZALEGŁOSCI W CZYTANIU STOP. Wymieniam też depesze z Algiem, a za jego pośrednictwem z Gusem: TROCHE WIEJE STOP MAM NADZIEJE ZE PRYZRZADY WYTRZYMAJA STOP PRZYNAJMNIENIEJ ZATOKA NIE ZAMARZNIE STOP PSY W PORZADKU STOP CHYBA NAWET TO LUBIA STOP. Algie odpowiada dziarsko i z humorem. DOBRA ROBOTA JACK STOP WIEMY ZE BYLE WIETRZYK NIE NAPEDZI CI STRACHA! STOP. Masz rację, Algie. W przeciwieństwie do ciebie nie wpadam w panikę bez powodu. Ale chyba już o tym wiesz, prawda?

Staram się trzymać zaplanowanego rozkładu dnia i wyruszam na spacer dokoła pokoju. Wymyślam sobie głośno za każdym razem, kiedy się pomylę w liczeniu okrążeń i jestem zmuszony zacząć od początku. Bywa tak dość często.

Staram się także raz dziennie karmić psy, udaje mi się to jednak średnio co drugi dzień, dlatego daję im znacznie więcej. Za każdym razem muszę stoczyć zażartą walkę ze zmarzniętym śniegiem oblepiającym drzwi psiarni. Na razie chyba wszystko w porządku, ale ja się martwię: co będzie, jeżeli śnieg całkowicie zaklei wszystkie szczeliny i psy zginą z braku powietrza? Albo jeśli nie uda mi się do nich dotrzeć i pozżerają się wzajemnie z głodu? Rozmawiam z nimi czasem przez ścianę, a raczej krzyczę do nich, a one odpowiadają szczekaniem. Dzięki temu wiem, że jeszcze żyją.

I pomyśleć, że kiedyś lubiłem śnieg! Jest okropny. Gryzie w oczy, oślepia, prowadzi na manowce. Za każdym razem, kiedy otwieram zewnętrzne drzwi, wraz z wiatrem wpada do środka. Uprzątnięcie go zajmuje mi mnóstwo czasu, choć przyznaję, że dzięki niemu nie mam problemów z uzupełnianiem zapasów wody. Nawet kiedy drzwi są zamknięte, śnieg dostaje się do wnętrza chaty przez szpary i szczeliny, których istnienia nawet nie podejrzewałem.

Na ścianach i pod pryzkami gromadzi się szron. Dotarł już do głównego pomieszczenia. Zeskrobuję go godzinami, a potem wieszam wilgotne szmaty nad piecem.

Ach, ten piec... O ile wcześniej bywał kapryśny, to teraz stał się wręcz narowisty. Wciąż jednak udaje mi się rozpalić w nim ogień, pod warunkiem że obficie poleję drewno naftą. Zdarzyło się już jednak trzy razy, że wyjątkowo gwałtowny podmuch wiatru wtłoczył do pokoju wielki kłęb czarnego dymu przez komin i palenisko. Oznaczało to dla mnie wielogodzinne sprzątanie, naturalnie dopiero po tym, jak przeszedł mi atak gwałtownego kaszlu. Takie złośliwe figle szalonej wichury. Cha, cha, cha. Mimo moich starań na ścianach za każdym razem zostaje warstewka sadzy, która wżera się w drewno, tak że nie da się go doczyścić.

Dla poprawienia nastroju postanowiłem dzisiaj odrobinę zaszaleć i wystawiłem do sieni dwie butelki szampana, żeby się schłodził.

Żeby się schłodził? Jack, czy ty postradałeś rozum? Obie butelki



zamarzły w ciągu kilku minut i eksplodowały z odgłosem podobnym do strzału. Pospiesznie zebrałem resztki z podłogi, żeby ocalić, co się da; mam teraz pełną miskę zamrożonych bąbelków. Jem je łyżką. Są przepyszne.

Ale i mocne. Oho, Jack! Jesteś pijany. Albo „podchmielony”, jak powiedziałby Gus. Marsz do łóżka.

## 8 listopada

Burza trwa już szósty dzień. Zostały tylko cztery dni do powrotu Gusa i Algiego. Tak mi się przynajmniej wydaje, bo przecież Algie zapowiedział, że zjawią się „najwcześniej” za dwa tygodnie. Jeżeli burza się utrzyma, nawet nie wyruszą w drogę.

Trochę przesadziłem z tym szampanem. Zwaliłem się na posłanie jak ogłuszony bawół, a dziś obudziłem się z bólem głowy, ale Magiczny Proszek Algiego szybko temu zaradził.

Grasz na czas, Jack. Wyduś to wreszcie z siebie.

Kiedy tylko się zbudziłem, podszedłem do północnego okna i wyjrzałem na zewnątrz, w mrok wypełniony szalejącym śniegiem. Maszt znowu stał. Gorączkowo przetarłem szybę, zaparowaną od mojego oddechu. Był tam, wysoki i prosty. Niemożliwe. Przecież porąbałem go na kawałki!

Zapewne wicher przywlókł z plaży nowy drąg, ale jakim cudem zdołał ustawić go pionowo? I czy aby teraz maszt nie stoi trochę bliżej chaty i bardziej w prawo, w stronę ganku?

O szybę uderzył wyjątkowo gwałtowny podmuch wiatru, tak że aż cofnąłem się od okna. Kiedy spojrzałem ponownie, masztu nie było. Widziałem jedynie wirujące kłęby śniegu. Ani śladu masztu. To musiało być jedynie złudzenie.

Od tamtej pory minęło już pięć godzin. W tym czasie zdołałem zawlec do psiarni worek z foczym mięsem, zameldować Wyspie Niedźwiedziej, że wszystko u mnie w porządku, zjeść puszkę gotowanej baraniny i puszkę

gruszek w syropie oraz wypalić całą paczkę playersów. Przekartkowałem także ten dziennik, co okazało się błędem. To niewiarygodne, jak bardzo zmienił się charakter mojego pisma. Kiedyś był elegancki i czytelny, teraz przypomina nerwową skrobaninę. Nie trzeba czytać tych zapisków, wystarczy na nie spojrzeć, by zobaczyć strach.

W dniu, w którym uderzyła burza śnieżna, napisałem, że cieszę się z jej nadejścia. Ruchy mas powietrza, różnice ciśnienia atmosferycznego i takie tam. Bzdury. Nieustający hałas, wściekły wrzask. Wytrzymuję to z coraz większym trudem.

## 9 listopada

Obudziła mnie cisza. Całkowita, niezmacona cisza. Spokoju nie zakłócał żaden, choćby najłżejszy podmuch wiatru.

Koc zawieszony nad oknem w sypialni zsunął się. Leżałem w powodzi księżycowego blasku. Szyby przypominały srebrzyste lustro przecięte czarnym krzyżem. Wyciągnąłem rękę i niemal czułem, jak światło księżyca przesącza się między moimi palcami. Byłem niczym pływak zanurzony w świetle. W cudownym świetle. Z radości łzy napłynęły mi do oczu. Wreszcie wygrzebałem się ze śpiwora, włożyłem ubranie i w samych skarpetach podszedłem do okna.

Na niebie wisiał ogromny, jasny, złocisty księżyc w pełni. Całe obozowisko miałem jak na dłoni. W miejscu, w którym stał maszt, znajdował się jedynie niewysoki kopczyk.

Chodziłem od okna do okna i zdejmowałem koce, by wpuścić do środka księżycowy blask. Napaliłem w piecu, lecz nie zapalałem lamp, nie chciałem, żeby cokolwiek przyćmiło to przepiękne światło. Zamierzałem niebawem wyjść do psów i sprawdzić, czy przyrządy pomiarowe przetrwały burzę śnieżną, ale jeszcze nie teraz. Księżyc przyciągał mnie z hipnotyczną siłą. Pragnąłem patrzeć na niego jak najdłużej, żał mi było stracić choć chwilę.

Stałem przy północnym oknie i wyjrzałem na zewnątrz.

Wichura wygoniła z zatoki cały lód. Srebrzysta poświata spływała na czarny wodny gościnniec.

– Wspaniale... – wyszeptałem. – Wspaniale...

Obserwowałem, jak księżyc wspina się coraz wyżej, jak stopniowo traci złotawy odcień, stając się intensywnie srebrzysty, ale nie mniej jasny. Szyba

zaparowała od mojego oddechu, przetarłem ją rękawem. Kiedy spojrzałem ponownie, cienka warstewka chmur przesłoniła księżyc i nadała jego blaskowi niebieskawy odcień.

I wtedy właśnie poczułem, że nie jestem sam.

Z nosem przyciśniętym do szyby czułem się kompletnie bezbronny, jednak nie mogłem się cofnąć. Musiałem patrzeć.

Tam, gdzie kiedyś sterczał maszt, stała jakaś postać. Śnieg u jej stóp skrzył się srebrzyście, lecz na jej twarz nie padał żaden, choćby najśłabszy promień światła. Nie miała cienia.

Tkwiła w miejscu, wpatrując się we mnie. W czasie, jakiego moje przerażone serce potrzebowało na jeden rozpaczliwy skurcz, zobaczyłem wszystko: mokrą okrągłą głowę, zwisające ramiona, jedno trochę wyższe od drugiego. Czułem napływającą falami aurę intensywnego, czystego zła. Zero litości. Zero człowieczeństwa. To coś należało do mroku niemającego nic wspólnego z ludzkością. To coś było bezgraniczną wściekłością, przyplływem zalewającej wszystko ciemności. Mimo to nadal przyciskałem do szyby twarz i dłonie. Nie mogłem się oderwać. Połączyła nas niewidzialna, przerażająca nić.

Nie mam pojęcia, jak długo tak stałem. W końcu musiałem odetchnąć, a kiedy ponownie starłem parę z szyby, postać znikła.

Podbiegłem do zachodniego okna. Nic. Tylko maszty radiowe, nic sobie nierobiące z mojego przerażenia. Wróciłem do okna w sypialni. Tu też nic. Przebiegłem do głównego pokoju i zatrzymałem się, nasłuchując. Słyszałem jedynie łomot własnego serca.

Obłoki odeszły i księżyc ponownie zaświecił pełnym blaskiem. Śnieg przed chatą był gładki i nieskalany. Nic nie świadczyło o tym, że przed chwilą coś tam stało. A jednak stało. Widziałem to. Czułem jego wolę, złą wolę skierowaną przeciwko mnie.

Myliłem się. To nie echo.

9 listopada, później

Stałem trzy stopy od okna i gapiłem się w swoje odbicie w szybie. Gdybym tylko mógł uwierzyć, że widziałem wtedy siebie! Ale przecież odbicie miało by moją twarz i moją sylwetkę. To, co zobaczyłem, nie miało zmierzwionej brody ani potarganych włosów. Nie miało też twarzy.

Co to jest? Czego chce? Dlaczego wścieka się na mnie? Czy dlatego, że zniszczyłem starą chatę? Co mogę zrobić, żeby to udobruchać?

Za plecami usłyszałem ciche trzaski i chwilę potem szum. Ożyły lampki na obudowie radiostacji. Pewnie włączyłem ją, biegając od okna do okna i ściągając koce, choć nie mogłem sobie tego przypomnieć. Tak czy inaczej, radiostacja działała. Właśnie nadeszła transmisja.

Kolana ugięły się pode mną. Transmisja. Czy czegoś takiego właśnie przed chwilą doświadczyłem? Czy coś próbowało do mnie dotrzeć, przesączaając się przez moją świadomość jak krew przez bandaż?

Z psiarni dobiegło donośne ujadanie. Już po burzy! Jesteśmy głodne! Schrypniętym głosem krzyknąłem, że zaraz przyjdę. Podłużne, poszarpane pasma chmur ponownie sięgnęły po księżyc niczym dłoń, która chciałaby go zakryć. Nie odrywając wzroku od jego jasnej, pokrytej sińcami twarzy, włożyłem słuchawki i sięgnąłem po notes. Muszę patrzeć na księżyc. Jeśli choć na chwilę odwrócę wzrok, znowu skryje się za chmurami, a wtedy...

TU GUS STOP

Gus? Najwidoczniej, lekceważąc zalecenia lekarzy, kazał Algiemu zaprowadzić się do radiostacji. Trzęsącą się dłonią wystukałem kompletnie idiotyczną odpowiedź:

JAK SIE MASZ?

CHOLERNIE SIE NUDZE STOP CO U CIEBIE?

WSZYSTKO W PORZADKU STOP

NAPRAWDE?

Mój palec na chwilę zamarł na przycisku.

NAPRAWDE STOP, odpowiedziałem. ZLE SNY ALE TERAZ JUZ

LEPIEJ STOP

Odpowiedź nadeszła w tempie karabinu maszynowego:

JACK CZY NA PEWNO WSZYSTKO W PORZADKU? PAN E JEST  
TUTAJ STOP MOZE ZABRAC CIE ZA DWA DNI STOP

NIE TRZEBA STOP DLUGA BURZA SNIEZNA ALE JUZ PO  
WSZYSTKIM STOP

Dlaczego nie napisałem: NIE MOGE JUZ WYTRZYMAC  
ZABIERZCIE MNIE JAK NAJPREDZEJ STOP? Dlatego, że moim  
„rozmówcą” był Gus. Złotowłosey, wspaniały Gus, na którym beznadziejnie  
zwyczajny Jack za wszelką cenę chce wyrzeć wrażenie.

JACK JESTES NIESAMOWITY! JESTEM CI BARDZO  
WDZIECZNY STOP GDYBY NIE TY EKSPEDYCJA  
ZAKONCZYLABY SIE KLESKA STOP

Aż zarumieniłem się z zadowolenia. Gus wiedział, że decyzja o  
pozostaniu tutaj wiele mnie kosztowała, i podziwiał mnie za to! Pławiłem się  
w jego podziw i wdzięczności. Zaraz potem zapytał o psy.

SPISUJA SIE DOSKONALE STOP CIESZE SIE ZE SA STOP  
SZCZEGOLNIE ISAAK STOP WSPANIALY PIES STOP

Nadając tę wiadomość, poczułem szczypanie w oczach. Cudownie było  
móc rozmawiać z Gusem, ale wiedziałem, że zaraz potem zacznę za nim  
tęsknić jeszcze bardziej.

A NIE MOWILEM ZE W KONCU JE POLUBISZ?

TAK STOP

IDIOTA STOP

TAK STOP

Siedziałem i uśmiechałem się przez łyzy. Tak dobrze było się z nim  
przekomarzać! Tak zwyczajnie, ciepło i po ludzku. Gadaliśmy o wszystkim i  
o niczym, dla mnie jednak było to coś wspaniałego. W końcu powiedział, że  
musi już iść. Nie przyszedł mi do głowy żaden pomysł, jak mógłbym go  
zatrzymać, umówiliśmy się więc na kolejną pogawędkę i pożegnaliśmy się.

Wyłączyłem radiostację i wpatrzyłem się w zapis naszej rozmowy.

Zmieniła wszystko. Co prawda tym ostrzej uświadomiła mi moje odosobnienie, lecz także dodała sił. Nie byłem już przerażonym, ogarniętym obsesją samotnikiem toczącym pośród burzy śnieżnej zmagania z halucynacjami w postaci masztu. Byłem Jackiem Millerem, człowiekiem, który na przekór wszystkiemu ocalił przed klęską polarną ekspedycję badawczą na Spitsbergenie w roku 1937.

Wyprostowałem się i potoczyłem wzrokiem po wnętrzu chaty, ciesząc się każdym, nawet najzwyklejszym szczegółem. Puszki z proszkiem jajecznym i kakao na kuchennych półkach. Lśniący generator rowerowy. Pod palcami czułem chropawą powierzchnię stołu, wdychałem znajomą woń dymu i brudnych ubrań. Oto mój świat: nowoczesny, praktyczny, realny.

Uświadomiłem sobie, że umieram z głodu, zdarłem więc opakowanie z tabliczki czekolady i pochłonałem ją całą. Skoncentrowana słodycz zapiekła mnie w usta, od nagłego przyływu energii zakręciło mi się w głowie. Szybko zaparzyłem kawę i wlałem w siebie dwa kubki gorącego płynu. Następnie przyrządziłem wielką michę jajecznicę z kiełbasą i serem, zapaliłem lampy, włączyłem radio i ustawiłem je na BBC. Czerpałem radość z każdej prozaicznej czynności.

Przed chwilą podszedłem do okna w sypialni. Morze jest czarne, poznaczone rzadko porozrzucanymi górami lodowymi. Tak jak się spodziewałem, wiatr uniemożliwił zatoce zamarznięcie. Psy wykopały sobie wyjście z psiarni i dokazują w śniegu. Przy samej chacie zasy py sięgają niemal do okien, ale już parę kroków dalej śnieg jest znacznie płytszy, więc ich łapy nie zapadają się głęboko. Na mój widok zaczęły wymachiwać ogonami i zachęcać mnie szczekaniem do wyjścia na dwór. Gdyby coś czaiło się w pobliżu, z pewnością by się tak nie zachowywały. Zwierzęta wyczuwają takie rzeczy, prawda?

Ale to wróci. Wiem o tym. Noszę w sobie tę świadomość jak kamień.

Czego chce? Co strasznego się tutaj wydarzyło, że prześladuje mnie z

takim bezwzględny okrucieństwem? Rozmyślam o wszystkich znanych mi przypadkach bestialstwa, o zamiłowaniu Algiego do zabijania, o jego obojętności na cierpienia foki i gotowości okaleczenia psów. Co tu się stało?

## Później

Nie mogę uwierzyć we własną głupotę. Tak bardzo przejąłem się „rozmową” z Gusem, że zapomniałem zadać mu najważniejsze pytanie: Kiedy wracasz? Ale dlaczego sam nie wspomniał o tym ani słowem?

Według moich obliczeń najwcześniej mogliby się tutaj zjawić 12 listopada. Czyli za trzy dni. Ale przecież gdyby szykowali się do wyjazdu, Gus chyba powiedziałby coś na ten temat. Czemu tego nie zrobił? Jak długo jeszcze będę musiał wytrzymać?

Powinienem znowu wyjść z chaty. Niebo jest czyste. Nie ma chmur, które mogłyby zakryć księżyc.

## 10 listopada

Wydaje mi się, jakby od wczorajszego dnia upłynęło wiele milionów lat. Pamiętam, że musiałem dodać sobie odwagi szklaneczką whisky i papierosem. Pamiętam, z jakim trudem otwierałem drzwi, pokonując opór śniegu nawianego przez wiatr. Boże, co za ulga! Wreszcie jakieś czysto fizyczne zadanie, na którym mogę się skoncentrować.

Psy usłyszały mnie i podniosły radosny zgiełk. Jak tylko wydobyłem się z zasy, ujrzałem ich uszczęśliwione pyski i entuzjastycznie machające ogony. Kiedy wreszcie zdołałem się rozejrzeć, zobaczyłem całkowicie odmienione Gruhuken. Księżyc świecił tak mocno, że było jasno, prawie jak w dzień. Śnieg skrzył się oślepiająco, dokoła panował całkowity spokój. Właśnie: spokój. Nie czułem ani śladu zagrożenia, nie wyczuwałem żadnej wrogiej obecności. Księżyc ją wypłoszył.



Włożyłem śniegowce i ruszyłem w dół, ku brzegowi. Psy obskakiwały mnie ze wszystkich stron, usiłując zwrócić na siebie uwagę. W blasku księżycy góry przybrały grafitową barwę. Góry lodowe w zatoce połyskiwały srebrzyście. Drobne fale obmywały brzeg, znacząc swój zasięg półkolami szarej piany. Łapczywie wdychałem czyste, mroźne powietrze. Czułem, jak światło księżycy wsiąka w moją świadomość, wyganiając cienie z najdalszych zakamarków umysłu. Cokolwiek pojawiało się w ciemności, nie mogło mi uczynić krzywdy wtedy, kiedy było jasno.

Pracowałem przez wiele godzin. Najpierw wydobyłem zapasy pemikanu dla psów, potem odśnieżyłem ganek i przetarłem kilka ścieżek: dokoła chaty, do zapasowego magazynu oraz do stacji pomiarowej, która jakimś cudem przetrwała nietknięta. W pewnej chwili uświadomiłem sobie, że krzątam się nad resztkami masztu przysypanymi śniegiem, ale nie wywarło to na mnie najmniejszego wrażenia. Maszt odszedł w przeszłość. Stracił moc przerażania.

Cóż to za luksus pracować przy świetle! Księżyc nie opuszczał mnie ani na chwilę. Gruhuken leży tak daleko na północy, że księżyc w pełni w ogóle nie zachodzi, tylko zatacza ogromny krąg na niebie, pozostając zawsze w zasięgu wzroku. To prawdziwy cud. Dar niebios. Wystarczy podnieść wzrok, żeby go zobaczyć, jak czuwa nad tobą.

Uporawszy się ze ścieżkami, oczyściłem ze śniegu stację pomiarową, pierwszy raz od ustania burzy spisałem jej wskazania, po czym wysłałem je na Wyspę Niedźwiedzią. Następnie uruchomiłem dużą radiostację i przesłałem meldunek do Anglii (podczas burzy tego także nie robiłem). Następnie wyszedłem przed ganek i zapaliłem papierosa, niczym osadnik na amerykańskim Zachodzie, doglądający swoich posiadłości. Obozowisko znowu należało do mnie. Do Jacka Millera.

Psy wciąż dokazywały na brzegu, lecz nagle Upik zastygła w miejscu i zastrygła uszami. Chwilę potem pozostałe uczyniły to samo. Czyżby zwierzyły niedźwiedzia? Miałem już pójść po strzelbę, kiedy Svarten

szczeknął i popędził na zachód, a reszta stada za nim. Jak tylko ucichł tupot ich łap, usłyszałem to, co do psów dotarło znacznie wcześniej: miarowe, ciche poskrzypywanie, a może drapanie. Coś całkowicie odmiennego od dźwięków, jakie słyszałem przy maszcie. Ten odgłos był jak najbardziej z tego świata.

Psy wróciły pędem ze ślepiami błyszczącymi z podniecenia. Za nimi dostrzegłem sylwetkę człowieka, ciemnoszarą na tle jasnego śniegu. Serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Wiem, że to wyświechtane powiedzenie, ale naprawdę tak właśnie było: na jego widok serce mało nie wyskoczyło mi z piersi. Poruszał miarowo nogami i ramionami, sunąc ku mnie na nartach. Zacząłem podskakiwać, dziko wymachując ramionami, a potem puściłem się biegiem w jego kierunku.

– Halo! Halo, tutaj!

Ubrany w barani kozuch, miał ogromne rękawice, buty obszyte płótnem i bezkształtną futrzaną czapę. Spod niej wyłaniały się broda pokryta szronem, sumiaste wąsy, krzaczaste brwi i małe, bystre oczy. Śmiałem się z radości jak wariat, nie mogłem przestać.

– Traper Bjørvik, jak sądzę? Witam! Witam serdecznie!

Mój gość przystanął i ciężko sapiąc, oparł się na kijkach.

– *Ja* – powiedział, zdejmując rękawicę i miażdżąc mi dłoń w stalowym uścisku. – Bjørvik.

Zrobiłem z siebie kompletnego idiotę. Bredziłem coś bez sensu, co chwila zmieniałem temat, śmiałem się, milkłem i zaczynałem od nowa. Był taki miły, że nie zwracał na to uwagi. Z typową dla Skandynawów bezpretensjonalnością ofiarował mi tradycyjny podarunek: worek serc reniferów, gołębic wątróbek i innych specjałów. Worek ten, wraz z plecakiem, strzelbą i śpiworem, przytaszczył na grzbiecie z chaty odległej o dwadzieścia mil. Nie zająknął się ani słowem o tym, dlaczego przyszedł ani jak długo zamierza zostać, a ja o to nie pytałem. Eriksson powiedział kiedyś, że na Spitsbergenie nie wypada o to pytać. Należy przyjąć, że gość zabawi

co najmniej przez tydzień, i że jedynym jego celem jest po prostu złożenie wizyty.

– Wiem, że za dużo mówię – wyznałem, kiedy zdejmowaliśmy wierzchnie ubrania na ganku – ale od trzech tygodni jestem zupełnie sam.

Natychmiast zaczerwieniłem się po uszy, uświadomiłem sobie bowiem, że Bjørvik przypuszczalnie jest sam od wielu miesięcy.

– *Ja* – mruknął, ściągając buty. – Odwiedziny to dobra rzecz.

Miał na sobie „traperskie” buty: obszyte podwójną warstwą nieprzemakalnego płótna, z gumową podeszwą. Wkładało się je na podwójną skarpetę i dodatkowo wypychało słomą. Był ubrany w granatowy marynarski kombinezon i gruby sweter z niefarbowanej wełny, przesiąknięty zapachem owiec. Z pewnym opóźnieniem uświadomiłem sobie, że jest bardzo biedny.

Zaróżowiony niczym młoda gospodyni wydająca pierwsze w życiu przyjęcie, posadziłem go przy stole, a sam zająłem się zapalaniem lamp i przyrządzaniem kawy. Rozpaliłem też w piecu. Bjørvik oparł na kolanach czerwone dłonie i ciekawie rozglądał się dokoła.

Włączyłem radio, złapałem jakąś muzykę i przygotowałem obfity posiłek: cielęcinę ze szpinakiem z puszki, jaja, bekon, ser, ciasteczka owsiane, wiśnie w mleku skondensowanym, cukierki z orzechami i co tam jeszcze przyszło mi do głowy. Do diabła z oszczędzaniem zapasów. Ten człowiek pokonał na nartach dwadzieścia mil, żeby mnie odwiedzić.

Jedliśmy w milczeniu. Byłem nieco onieśmielony, ponieważ gość zbywał monosylabami wszelkie próby nawiązania konwersacji. Później Bjørvik wyjaśnił mi, że wynikało to z tego, że słuchał piosenki w wykonaniu Ivora Novella nadawanej właśnie przez radio. Sam nie ma radia i od dwóch lat nie słuchał muzyki.

Po posiłku poczęstowałem go whisky i tytoniem. Grzecznie odmówiwszy alkoholu, nabił fajkę. Ja już przestałem się przejmować jego monosylabami; zapaliłem papierosa, który smakował mi jak jeszcze nigdy w

życiu. Ivor Novello umilkł, rozpoczął się program informacyjny. Ściszyłem radio.

– Dobrze jest – rzekł Bjørvik i powoli skinął głową.

Przyznałem mu rację, ale nie odpowiedziałem takim samym gestem – nie chciałem, by pomyślał, że z niego żartuję. Nie wiedziałem jednak, co konkretnie miał na myśli: jedzenie, muzykę, tytoń czy moje towarzystwo.

– Wiesz, w Anglii lubiłem być sam – wyznałem. – Teraz myślę, że czyjeś odwiedziny to najprzyjemniejsza rzecz na świecie.

Jego oczy zalśniły pod krzaczastymi brwiami. Roześmiał się i uderzył dłonią w kolano.

– *Ja!* Dobrze jest!

Piszę to na mojej pryczy. Bjørvik zajął pryczę Algiego, tę najbliżej okna. Śpi już, chrapiąc cicho. To najwspanialszy odgłos na świecie. Nie jestem sam! Wracając do chaty, zobaczę światło w oknach, wchodząc do niej, poczuję ciepło rozgrzanego pieca, a siedząc w środku, usłyszę kroki mojego gościa na ganku, pogwizdywanie towarzyszące rąbaniu drewna i przynoszeniu wody ze strumienia. Wydaje mi się, jakby od wczoraj minęło milion lat.

*Ja.* Dobrze jest.

## 12 listopada

Dwa dni minęły jak z bicia trząś. Wczoraj nadeszła wiadomość od Algiego. Powiedział, że wszystko w porządku, ale minie jeszcze kilka dni, zanim uda im się wyruszyć. Nie przejąłem się tym zbyt, bo już nie jestem sam. Trudno sobie wyobrazić grzeczniejszego, miłszego i mniej kłopotliwego gościa. Pod wieloma względami przypomina mi Erikssona: taka sama ogorziała twarz, przez którą od czasu do czasu przebiegają sejsmiczne fale śmiechu, ten sam na poły żartobliwy, a na poły poważny szacunek dla „młodych angielskich dżentelmenów” zafascynowanych

zjawiskami pogodowymi na Dalekiej Północy, ta sama ojcowska opiekuńczość, jakbym był uzdolnionym, ale mało wiedzącym chłopcem, na którego trzeba bardzo uważać, by nie napytał sobie biedy. Zwracam się do niego „panie Bjørvik”, a on do mnie „panie Yack”.

Zgodnie z jego przyzwyczajeniami do głównego posiłku siadamy o drugiej. Potem gramy w karty albo słuchamy radia, ale nigdy równocześnie, gdyż jego zdaniem byłoby to nieuprzejme wobec BBC. O ósmej jemy prostą kolację złożoną z jaj i bekonu, o wpół do dziesiątej zaś mój gość życzy mi dobrej nocy i kładzie się spać. Ja siedzę jeszcze przez jakiś czas, rozkoszując się poczuciem bezpieczeństwa.

Przywykł do prostych potraw: przede wszystkim mięso fok i reniferów (nazywa je „wołowiną”), naleśniki, słonina, suszone morele oraz mnóstwo kawy. Z przyjemnością częstuję go szynką i baraniną z puszek, australijską sałatką owocową, konserwowymi warzywami, ciasteczkami z otrębami i czekoladą. Wczoraj ustrzelił renifera (nie przejmuje się znanym tym, że są pod ochroną), w związku z czym na obiad mieliśmy ogromne steki i naleśniki z krwi. Są przepyszne i w ogóle nie mają smaku krwi. Objadaliśmy się też doskonałym szpikiem z kości zadnich nóg. Przez moje obżarstwo musiałem potem często biegać do wychodka, co ogromnie bawiło Bjørvika.

Najbardziej lubię czas zaraz po kolacji. Czytam i palę papierosa, on zaś pali fajkę i rzeźbi: chodaki na zimową porę albo pochwę na nóż z poroża renifera. Pasjami pochłania kryminały Algiego – największą atencją darzy Edgara Wallace’a.

Co jakiś czas wstaję, podchodzę do okna i sprawdzam, czy na niebie pojawiły się chmury. Wiem, że to głupie, ale nic nie mogę na to poradzić. Lękam się najlżejszej mgiełki, która przesłania księżyc. To się dzieje tak szybko: jakby nigdy nic patrzysz sobie na srebrzysty krąg, a on chwilę potem znika, połknięty przez atramentową ciemność. Przypuszczałem, że Bjørvik wyśmieje moje obawy, on jednak nawet się nie uśmiechnął. Mam wrażenie, że dobrze wie, dlaczego tak bardzo pragnę światła. Nie

wspomniałem o zjawie, a on o nic nie pyta, ale jestem pewien, że wie o niej. Musi wiedzieć, bo sam mi przecież wyznał, że poluje na tych terenach od wielu lat. Kiedy go zapytałem, czy wie z własnego doświadczenia, co to rar, zmierzył mnie ciężkim spojrzeniem i odparł, że w tej części wybrzeża nigdy nie miał żadnych problemów. A dziś wieczorem, kiedy powiedziałem, że wolę wiatr od martwej ciszy, skinął głową i przyznał:

– *Ja*. Cisza. To okropne, kiedy słyszysz każde mrugnięcie.

Później zapytał, co się stało z masztem. Wyjaśniłem, że porąbałem go na kawałki, a on zmarszczył brwi. Była to doskonała sposobność, aby go dokładnie wypytać, ale z niej nie skorzystałem. Dlaczego? Dlatego że nie chcę wiedzieć. Boję się, że rozmawiając o tym, w jakiś sposób przywołam to z powrotem. W sierpniu, kiedy po raz pierwszy słońce skryło się za horyzontem, Eriksson zapytał, czy z tym rozmawiałem. Teraz rozumiem, dlaczego to było dla niego ważne. Z tego samego powodu nie chcę teraz mówić o tym z Bjørvikiem, czuję bowiem, że w ten sposób zachęcę to do powrotu. Poza tym, przy odrobinie szczęścia nie będę musiał o nic pytać. Jeśli wszystko dobrze się ułoży i morze nie zamarznie, Gus i Algie zjawią się tu, zanim Bjørvik wyruszy w drogę powrotną do swojej chaty.

## 14 listopada

Krótko po tym, jak napisałem te słowa, uderzyła kolejna burza śnieżna, przygnana mroźnym wiatrem od bieguna. Co prawda już minęła, rankiem jednak niebo było tak zachmurzone, że nie widziałem księżyca, w zatoce zaś pojawiło się mnóstwo lodu.

Byłem przerażony. Morze znikło. Na jego miejscu pojawiło się chaotyczne skupisko odłamków lodu sterczących pod różnymi kątami, przypominające zamrożone miasto. Nie wierzyłem własnym oczom: przecież pak powinien się pojawić dopiero po Nowym Roku! Kiedy powiedziałem o tym Bjørvikowi, wybuchnął śmiechem.

– *Nej, nej*, panie Yack! To nie pak. Pak będzie w styczniu, a jak przyjdzie, to na pewno pan zobaczy, będzie błyszczał i migotał, i świecił w niebo. To jest dryfujący lód, wichura go przypędziła. Bardzo niebezpieczny. Niech się pan trzyma od niego z daleka, panie Yack, ale niech się pan nie martwi. Niedługo wiatr się zmieni i lód odpłynie.

Oczywiście miał rację. Wiatr zmienił kierunek i już zaczął spychać lód na otwarte morze. Chciałbym wiedzieć tyle, ile Bjørvik. Może wtedy poradziłbym sobie z tym miejscem.

Wprost trudno sobie wyobrazić, jak bardzo samotne jest jego życie. Główną chatę ma nad Wijdefiordem, ale zbudował też cztery mniejsze w promieniu kilku dni marszu, a w drodze do każdej z nich zastawił mnóstwo pułapek na lisy i niedźwiedzie. Przynętą dla lisów są głowy morskich ptaków, a dla niedźwiedzi focze sadło. Sprawdza je co dwa tygodnie. Gdyby nie burza śnieżna, nie znalazłby czasu, żeby mnie odwiedzić. Lisy unikają wędrówek po głębokim śniegu, obawiają się bowiem ugrzęznąć w zaspach, gdzie łatwo mogą paść łupem niedźwiedzi.

Powiada, że zbyt intensywne polowania sprawiły, że łapie się coraz mniej zwierząt. Minionej zimy schwytał zaledwie dwanaście lisów i dwa niedźwiedzie, ale dostał dobrą cenę za futra, a aptekarz z Tromsø zapłacił mu dwadzieścia cztery korony za niedźwiedzie woreczki żółciowe, z których robi się lekarstwo na reumatyzm.

Trochę mnie dziwi, że z jednej strony opowiada o tych dostojnych niedźwiedziach i pięknych lisach tak, jakby były tylko biegającymi futrami, z drugiej zaś oswoił osieroconego liska i rozpaczął po tym, jak zwierzątko zachorowało i zdechło. Przypuszczam, że jest za biedny na to, by darzyć zwierzęta sentymentami. Na podobny przywilej może sobie pozwolić wyłącznie klasa średnia. Z pewnością nie pochwała tego, że podkarmiam Isaaka czekoladkami, choć jest zbyt uprzejmy, żeby dać mi to do zrozumienia. A już na pewno nie podoba mu się, że puściłem psy luzem. (Aby go udobruchać, zacząłem znowu wiązać je do palików za „dnia” i

zamykać w psiarni na „noc”, czego serdecznie nienawidzą).

Chciałbym wiedzieć, dlaczego zawsze poluje sam, lecz nie wyjaśnił mi tego, a ja nie zamierzam pytać. Kiedyś jednak wymuskięło mu się, że za młodu „nie należał do najpilniejszych uczniów Pana”. Z paru innych wzmianek wnioskuję, że bardzo żałuje pewnych postępów ze swojej przeszłości.

Wypogodziło się i księżyc znowu świeci, choć zaskoczyło mnie niemile, jak dużo go ubyło. Ciągłe się zmienia, chwilami jest bladożółcisty, chwilami błękitnobiały. Niekiedy otacza go szare halo o czerwonych brzegach. W gruncie rzeczy nie jest to żaden z tych kolorów, tylko zupełnie inny, specyficzny księżycowy kolor, którego nie potrafię opisać. A czasem nie ma żadnego koloru, świeci zbyt słabo, by można było określić jego barwę, więc widzę świat w czerni i bieli, jak Isaak.

Po co w ogóle staram się nazwać barwy księżyca? Czy to typowo ludzkie dążenie do nadawania nazw, do sprawowania kontroli? Zapewne podobne pragnienia legły u podstaw meteorologii. Całe to obserwowanie, mierzenie, rejestrowanie... Próby oswojenia tego ogromnego, milczącego ładu. I czy z tego samego powodu piszę dziennik? Żeby wszystko nazwać, żeby zrozumieć sens wszystkiego? Coś, co można opisać, można także zrozumieć. A czegoś, co się rozumie, nie trzeba się bać.

Rzecz jasna, nie zapisuję wszystkiego, a przejrzawszy swoje notatki, zdziwiłem się trochę tym, co uznałem za warte uwiecznienia. Dlaczego zacząłem od trupa, którego wyłowiono z Tamizy? I dlaczego wspomniałem o strzegącym zdobyczy niedźwiedziu polarnym ze łbem czarnym od krwi? „Zdziwiłem się” to zbyt łagodne stwierdzenie. Ja się przeraziłem. Ani trochę mi się to nie podoba. A właściwie dlaczego w ogóle piszę? Czy staram się nadać sens swoim przeżyciom, czy raczej usiłuję jak najszybciej zepchnąć je w przeszłość, tak by nie krwawiły w teraźniejszości?

Gdybym był innym człowiekiem, może robiłbym to, by ostrzec innych na wypadek, gdyby mi się coś przytrafiło, ale nie mam w sobie tyle



bezinteresowności. Nie obchodzi mnie, co się stanie po mojej śmierci. (Dostrzegam jednak sprzeczność: z jednej strony nie wierzę, że jakakolwiek część mnie przetrwa moją śmierć, z drugiej zaś wiem, że Gruhuken jest nawiedzone).

Dlaczego więc prowadzę dziennik? Czy odprawiam jakieś egzorcyzmy? Czy pisanie może być formą egzorcyzmów?

Po Wielkiej Wojnie mój ojciec cierpiał z powodu okropnych koszmarów. Właściwie wszyscy cierpieliśmy, ponieważ jego krzyki budziły cały dom. Którejś nocy mało nie doszło do tragedii. Nie budząc się ze snu, ojciec wyciągnął spod poduszki rewolwer i wypalił do niemieckiego oficera, którego – jak nam później powiedział – wyraźnie zobaczył, stojącego u stóp łóżka. Pocisk przebił ścianę sypialni i przeleciał sześć cali nad moją głową, spałem bowiem w sąsiednim pokoju. Nazajutrz mama pozbyła się rewolweru (nigdy się nie dowiedziałem, w jaki sposób) i kazała ojcu pójść do lekarza od chorób nerwowych. Lekarz kazał mu spisać wspomnienia z okopów, żeby „wygnać demony”. Ojciec naturalnie tego nie zrobił, ale nie miało to większego znaczenia. Był już chory na gruźlicę, która zabiła go dwa miesiące później.

Czy teraz ja staram się to właśnie zrobić? Wygnać demony? Kolejna niekonsekwencja: usiłuję wygnać demony, pisząc o nich, a równocześnie boję się o nich głośno mówić, żeby ich nie przywołać. I w jaki sposób mam je wygnać, skoro nawet nie wiem, czym są?

## Później

To była tylko dygresja, ale pomogła mi uporządkować myśli. Wiem, że Gruhuken jest nawiedzone. Wiem o tym. Jakiś zagniewany duch błąka się tutaj. To nie echo. Ma cel. Źle mi życzy. A ja nie mam pojęcia, jak go odegnać, ponieważ nie wiem, kim – albo czym – jest ani czego chce.

Bjørvik wie o czymś. Jestem tego pewien. Musi mi to powiedzieć. Nie

mogę dłużej czekać. Wkrótce sobie pójdzie. Opuścił dom prawie tydzień temu, a przecież musi sprawdzać pułapki.

Zastanawiałem się, czy z nim pójść, ale nie mógłbym zabrać psów, bo wypłoszyłyby lisy i pozbawiłyby go środków do życia. A nie zostawię ich tutaj ani tym bardziej nie zastrzelę. Nie mogę dopuścić do tego, żeby wyprawa zakończyła się fiaskiem. Wciąż te same argumenty. Poza tym Gus i Algie zjawią się tu najdalej za kilka dni.

Nie mogę tego dłużej odkładać. Muszę porozmawiać z Bjørvikiem. Musi powiedzieć mi wszystko, co wie.

16 listopada

Jutro Bjørvik wraca do domu. Zaproponował mi, żebym mu towarzyszył. Było to po kolacji, przy drugim kubku kawy.

– Panie Yack, jak ja pójdę, pan też pójdzie, *ja?* Zabierze pan psy. Pan mieszka u mnie.

Ujęło mnie, że zaproponował, bym zabrał psy, ale równocześnie mocno mnie to zaniepokoiło. Jak wielkie, jego zdaniem, czyha na mnie niebezpieczeństwo, skoro jest gotów tak dużo zaryzykować, żeby mi pomóc? Mało brakowało, żebym przyjął jego propozycję, ale w porę uświadomiłem sobie, że nie mogę mu tego zrobić. Nie mogę też zawieść zaufania, jakie pokładają we mnie Gus i Algie. No dobrze, do diabła z Algiem; nie mogę zawieść Gusa. JACK JESTES NIESAMOWITY! GDYBY NIE TY EKSPEDYCJA ZAKONCZYŁABY SIE KLESKA. Do tego się wszystko sprowadza.

Wciąż sobie wyobrażam, jak to będzie, kiedy wróci. Spojrzy na mnie swoimi błękitnymi oczami, w których wyczytam podziw i uznanie, i powie: „Zrobiłeś to, Jack! Nie przypuszczałem, żeby komukolwiek się to udało, ale ty to zrobiłeś!”

Wiem, to żalosne. Czytając te słowa, krzywię się z niesmaku, mimo to jednak wciąż powtarzam je w duchu. I właśnie dlatego odrzuciłem propozycję Bjørvika. Tłumacząc mu, co mnie do tego skłoniło, uświadomiłem sobie, że już po raz trzeci zrezygnowałem ze sposobności opuszczenia Gruhuken. Najpierw Eriksson, potem Gus, teraz Bjørvik. Znacząca liczba: czy w bajkach wszystko nie zdarza się właśnie po trzykroć? A w Biblii? Trzy razy, zanim kur zapieje... Zupełnie jakbym od samego początku był skazany na to, żeby zostać tu sam.

– Ale, panie Yack... Pana przyjaciele. Kiedy tu będą? – zapytał Bjørvik, gdy tylko umilkłem.

– Niebawem. Wkrótce wyruszą, a podróż zajmie im najwyżej trzy dni. Jutro rano prześlą mi najnowsze informacje.

Nie odpowiedział. Ponownie napełniłem kubki kawą. Rozlałem trochę na stole. Usiadłem i spojrzałem mu prosto w oczy.

– Gruhuken jest nawiedzone. Nie odwrócił wzroku. – *Ja*. Podobno jak człowiek wreszcie wyrzuci z siebie to, co go gnębi, od razu czuje się lepiej. Ja wcale nie poczułem się lepiej. Wręcz przeciwnie: poczułem się tak, jakbym otworzył okno i wpuścił do domu coś okropnego.

– Opowiedz mi – poprosiłem. – Opowiedz mi o tym.

Pociągnął łyk kawy i odstawił kubek.

– O tym lepiej nie rozmawiać.

– Musimy.

– Panie Yack, na świecie są rzeczy, których nie rozumiemy. Lepiej, żeby tak zostało.

– Błagam, panie Bjørvik. Muszę wiedzieć!

Długo milczał, wpatrzony w serce pieca gorejące czerwienią.

– Nikt nie wiedział, jak się nazywa – odezwał się wreszcie. – To był traper. Ludzie mówili o nim źle, ale on jakby ich nie słyszał.

Wybałuszyłem oczy.

– Znał go pan?

– Nikt go nie znał. Raz tylko go widziałem, jak byłem młody. W Longyearbyen, jakieś dwadzieścia sześć albo siedem lat temu. – Skrzywił się. – Kiedy jeszcze żył.

Przełknąłem suchy kłęb, który utkwiał mi w gardle.

– Czyli około tysiąc dziewięćset dziesiątego. Jeszcze przed wojną.

– *Ja*. To się zdarzyło przed wojną.

Opowiadał zrywami, po kilka, kilkanaście zdań, z bardzo długimi przerwami. Nie miał najmniejszej ochoty tego robić, ale nalegałem

nieustępliwie.

Nikt nie wiedział, skąd przybył traper. Przypuszczalnie z bezludnych ostępów północnej Norwegii. Był bardzo biedny. Przyplłynął na Spitsbergen na pokładzie statku wielorybniczego. Był brzydki i płaszczył się przed ludźmi, co powodowało, że wszyscy, a zwłaszcza mężczyźni, jeszcze bardziej nim pogardzali i obarczali go najgorszymi, najbardziej upodlającymi zajęciami. Bjørvik nazwał go jakoś po norwesku; zdaje się, że słowo to znaczy tyle co „zapomniany przez Boga”. Życiowy nieudacznik.

W Longyearbyen starał się o pracę w kopalni, ale tam potrzebowano silnych mężczyzn, więc jej nie dostał. Próbował sprzedawać turystom skamieliny, lecz odstraszał ich swoim wyglądem. Nie umiał czytać i nie znał wartości pieniędzy, toteż wszyscy go oszukiwali. Po kilku dniach wyniósł się w jedyne miejsce, gdzie nikt go nie wyzywał i nie szczuł psami: do Gruhuken. Wkrótce jednak wygoniła go stąd spółka górnicza. Na tym ogromnym, dzikim pustkowiu spodobała im się akurat ta zatoka. Znaleźli węgiel, postawili słup, przybili do niego tablicę z aktem własności i wygnali trapera precz.

– Nie rozumiem – wtrąciłem. – Znaleźliśmy tę tablicę. Jakaś firma z Edynburga, ale rok tysiąc dziewięćset piąty... To było chyba zanim się tu pojawił?

– *Ja*, naturalnie. Ale, panie Yack, na tych tablicach każdy mógł napisać, co chciał.

– Czyli sfalszowali datę? Przecież to nielegalne!

– To ziemia niczyja! – prychnął Bjørvik. – Nie ma prawa! Każdy robi, co chce!

– A więc mimo że zjawił się tu pierwszy...

– On był jeden, ich było dużo. Wyrzucili go.

– A potem?

Przez chwilę żuł końcówki wąsów.

– Potem wrócił. Podobno znowu go wygnali. Podobno już nie wrócił.

– „Podobno”? Czyli uważa pan, że tak nie było?

Wbił spojrzenie w ogień.

– Nie wiem. Nikt go potem już nie widział. Żywego.

– Pan coś wie, prawda?

Podrapał się po głowie.

– Kiedy górnicy dostaną wypłatę, piją. Kiedy piją, mówią. Ja wtedy też piłem. Któregoś wieczoru siedziałem w barze w Longyearbyen...

Umilkł.

– Oni wtedy przyszli? Górnicy z Gruhuken?

– Tylko jeden. Reszta już nie żyła. – I ten górnik opowiedział panu, co się stało? – Nie. – Ale mówił o tym, a pan wszystko słyszał? Rzucił mi ostre spojrzenie. – Pił na umór. Bredził bez sensu. – Ale pan i tak wiele zrozumiał. Co mu zrobili? Co zrobili traperowi z Gruhuken?

Niespodziewanie zerwał się gwałtownie na nogi, przewracając krzesło.

– Nie wiem! – wykrzyknął. – Bóg mi świadkiem, że nie wiem!

Zapadła martwa cisza. Po jakimś czasie Bjørvik podniósł krzesło, usiadł na nim i z ponurą miną wbił wzrok w podłogę. Wstałem z miejsca, podszedłem do okna, wróciłem i ponownie usiadłem.

– Przepraszam. Ale nawet jeżeli pan nie wie, to z pewnością czegoś się pan domyślał. Proszę mi powiedzieć, jak pan sądzi, co tu się wtedy stało?

Potarł dłonią twarz.

– Myślę, że kiedy wrócił, byli na niego źli. Pewnie chcieli go pobić, lecz wyszło gorzej. – Głośno przełknął ślinę. – Tacy ludzie są gotowi na wszystko.

Uświadomiłem sobie, że kurczowo zaciskam pięści. Pomyślałem o ciemnych plamach na maszcie i zrobiło mi się niedobrze.

To był właściwie koniec opowieści. Kopalnia działała jeszcze przez rok, ale przez cały czas prześladowały ją nieszczęścia. A to zerwana lina obcięła nogę człowiekowi, który potem zmarł z upływu krwi, a to tuż przy brzegu wywróciła się łódź i utonęło dwóch ludzi... W końcu skalna lawina

zniszczyła górnicze chaty, ci zaś, co ocaleli, uciekli. Po kolejnym roku właściciele doszli do wniosku, że tutejsze złoża węgla nie są aż tak obfite, jak przypuszczano, i zamknęli kopalnię.

Opustoszałe Gruhuken szybko zyskało złą sławę. Wielu z tych, którzy tu obozowali, spotykały nieszczęścia. Pożary, utonięcia... Pewien szwedzki traper zastrzelił najpierw swojego towarzysza, a potem siebie. W pożegnalnym liście napisał, że zrobił to, by uciec przed *gengångers*, czyli „tym, który znowu chodzi”.

Na tym zakończyła się relacja Bjørvika, ale ja i tak znam resztę historii. Przez ponad dwie dekady Gruhuken było zupełnie puste. W roku 1935 topografowie z uniwersytetu w Oksfordzie, badający wybrzeża wyspy, uznali, że zatoczka ta jest doskonałym miejscem na obozowiska kolejnych ekspedycji. Krótco potem Gus Balfour przeczytał ich raport i umieścił Gruhuken na szczycie swojej listy. Lampa wypaliła się do końca. Napełniłem ją na nowo, zapaliłem i postawiłem na stole. Zapach nafty mało nie wywołał u mnie torsji. Bjørvik wciąż siedział bez ruchu z dłońmi na kolanach i wzrokiem wbitym w podłogę. Chciałem opowiedzieć mu o swoich przejściach, ale jakoś nie mogłem się zdobyć na odwagę. Zresztą chyba nie chciał wiedzieć.

Zapytałem, czy bywał tu wcześniej, a on odparł, że nie, że do tej pory nigdy nie zbliżał się do Gruhuken bardziej niż na dziesięć mil. Zapytałem więc, czy teraz, podczas swojego pobytu, przeżył coś niezwykłego. Dowiedziałem się, że miał złe sny. Tylko złe sny? Zazdroszczę mu.

Ponownie podszedłem do okna. Nie widziałem księżycy. Wschodni wiatr gnał przed sobą wydłużające się smugi śnieżnego pyłu. Spojrzałem na Bjørvika.

– Czego to chce?

Rozłożył szeroko ręce.

Zrozumiałem. To chce odzyskać Gruhuken, a ja stoję mu na drodze.

17 listopada

Powinienem był pójść z nim. Wierzyłem jednak, że Gus i Algie wrócą lada dzień, że wytrzymam do ich przyjazdu.

Pocą mi się ręce. Z trudem mogę utrzymać w nich pióro. Dlaczego nie poszedłem z Bjørvikiem?

Wyruszył prawie trzy godziny temu, zaraz po śniadaniu. Uznał, że choć księżyc jest w ostatniej kwadrze, to zorza polarna świeci na tyle jasno, że będzie miał aż nadto światła, by odnaleźć drogę. Nie ponowił oferty zabrania mnie ze sobą, a ja wiedziałem, że spieszno mu było odejść. Nie mylił się: mówiąc o tym, zwabiliśmy to bliżej.

Żałowałem, że na odchodnym nie udzielił mi żadnej mądrej rady ani nie dał jakiegoś talizmanu odstraszającego duchy, czegoś w rodzaju czosnku, który rzekomo odpędza wampiry. Wystarczyłaby nawet Biblia. Nie wierzę w Boga, ale traktowałbym ją jako wyjątkowo silny amulet. Powiedziałem mu o tym – nie o amulecie, lecz o Biblii. Starłem się, by zabrzmiało to żartobliwie, on jednak tylko pokręcił głową. Biblia nic tu nie pomoże.

Obdarowałem go na pożegnanie: dostał tyle bekonu, ile mógł unieść, paczkę najprzedniejszego tytoniu z Wirginii oraz cztery książki Edgara Wallace'a, których nie zdążył jeszcze przeczytać. Sprawiał wrażenie zadowolonego, więc chyba nareszcie zachowałem się jak należy. Ostatnią radą, jakiej mi udzielił, było to, żebym zawsze miał psy blisko siebie.

Początkowo wcale nie czułem się źle w samotności. Wszystko zmieniło się godzinę później, po „rozmowie” z Algiem. Miałem nadzieję, że usłyszę Gusa. Liczyłem na to. Okazało się jednak, że Gusowi się „pogorszyło”. Algie przysięgał, że to nic poważnego, a ja nie sądzę, żeby kłamał w takiej sprawie, niemniej jednak jeszcze nie mogą wyruszyć. WYBACZ JACK STOP WYJAZD ZA TYDZIEN STOP WYBACZ STOP.

Byłem w szoku. Ledwo do mnie dotarło to, co napisał. Oszołomiony, wystukałem zdrętwiałymi palcami: W PORZADKU STOP ZYCZ GUSOWI ZDROWIA ODE MNIE STOP.



W porządku? W jakim porządku? Jeśli wyruszą za tydzień, mogą tu dotrzeć najwcześniej za dziewięć dni, czyli prawie w grudniu. Czy mogę mieć nadzieję, że morze będzie jeszcze wtedy wolne od lodu? Jeżeli tutaj utknę, nie mam najmniejszych szans, żeby dotrzeć do wiosny. W pierwszym odruchu chciałem przypiąć narty i pognać za Bjørvikiem. Do diabła ze wszystkim, byle się stąd wydostać. Ale on miał dwie godziny przewagi, a ja nie wiedziałem, gdzie dokładnie jest jego chata. Nie ma jej na mapie. Wiem tylko tyle, że to gdzieś na zachodnim brzegu Wijdefiordu, który jest ogromny. Mógłbym iść po jego śladach, gdyby nie wiatr, który zdążył je już zatrzeć.

Mój zegarek stanął, ale jeśli wierzyć budzikowi Gusa, jest jedenasta „rano”. Za godzinę muszę wyjść i spisać wskazania przyrządów. Znowu będę gromadzić odwagę, pomagając sobie whisky i papierosami. Znowu będę przekupywać psy słodyczami, żeby cały czas kręciły się w pobliżu. Znowu będę spoglądać z lękiem w niebo, szukając najmniejszego śladu chmur.

Wciąż się zastanawiam, co z nim zrobili. Dobrze pamiętam górnika, którego widziałem w Longyearbyen. Ludzie tacy jak on są gotowi na wszystko. Pamiętam też zło w najczystszej postaci emanujące z sylwetki przed chatą. Czarną, bezdenną, nieludzką wściekłość.

Jak mam przetrwać kolejny tydzień?

## Później

Wypiłem solidnego drinka, przeprowadziłem ze sobą poważną rozmowę i jakoś wzięłem się w garść. Musisz pamiętać, Jack, że to nie może ci nic zrobić, powtarzam sobie bez przerwy. Tylko dlatego znalazłem w sobie dość siły, by mieć nadzieję, że jakoś wytrzymam do powrotu tamtych. To miejsce jest nawiedzone przez ducha, a duch to nie materia. Duch nie jest taki jak ja, nie jest taki jak pióro, którym piszę te słowa, ani jak ten zeszyt, stół albo

chata. Nie może wyrządzić mi krzywdy.

Najwyżej może mnie przestraszyć.

18 listopada

Wiedziałem, że wszystko się zmieni, nie miałem jednak pojęcia, że nastąpi to tak szybko i że będzie dotyczyło także psów.

Dopóki Bjørvik bawił tutaj, nie bardzo potrafiłem sobie wyobrazić, jak to będzie, kiedy odejdzie. Minął zaledwie dzień, a mnie już się wydaje, że nigdy nie złożył mi wizyty. Księżyc schudł, został tylko wąziutki sierp na niebie. Ciemność jest czarna. Kiedyś uważałem, że strach przed ciemnością to najdawniejszy lęk ludzkości. Możliwe, że nie miałem racji. Możliwe, że ludzie lękają się nie ciemności, lecz tego, co może z niej nadejść. Co w niej mieszka.

Celowo zbaczam z tematu. Psy.

Wczoraj, po odejściu Bjørvika, zdobyłem się na ogromny wysiłek, żeby się nie ugiąć pod ciężarem wiadomości o późniejszym powrocie Gusa i Algiego. Zebrałem w sobie odwagę, zrobiłem, co do mnie należało, przyrządziłem posiłek i zmusiłem się, żeby go zjeść. Zajmując się swoimi obowiązkami, nie wyczuwałem niczego nadzwyczajnego, niczyjej obecności ani żadnego zagrożenia. Tylko w głębi serca czułem ogromną, ziejącą pustkę na myśl o tym, co może się wydarzyć.

O wpół do siódmej nakarmiłem psy i miałem przed sobą pierwszy samotny wieczór. Nie czułem głodu, a choć byłem zmęczony, wiedziałem, że nie uda mi się zasnąć, w związku z czym zaaplikowałem sobie dawkę morfiny, czego nigdy do tej pory nie robiłem i nigdy już nie zrobię. Przespałem dwanaście godzin, by obudzić się za dziesięć siódma, czyli tuż przed porą odczytów. Z trudem zdążyłem spisać wszystko o czasie.

Po powrocie do chaty właśnie zabierałem się do pedałowania, żeby uruchomić radiostację, kiedy przypomniałem sobie, że nie wypuściłem psów

– a raczej to one przypomniały mi o tym, ujadając z oburzeniem. Ponieważ już i tak byłem spóźniony z transmisją na Wyspę Niedźwiedzią, krzyknąłem, żeby poczekały, i zacząłem pracę. Wydaje mi się, że w pewnej chwili hałas, jaki czyniły, jeszcze bardziej przybrał na sile, a potem raptownie ucichł; może jednak to tylko moja wyobraźnia obudowuje szczegółami wydarzenia z przeszłości. W każdym razie, kiedy wreszcie wyszedłem z chaty, drzwi psiarni były otwarte na oścież, a psy znikły. Zacząłem wymachiwać lampą.

– Isaak! Kiawak! Upik! Jens! Eli! Svarten! Pakomi! Anadark! Isaak!  
Cisza.

To do nich zupełnie niepodobne. Do tej pory nigdy nie uciekały, nawet nad sąsiednią zatokę. Te psy po prostu tego nie robią. Przynajmniej nasze. I zawsze przybiegają na wołanie, bo wiedzą, że to oznacza poczęstunek.

To było dwanaście godzin temu. W jaki sposób wydostały się z psiarni? Przed czym uciekły? Co się z nimi stało?

Zostawiłem im jedzenie przed chatą, uchyliłem drzwi psiarni i wrzuciłem sporo karmy także do środka. Wiem, że w ten sposób mogę zwabić niedźwiedzie, ale nic mnie to nie obchodzi. Zrobię wszystko, żeby odzyskać psy. Chyba powinny wrócić, kiedy zgłodnieją? Są głodne prawie bez przerwy, więc pewnie wrócą niebawem.

A jeśli nie?

## 19 listopada

Dwa dni od odejścia Bjørvika. Dzień od zniknięcia psów. Chodzę zgięty wpół, jakbym miał jakiegoś guza w brzuchu. Brakuje mi psów. Bez nich nic nie odgradza mnie od tego, co nawiedza to miejsce. A może się zjawić w każdej chwili. Może też trzymać się z daleka przez wiele dni, jak wtedy, kiedy był tu Bjørvik, ale ja i tak zawsze wiem, że czeka. To właśnie jest najgorsze: nie wiem, kiedy nadejdzie. Wiem tylko tyle, że to nastąpi.

Parę lat temu przeczytałem w gazecie przemówienie amerykańskiego

prezydenta. Powiedział tak: „Jedyne, czego powinniśmy się bać, to strach”. Ale on o niczym nie wie. O niczym nie wie.

Staram się myśleć ze współczuciem o traperze z Gruhuken. Miał nędzne życie i okropną śmierć. Niestety, nie mogę. Czuję wyłącznie strach. Wiedza o tym, kim był, niewiele mi pomaga, ponieważ nie mogę zrobić nic, żeby go udobruchać. Nieważne, że jestem niewinny. Nie tylko winni cierpią. Poza tym jednak jestem winny. Przecież tu przebywam.

## 20 listopada

Isaak wrócił! Po powrocie ze spisywania południowych odczytów znalazłem go skulonego przy drzwiach chaty. Był w koszmarnym stanie, zupełnie mokry, dygotał ze strachu. Padłem na kolana, objąłem go i przygarnąłem ze wszystkich sił.

– Isaak! Isaak!

Mimo to wciąż się trząśł, ślepie miał nieprzytomne z przerażenia, dyszał ciężko i bez przerwy szczyrzył zęby. Nigdy go takiego nie widziałem. Gdybym mógł, zasypałbym go pytaniami. Gdzie byłeś? Co się z tobą działo? Co widziałeś?

Jak tylko otworzyłem drzwi, w okamgnieniu znalazł się na ganku i natychmiast zaczął skrobać w drzwi wewnętrzne. Wpadłszy do chaty, zaszył się pod moją pryczą i nie było mowy o tym, żeby go stamtąd wyciągnąć. Zawiodły nawet wszystkie smakołyki – z wyjątkiem czekoladki z brandy. Wytarłem go do sucha, nakarmiłem pemikanem, przestał się tak bardzo trząść i zaczął znowu przypominać dawnego siebie. Z oczu częściowo znikło przerażenie, ale jak tylko wstałem, by powiesić ręcznik nad piecem, natychmiast ruszył za mną, trzymając się tak blisko, że mało się o niego nie przewróciłem.

– Nie bój się – powiedziałem. – Od tej pory mieszkasz ze mną. Nie wracasz do psiarni, przyjacielu. Jesteś bezpieczny.

Słuchał, strzygąc uszami i nie spuszczać wzroku z mojej twarzy.

To niesamowite, jak bardzo podnosi na duchu możliwość opieki nad kimś. Człowiek od razu czuje się dzielniejszy i zaradniejszy. Przypuszczam, że tak właśnie czują się rodzice. Muszą być silni ze względu na dzieci.

– Gdybym jednak pozwolił ci biegać luzem – ciągnąłem – szybko zeżarłbyś wszystkie zapasy. Przykro mi więc, ale będę musiał cię uwiązać.

Żeby zniechęcić go do prób przegryzienia smyczy, nasączyłem sznur naftą, po czym przywiązałem jeden jego koniec do upręży, a drugi do najcięższego sprzętu w chacie, czyli do mojej pryczy. Rzecz jasna, nic z tego nie wyszło. Za każdym razem, kiedy znikalem mu z oczu w głównym pomieszczeniu, Isaak zaczynał rozpaczliwie wyć. Okazało się też, że lubi naftę, bo rozprawił się ze sznurem w ciągu pięciu minut. Pozostało mi więc tylko przemeblować wnętrze chaty w taki sposób, by jak najlepiej zabezpieczyć się przed psimi wybrykami. Polegało to głównie na przeniesieniu na najwyższe półki wszystkiego, co dałoby się pogryźć, przeżuć i połknąć. Następnie rozrzuciłem po podłodze trochę drewna, żeby miał na czym skupić uwagę, i puściłem go wolno.

Kawałki drewna zignorował całkowicie. Najpierw oparzył sobie nos o piec, a następnie zaczął biegać tu i tam, co jakiś czas przystając i podnosząc tylną łapę. Dyszał coraz głośniejszymi dźwiękami, aż w końcu zrozumiałem, że jest mu za gorąco. Dałem mu miskę wody. Wychleptał ją, ale dyszał jeszcze mocniej. Napełniłem miskę śniegiem. Nieco pomogło. Zaraz potem dopadł moich spodni ze skóry renifera, które zapomniałem uprzątnąć z pryczy, ułożył się wygodnie i zaczął je zjadać.

Byłem tak zajęty, że przegapiłem piątą po południu, musiałem więc wysłać na Wyspę Niedźwiedzią depezę z wyjaśnieniami. Nie bardzo się tym przejąłem. Cudownie było mieć Isaaka tuż przy sobie, słyszeć skrobienie pazurów o podłogę i czuć jego wilgotny nos trącający moją dłoń. Nie jest przyuczony do życia w domu – znalazł się w nim chyba po raz pierwszy w

życiu – dlatego muszę go bez przerwy obserwować. I bardzo dobrze, bo tego właśnie mi trzeba. Właśnie przed chwilą przykucnął w kącie, złapałem go więc za uprząż i wywlokłem na zewnątrz. Stałem oparty plecami o drzwi, niczym służący w wielkim mieście, który właśnie wyprowadził pańskiego psa na spacer. Nie czułem niczyjej obecności, Isaak zaś nie okazywał żadnych oznak lęku. Karma, którą rozrzuciłem na śniegu, leżała nietknięta, ale, ku memu zdziwieniu, nie zwrócił na nią najmniejszej uwagi. Załatwiwszy to, co miał do załatwienia, oddalił się na kilka kroków, stanął zwrócony pyskiem w stronę morza, a tyłem do wiatru, podniósł pysk i zawył rozpaczliwie i z takim bólem, że włosy zjeżyły mi się na głowie.

To wycie nie brzmiało jak nawoływanie stada, ale tak, jakby wiedział, że nigdy już go nie zobaczy.

## 21 listopada

Wciąż wyje z tęsknoty za stadem, ale przywykł już do przebywania w chacie i nie muszę go bezustannie pilnować. Nie muszę się też martwić o radiostację, ponieważ nie zbliża się do tej części pokoju, a kiedy ja tam jestem, okazuje wyraźne zdenerwowanie. Mądry pies. Szkoda, że nie mogę wziąć z niego przykładu.

Dziś rano niewiele brakowało, żebym przez Isaaka stracił okazję porozmawiania z Gusem. Włączyłem mniejszą radiostację, ale właśnie wtedy pies przykucnął w kącie, musiałem więc czym prędzej wyprowadzić go na dwór. Kiedy wróciliśmy, światelka migotały nagłaco. Pospiesznie założyłem słuchawki. Zależało mi na każdej kropce i kresce wysłanej przez Gusa.

**GDZIE JESTES JACK? WSZYSTKO OK? JACK!**

Uśmiechnąłem się na widok tego „OK”. Wciąż doskonale pamiętałem naszą rozmowę na pokładzie Isbjørna po pojawieniu się pierwszego lodu, kiedy powiedziałem, że lód jest „niezły”, Gus zaś użył słowa „wspaniały”, a

ja natychmiast uniosłem się honorem. Teraz celowo posłużyłem się tym właśnie wyrazem.

U MNIE WSZYSTKO WSPANIALE STOP CO U CIEBIE?

Ach, ten Gus! W lot zrozumiał żart.

CHA CHA CHA! MARTWILEM SIE O CIEBIE STOP

PSY UCIEKLY ALE ISAAK WROCIL STOP

CO? CO?

Opowiedziałem mu o ucieczce psów i powrocie Isaaka, a także o tym, że Bjørvik wrócił do siebie – nie wspomniałem jednak, że zaproponował, żebym mu towarzyszył, ani że odrzuciłem zaproszenie. Upajałem się troską i niepokojem Gusa. Byłem jak Isaak: nieważne, co mówił. Liczyło się tylko to, że w ogóle ze mną rozmawiał, że się mną przejmował. JACK JESTES NIESAMOWICIE DZIELNY! EKSPEDYCJA WSZYSTKO TOBIE ZAWDZIECZA!

No i co z tego? – przemknęło mi przez głowę, ale ponieważ powiedział to Gus, równocześnie aż zarumieniłem się z zadowolenia. Po skończonej rozmowie długo wpatrywałem się w jego słowa zapisane na papierze. Nie mogłem się zdobyć na to, żeby wrzucić kartkę do pieca, więc wsunąłem ją między strony tego dziennika.

Nigdy nie żywiłem takich uczuć wobec żadnej osoby. W znacznej mierze składają się na nie podziw i uwielbienie. A może to strach sprawia, że tak bardzo lgnę do niego? Tak czy inaczej, wiem na pewno, że gdyby tu teraz był, zniósłbym wszystko.

Cisza, jaka zapadła po hałaśliwej transmisji, była nie do zniesienia. Nagle uświadomiłem sobie, jak brudne i osmalone jest wnętrze chaty. Gdziekolwiek spojrziałem, mój wzrok natrafiał na rzeczy Gusa: jego mikroskop, książki, na pryczy sterty ubrań przypominające zwłoki. A dokoła stołu pięć krzeseł, jakby czekających na odwiedzinę duchów.

Dostrzegłem na podłodze niedojedzone resztki moich spodni ze skóry renifera. Pochyliłem się, żeby je sprzątnąć, i wtedy tuż obok zjawił się Isaak,



który chciał sprawdzić, co robię. Od razu poczułem się lepiej. Nie mam pojęcia, co bym począł bez niego. Uwielbiam, kiedy kładzie się z ciężkim westchnieniem albo macha ogonem, gdy się zbliżam. Uwielbiam, kiedy leży na brzuchu z pyskiem między przednimi łapami i wodzi za mną wzrokiem, zabawnie unosząc brwi. Uwielbiam jego łapy pachnące skórą i chrapliwe pomruki, jakimi próbuje się ze mną porozumiewać. Ma nadzwyczajne oczy. Wcale nie lodowatobłękitne, jak mi się zdawało, ich odcień jest znacznie cieplejszy. To czysty błękit letniego poranka. To trochę przesadne porównanie, ale jedynie takie przychodzi mi do głowy.

Teraz, kiedy piszę, leży pod stołem, oparty o moją łydkę. Wyciągam rękę i zanurzam palce w jego futrze. Czuję dłonią ciepło jego muskularnego ciała, szybkie bicie serca. Co chwila przerywam pisanie, żeby z nim porozmawiać. Już nigdy się nie rozstaniemy, obiecuję. Jak tylko to się skończy, wrócisz ze mną do Anglii. Tam właśnie mieszkam. Nie obchodzi mnie, ile to będzie kosztowało ani jak długo potrwa. W Anglii ludzie też trzymają psy husky; Gus zna rodzinę z Berkshire, która ma trzy. Znajdę sobie jakąś pracę na prowincji. Spodoba ci się tam. Na pewno polubisz uganianie się za królikami. Co prawda nigdy nie widziałeś królika, ale jestem pewien, że gdy go zobaczysz, od razu się domyślisz, co należy zrobić. Znajdę ci żonę, zostaniesz ojcem i założysz własne stado.

Siedzi z pyskiem na moim udzie i wpatruje się we mnie swoimi niezwykłymi oczami.

## Później

Wciąż wieje południowy wiatr, który odpycha lód od brzegu. Cały czas widzę czarną wodę w zatoce. Trzymam się tej nadziei. Morze jest wolne od lodu, jeszcze mogą tu dotrzeć.

Na zewnątrz trzepocze kawałek naderwanej papy. Niedawno wyszedłem, żeby go znaleźć, ale nie udało mi się. Nie szukałem zbyt długo.

Wkrótce po moim powrocie Isaaka ogarnął niepokój. Nie chciał się bawić ani jeść, nie szukał miejsca do załatwienia potrzeby, ignorował miskę ze śniegiem. Z położonymi płasko uszami i szklistym spojrzeniem biegał nerwowo po chacie. Najwyraźniej czegoś się bał.

– Isaak?

Nie zwracał na mnie uwagi. Chwyciłem lampę i latarkę, i stanąłem na środku pokoju. Issak znieruchomiał kilka stóp od północnego okna. Sierść zjeżyła mu się na grzbiecie. Nasłuchiwałem ze wstrzymanym oddechem, przenosząc wzrok z okna na okno. Nagle pies się otrzepał, odwrócił ku mnie i lekko zamachał ogonem.

Powoli wypuściłem powietrze z płuc.

Ponieważ nie mogłem się zdobyć na wyjście z chaty, opuściłem odczytywanie wskazań o piątej po południu. Z ciężkim sercem wysłałem na Wyspę Niedźwiedzią kolejną depezę z usprawiedliwieniem. Jestem na siebie wściekły za to, że się poddaję. Od jutra wracam do normalnego rozkładu zajęć. Trzymam się go rozpaczliwie, bo już tylko on mi pozostał, ale równocześnie zaczynam martwić się czasem – a raczej tym, że mogę utracić możliwość mierzenia go. Mój zegarek wciąż nie działa, dzisiaj zepsuł się także chronometr w stacji pomiarowej. Oznacza to, że pozostał mi jedynie budzik Gusa. Jutro, zanim wyjdę na dwór, wezmę go do kieszeni, a przedtem owinę czymś starannie, żeby chronić go przed mrozem. Na razie stoi na stole w głównym pokoju.

Tylko on informuje mnie o mijających dniach. Na zewnątrz nie ma już nawet fałszywego świtu, księżyc zaś schudł tak bardzo, że został z niego jedynie srebrzysty brzeżek. Jutro i on zniknie.

Jutro jest nów.

22 listopada

Minionej nocy dowiedziałem się tego, o czym nie mógł mi powiedzieć Bjørvik: co się stało z traperem z Gruhuken.

Siedziałem do późna, pisząc i rozmawiając z Isaakiem. Około jedenastej wypuściłem go na dwór, a kiedy wrócił, postawiłem mu w sypialni miskę ze śniegiem i obaj położyliśmy się spać.

Na zewnątrz było bardzo zimno, poniżej minus trzydziestu. Nasze oddechy zamarzały na ścianach pokrytych grubą warstwą szronu. Nie mogłem się rozgrzać. Zwabiłem Isaaka na pryczę, ale nie wytrzymał długo i szybko wrócił na podłogę. Zwinął się tam w kłębek, lecz wkrótce zerwał się i zaczął biegać truchtem po chacie. Trudno mi było stwierdzić, czy zaraził się niepokojem ode mnie, czy coś wyczuł.

Dygotałem z zimna, chociaż wlażłem w dwa śpiwory i przykryłem się skórą reniferów. W końcu wstałem, wyszedłem do hallu, wygrzebałem spod psich uprząży przenośny piecyk naftowy i ustawiłem go w sypialni. Ze względu na Isaaka musiałem najpierw zbudować wysoki postument ze skrzyń i dopiero na nim postawić piecyk. Teraz jest dużo lepiej.

Śni mi się, że płynę z Gusem łodzią wiosłową. Fala kołysze nas lekko, panuje cudowny spokój. Wychylamy się za burtę i obserwujemy wodorosty zawieszane w przejrzystej wodzie.

Łódź lekko przechyliła się do tyłu. Zerkam przez ramię i widzę rękę, która wyłoniła się z morza i chwyciła za nadburcie. Nie boję się, tylko jestem zdeterminowany. Nie pozwolę, żeby to coś wydostało się z wody. Z grymasem odrazy na twarzy zaczynam siec ogromnym nożem po palcach. Uderzam raz po raz, ale wygląda to jak porcjowanie kurczaka, kiedy nie udaje się trafić w staw i trzeba piłować kości. Jestem lekko zniesmaczony,

lecz równocześnie znajduję w tym zajęciu pewną satysfakcję.

Sen się zmienia. Teraz ja jestem w morzu, głęboko, w ciemności. I znowu wcale się nie boję, jestem tylko zde gustowany. Coś martwego, utopionego, obejmuje mnie ramionami. Razem obracamy się wśród śliskich wodorostów. Nie widzę twarzy, ale czuję policzek przyciśnięty do mojego policzka, zimny i miękki jak zapleśniała skóra.

Teraz stoję przywiązany do masztu przed chatą. Boję się. Nic nie widzę. Nie mogę mówić, bo nie mam języka. Czuję woń nafty. Słyszę trzask płomieni. Wiem, że ktoś w pobliżu trzyma w ręce płonąca pochodnię.

Słyszę chrobot metalu ciągniętego po skałach. Serce kurczy mi się z przerażenia. Odgłos się zbliża, ale ja nie mogę uciec. Mam związane ręce i nogi. Zgrzytanie zbliża się coraz bardziej. Przerażenie narasta. Coś idzie po mnie. Nie mogę się poruszyć, nie mogę się poruszyć...

Obudziłem się z krzykiem.

Isaak trącał mnie nosem w twarz, jego wąsy ocierały się o mój policzek. Rozpaczliwie łapałem powietrze, drżąc jak w febrze, serce łomotało mi w piersi tak mocno, że aż bolało. Było mi zimno, leżałem w wilgotnym śpiworze. Wyciągnąłem rękę i dotknąłem ściany. Mokra. Dopiero po chwili dotarło do mnie, że ciepło piecyka roztopiło szron.

Sen nie chciał mnie opuścić. Zdawałem sobie sprawę, że przerażenie, które czułem, nie było moim przerażeniem. Myślałem o ciemnych plamach na drzewcu masztu, o chrobocie metalu ciągniętego po skałach. Nagle przypomniałem sobie o czymś, co zupełnie wyleciało mi z pamięci: o zardzewiałym żelastwie, które znaleźliśmy po przybyciu do Gruhuken i zakopaliśmy w trosce o psy. Druty. Haki. Noże. Wielkie, przerdzewiałe noże. Takie, jakich używa się wtedy, kiedy zahaczy się martwą lub ranną fokę i wyciągnie ją na brzeg. Noże do oskórowywania zwierząt.

Nie zdążyłem dobiec do wiadra. Zwymiotowałem na podłogę. Torsje były tak gwałtowne, że aż rozbolały mnie mięśnie brzucha. Isaak podszedł cicho od tyłu i zaczął zlizywać wymiociny z podłogi. Roztrzęsiony, zgięty

wpół jak starzec, powlokłem się do kuchni. Napełniłem miskę Isaaka i postawiłem ją na podłodze. Obwąchał ją bez większego zainteresowania. Nalałem wody do kubka i spróbowałem ją wypić. Nie mogłem przełknąć. Przed oczami co chwila pojawiały mi się przebłyski z mojego snu.

Noże do oskórowywania zwierząt.

Tacy ludzie nie cofną się przed niczym.

Kiedy miałem osiem lat, byłem świadkiem, jak kilku starszych chłopców znęcało się nad psem. Potem jeden z nich wyjął scyzoryk i poprzecinał zwierzęciu gałki oczne. Patrzyłem, jak pies chwiejnym krokiem idzie ulicą, a ja tak bardzo chciałem, żeby jego cierpienia dobiegły końca, żeby wpadł pod jakiś samochód. Nieszczęśnik dojrzał jednak do najbliższego skrzyżowania i zniknął za rogiem, a kiedy tam podbiegłem, nigdzie już go nie było. Przez wiele tygodni modliłem się, by znalazł szybką śmierć, ale choć byłem wówczas bardzo młody, już przeczuwałem, że Bóg, który pozwala na takie okrucieństwa, raczej nie pospieszy mu z pomocą.

Nie chcę myśleć o tym, co ci ludzie zrobili traperowi z Gruhuken. Wciąż słyszę metaliczny szcęk, kiedy wlekli haki po skałach, a potem sięgnęli po noże i zabrali się do roboty. Kiedy noże przestały być potrzebne, sięgnęli po naftę i pochodnie. Chciałbym wierzyć, że już wtedy nie żył, ale wątpię, żeby tak było. Nie chcę mieć tego w głowie. Oddałbym wszystko za to, żeby całkowicie oczyścić swój umysł.

Jest druga w nocy, ale boję się zasnąć. Jeśli ten sen wróci...

Zajmę się szronem. Bjørvik powiedział mi, jak można sobie z nim poradzić. Trzeba poprzybijać koce do ścian i sufitu, i wtedy szron przestaje się na nich osadzać.

Już po wszystkim. Obiłem całą sypialnię kocami. Prosta czynność – wbijanie gwoździ – pozwoliła mi nieco się uspokoić. Nawet jeśli właśnie uświadomiłem sobie, że zamieniłem sypialnię w celę o miękko wyściełanych ścianach.

## Później

Sądziłem, że to coś chce, bym sobie stąd poszedł, ale teraz już wiem, że jest inaczej.

Chyba zasnąłem, ponieważ ocknąłem się skulony na pryczy. Okno wisiało w czerni jak niewyraźny grafitowy prostokąt. Isaak stał na środku pokoju ze zjeżoną sierścią i położonymi uszami. Za ścianą, na ganku, było słychać kroki. Powolne, nieregularne, mokre. Na moje ciało wystąpił lodowaty pot. Leżałem bez ruchu, słuchając, jak kroki zbliżają się do wejścia do chaty, potem zacząłem rozpaczliwie obmacywać kieszenie w poszukiwaniu latarki. Isaak przywarł całym ciałem do pryczy, drżąc jak w febrze. Wreszcie znalazłem latarkę, ale nie włączyłem jej. Coś ciemnego przesunęło się za oknem. Ściskając latarkę w dłoni jak talizman, opuściłem stopy na podłogę i chwiejnym krokiem przeszedłem do głównego pokoju. Isaak podążył za mną.

Bąłem się, że kroki zatrzymają się przed drzwiami, jednak tak się nie stało. Po omacku dotarłem do północnego okna. Nic. Podszedłem do zachodniego. Jest. Coś ciemnego, na skraju pola widzenia.

Kroki ucichły.

Czekałem. Isaak stał przy mojej nodze, dysząc ze strachu. Z ust wydobywała mi się para. Trząsałem się z zimna, ale czekałem. W końcu nie mogłem już dłużej wytrzymać, położyłem się na pryczy i skuliłem się w śpiworze. Isaak wpełzł pod łóżko. Nasłuchiwałem co najmniej przez godzinę, lecz to już nie wróciło.

Ze względu na Isaaka postanowiłem przynajmniej spróbować zachować pozory normalności. Wstałem, ubrałem się, napaliłem w piecu i zapaliłem lampy, żeby w chacie zrobiło się ciepło i jasno. Otworzyłem puszkę z pemikanem, wygarnąłem zawartość na talerz royal dulton i patrzyłem, jak zajada, jeżdżąc talerzem po całej podłodze, a następnie wylizuje go do czysta. Poczuvszy głód, przyrządziłem sobie jajecznicę z czterech jaj edredonów z pół funtem sera. Nie byłem w stanie przełknąć ani kęsa, więc ją

też dałem Isaakowi. Przestał dygotać, choć wciąż nie odstępował mnie ani na krok. I to właśnie stało się przyczyną nieszczęścia. Umyłem naczynia i odstawiałem je na półki, na śmierć zapomniałem o Isaaku, cofnąłem się o krok, potknąłem się o niego, a upadając, zawadziłem o stół i zrzuciłem z niego budzik. Spadł na podłogę i coś w nim pękło. We mnie też.

– Coś ty narobił! – wrzasnąłem. – Ty cholerny głupi psie!

Rzuciłem się na niego, kopiąc i na oślep młóćąc pięściami. Nawet nie próbował uciec. Kulił się z ogonem między nogami, nie rozumiejąc, w czym przewinił, ale zdając sobie sprawę, że musi wycierpieć swoje, ponieważ jest psem. Nagle uświadomiłem sobie, co robię. Osunąłem się na kolana, objąłem go i rozplakałem się głośno. Szlochałem aż do kompletnego wyczerpania. Isaak nie czekał, aż skończę, tylko wysunął się z moich objęć i oddalił na bezpieczną odległość. Przypuszczam, że mój płacz wystraszył go bardziej niż wszystko, co się wydarzyło wcześniej.

Kiedy zabrakło mi łez, wstałem, poszedłem do kuchni i obmyłem twarz. Nie poznałem własnego odbicia w lusterku. Kim jest ten ponury, zarośnięty człowiek o obłąkanym spojrzeniu, z głębokimi bruzdami na policzkach? Zrozumiałem, że nie wytrzymam dłużej.

– W porządku – powiedziałem głośno. – Zwyciężyłeś. Gruhuken jest twoje. Mam dosyć. Przegrałem. Wynoszę się stąd.

O tej porze Ohlsen na Wyspie Niedźwiedziej z pewnością spał, ale ktoś mógł czuwać przy radiostacji w Longyearbyen. Kiedy odbiorą moją prośbę o pomoc, obudzą Gusa i Algiego, a ci z kolei obudzą Erikssona i Isbjørn wyruszy w drogę.

Zapomniałem o szronie. Zgromadził się nie tylko na ścianach i suficie sypialni. Co w tym dziwnego? A ja przecież mocno ogrzałem wnętrze chaty. Obie radiostacje, a także generatory, obficie pokrywała wilgoć. Wszystko było mokre. Zepsute. Bezużyteczne.

To wszystko wydarzyło się dość dawno temu, choć oczywiście nie wiem, jak dawno, bo nie mam zegara. Wytarłem urządzenia najlepiej jak

potrafiłem, po czym powiesiłem ręczniki nad piecem do wyschnięcia. Sam nie wiem, dlaczego to zrobiłem. Może dlatego, że jestem przecież radiotelegrafistą i lubię utrzymywać sprzęt w porządku.

Jeżeli Wyspa Niedźwiedzia przez dwa dni nie otrzyma ode mnie żadnego meldunku, wyśle do Longyearbyen sygnał alarmowy. Nawet jeśli statek zdoła się tu jeszcze przedrzeć, podróż zajmie mu kolejne dwa dni. W sumie daje to cztery dni, i to przy najbardziej korzystnym zbiegu okoliczności. Cztery dni. Staram się uwierzyć, że tyle wytrzymam. Daj spokój, Jack, wytrzymałeś już tyle, dasz radę jeszcze trochę.

Ale teraz jest inaczej. Teraz nie ma księżycy.

Cztery dni.

Najbardziej żał mi Isaaka. Jestem wręcz wściekły. Przecież to nie jego wina. Nikt go nie pytał, czy chce tu być. To nie jego wina.

Moje pismo zamieniło się już w ledwie czytelne bazgroły, ale wiem, że nie oszalałem. To nie złudzenie. To nie załamanie nerwowe spowodowane odosobnieniem i ciemnością. Coś przecież sprawiło, że Gus i Algie czuli się tu niepewnie. Coś sprowadzało koszmary na Bjørvika, otworzyło drzwi psiarni i wyгнаło psy. Coś przeraziło Isaaka i chodziło po ganku.

Przed chwilą, kiedy dokładałem do ognia, przyszło mi do głowy coś jeszcze. Stara chata. Zburzyliśmy ją, a drewno porąbaliśmy i dołożyliśmy do zapasu opału. Jakaś jego część trafiła już do chaty. A kiedy szalała burza, wiatr często właczał dym kominem do wnętrza. Czarny, gryzący dym, który osiadał na ścianach i wywoływał u mnie ataki kaszlu. Stara chata. Mam ją już w sobie.

Jest we mnie.

## Później

Wróciła cisza. Nastąpiła martwa, lodowata, bezwietrzna ciemność. Właśnie: ciemność. Jesteśmy anomalią. Małe migoczące iskierki na skorupie



wirującej planety – a dokoła ciemność.

Przed chwilą zajrzałem na początek tego dziennika. Nie poznaję człowieka, który go pisał. Czy naprawdę spędził całe lato w niegasnącym blasku? Czy naprawdę tak bardzo zależało mu na tym, by dotrzeć do Gruhuken? To okropne. W pewnym miejscu napisał, że tu, w Arktyce, zobaczy wszystko wyraźnie, sięgnie wzrokiem do serca rzeczy. Wygląda na to, że osiągnął cel, nieszczęsny głupcze. Oto prawda. Chodzi tam, za ścianą.

Są ludzie, którzy traktują śmierć jak drzwi wiodące do lepszego miejsca. Chwilowo patrzymy przez ciemną szybę i niewiele widzimy, ale kiedy tam staniemy, zobaczymy wszystko w pełnym świetle i... A jeżeli to nieprawda? A jeżeli nie ma światła, tylko wszechobecny mrok? Jeżeli zmarli wcale nie wiedzą więcej od nas?

Kiedyś, w dzieciństwie, zapytałem ojca o duchy, on zaś odpowiedział: „Nie sądzisz, że gdyby istniały, to we Flandrii byłoby ich pełno?”. Zapytałem, czy to znaczy, że uważa, że nie istnieją, a on na to: „Może. A może po prostu nie potrafimy ich usłyszeć”.

Żyć po śmierci w wiecznym mroku. Każdy modliłby się o koniec, ale kto miałby go usłyszeć? Czy taki właśnie los spotkał to, co nawiedza to miejsce? Czy tego właśnie ode mnie oczekuje? Czy zostało na zawsze uwięzione w niekończącej się nocy?

## Później

Właśnie uświadomiłem sobie, jak ważne jest to, co napisałem o psiarni. Coś otworzyło drzwi psiarni.

To coś potrafi otwierać drzwi.

To coś może tutaj wejść.

Nie będę dalej pisał dziennika. To nie ma sensu. Kończę z tym. Powinienem chyba zostawić go w tym miejscu, na środku stołu, żeby ktoś,

kto tu kiedyś wejdzie, znalazł go i dowiedział się, co się stało. Nie zrobię tego jednak. To mój dziennik. Są w nim moje słowa i słowa Gusa, zapiski z naszych rozmów telegraficznych z przeszłości. Dopilnuję, żeby został przy mnie na zawsze.

Oto więc ostatnia strona. Nie zostało nic więcej do napisania.

Dziennik Jacka Millera.

Koniec.

Przywiązałem sobie dziennik do piersi płócienną podszewką z psiej uprzęży, a na wierzch włożyłem koszulę Gusa. Jeśli jakimś cudem wyjdę z tego żywy, powiem mu, że wziąłem ją przez pomyłkę. Jeśli nie, to będę miał przy sobie coś, co do niego należało.

Siedzę na pryczy pod stosem śpiworów i skór reniferów. W głównym pomieszczeniu pali się pięć lamp, piec jest rozgrzany do czerwoności (Isaak wie, że lepiej się do niego nie zbliżać). W sypialni mam piecyk naftowy, który postawiłem na pustych skrzyniach, lampę na krześle przy pryczy i dwie latarki obok siebie. W dużym pokoju jest cieplej, ale ja wolę być tutaj, w mojej wyściełanej celi. Bliskość solidnych ścian sprawia, że czuję się pewniej, choć w gruncie rzeczy nie ma ku temu żadnego powodu. Nie zamierzam już wychodzić na dwór. Zgromadziłem ogromny zapas drewna, a kiedy go zużyję, porąbię krzesła.

W sypialni cuchnie moczem. Mam wiadro, skorzystałem już z niego kilka razy, Isaak zaś podnosił już łapę przy drzwiach, ale nie przy pryczy. Nie przeszkadza mi ten smród. Przypomina, że żyję.

Po raz kolejny czytam książkę Gusa o przyrodzie Spitsbergenu. Jej ciężki styl podtrzymuje mnie na duchu. Od czasu do czasu przerywam lekturę, żeby porozmawiać z Isaakiem albo przeczytać mu jakiś ustęp, a on wtedy zamiata podłogę ogonem. Niekiedy rozmawiam w myślach. Rozmówcą jesteś ty, Gus.

Dziwne. Choć może mnie słyszeć tylko Isaak, wciąż nie mogę zdobyć się na rozmowę z tobą na głos. Opowiadam ci, co się wydarzyło, ćwiczę sobie, co ci powiem, jeżeli się jeszcze zobaczymy. Jedyne to trzyma mnie przy życiu: nadzieja, że jeszcze cię kiedyś zobaczę.

Dziennik leży na mojej piersi jak pancierz. Napisałem kiedyś, że wydaje mi się, jakbyś był moim bratem lub najlepszym przyjacielem. Teraz myślę,

że chodzi o coś głębszego. Nie rozumiem jednak o co, bo nigdy nie doświadczałem takich uczuć i cieszę się, że nie wspomniałem o tym w dzienniku. Nie zniósłbym, gdybyś to przeczytał i odwrócił głowę. Możliwe, że nawet jeżeli jeszcze cię zobaczę, nie zdobędę się na odwagę, by powiedzieć ci to prosto w oczy. Zrobię to więc teraz i powiem głośno: Kocham cię, Gus.

Budzę się w ciemności i przeraźliwym zimnie. I natychmiast zdaję sobie sprawę, że to, co widzę, nie może istnieć, ale jednak istnieje. Nie śpię już i widzę to w dużym pokoju. Stoi przy północnym oknie i wygląda na zewnątrz. Jest tu, w środku.

Teraz odwraca się w moją stronę. Czuję jego wściekłość. Emanujące od niego zło wciska mnie w pryczę. Szukam po omacku latarki, ale nie mogę jej znaleźć. Nie mogę też wygrzebać się ze śpiwora. Przewracam stojące obok krzesło. Brzęk tłuczonego szkła. Smród nafty.

Wreszcie moja dłoń trafia na latarkę. Skaczący dziko snop światła wyławia z ciemności roztrzaskane fragmenty lampy naftowej, ciemną plamę na podłodze. Isaak tuli się do pryczy. Oczy prawie wychodzą mu z orbit, wodzi nimi za czymś, co porusza się w sąsiednim pomieszczeniu.

Dyszac ciężko, uwalniam się ze śpiwora. Latarka wyślizguje mi się z palców, upada na podłogę i gaśnie. Z jękiem osuwam się na kolana, szukam po omacku, nie mogę znaleźć. Nie widzę nawet ręki, choć podnoszę ją do twarzy. Sięgam do Isaaka. Zniknął. Próbuję go zawołać, lecz żaden dźwięk nie chce mi się precisnąć przez gardło. Ostry ból w dłoniach, kolanach. Pełzam po potłuczonym szkłe. Moje palce trafiają na drewno. Ściana czy prycza? Gdzie jestem?

Kroki. Ciężkie. Mokre. Nierówne. Za mną czy przede mną? Gdzie? Dokąd?

Czuję jego wściekłość. Wysysa mi powietrze z płuc.

Isaak skamle cicho. Wstaję i po omacku idę w stronę dźwięku. Wpadam na coś twardego i gorącego, z poparzonymi rękami przewracam się na podłogę. Znów kroki, takie same jak przedtem.

Dyszac ciężko, pełnę przed siebie. Wyczuwam dokoła przestrzeń, widzę słaby czerwony blask. Piec. Boże, skręciłem nie tam, gdzie

powiniennem. Jestem nie w sypialni, lecz w głównym pokoju. Stąd nie ma wyjścia.

Odwracam się gwałtownie. Drzwiczki pieca są otwarte. Widoczny przez nie żar niczego nie oświetla, wręcz przeciwnie: ciemność dokoła staje się jeszcze głębsza. Nic nie widzę, ale czuję jego wściekłość. Jest coraz bliżej.

Zataczając się, przechodzę obok pieca, wpadam do sypialni. Tu jest jeszcze ciemniej. Macając drogę, mijam pryczę, docieram do skrzyń. Jestem w skarpetkach, moja stopa zanurza się w kałużę rozlanej nafty. Ślizgam się, wymachuję na oślep rękami, piecyk naftowy spada z łomotem na podłogę. Nie mogę się przedrzeć przez barykadę ze skrzyń, nie mogę trafić do hallu. Trafiam na coś zimnego i wilgotnego, palce zagłębiają się jakby w butwiejącą skórę. Na mojej piersi zaciskają się stalowe obręcze strachu, nie jestem w stanie nabrać powietrza w płuca. Głowę wypełnia mi czarna pustka. Nie zniosę tego, tego zła, tej nienawiści...

Isaak rozpaczliwie skrobie do drzwi. Rzucam się w kierunku, z którego dobiega ten odgłos. Moje palce trafiają na drewno, niemal zdzieram sobie z nich skórę. Drzwi. Drzwi. Isaak przemyka obok mnie. Jestem w hallu. Znacznie tu zimniej, ciemność aż uciska gałki oczne. Pamiętam o klapie nad moją głową i o poddaszu wypełnionym karmą dla psów. Idę przed siebie po omacku. Broń. Haki. Płaszcz nieprzemakalne. Zimne, sztywne rękawy ocierają mi się o twarz. Moje stopy grzęzną w psich uprzężach. Isaak znalazł drzwi. Drapię w nie palcami zakrzywionymi jak szpony. Nie mogę znaleźć klamki. Jestem na ganku, przedzieram się przez palisadę z kijów narciarskich i łopat, gwałtownym szarpnięciem otwieram drzwi wejściowe i wypadam w noc.

Mróz jest jak ściana. Uderzam w niego całym ciałem. Zimno zamyka mi gardło, wgryza się w skórę. Nie ma księżyca ani gwiazd. Górę od dołu odróżniam tylko dzięki słabemu poblaskowi bijącemu od śniegu. Isaak mija mnie i pędzi w kierunku brzegu. Biegnę za nim.

Zerkam przez ramię, widzę żółtawe migotanie w oknach chaty. Coś jest

nie w porządku. To nie stały, spokojny blask lamp, lecz otwarty ogień. Chata płonie.

Wpadam na głaz, odpycham się i biegnę dalej. Potykam się o Isaaka. Stoi bez ruchu, z postawionymi uszami. Nasłuchuje. Chwytam go za kark i także wytyżam słuch, lecz słyszę jedynie świst wiatru.

Ponownie spoglądam przez ramię. Płomienie w oknach przybrały głęboką pomarańczową barwę. Na ich tle widzę mokrą, okrągłą głowę. Nie potrafię określić, czy jest wewnątrz chaty, czy na zewnątrz. Patrzy. Wie, gdzie jestem.

Isaak wyrывa mi się i pędzi dalej. Nie czuję już stóp, ale ruszam za nim. Myślę tylko o tym, żeby uciec. Na brzegu wiatr uderza mnie w twarz, przez co całkowicie tracę czucie. Żebra wielorybów połyskują różowawą poświatą. Słyszę mlaskanie wody, stukot zderzających się lodowych tafli. Dotarłem do morza. Nie mam już dokąd iść. Jestem bez płaszcza, czapki ani butów. Nie przetrwam długo, ale niewiele mnie to obchodzi. Przykro mi tylko, że zostawię Isaaka samego.

Pies ani drgnie, strzyże uszami, starając się wyłapać jakieś dźwięki. Ma podniesiony ogon. Dopiero po chwili dociera do mnie, że już się nie boi. Wreszcie i ja coś słyszę: odległy chlupot wiosła. Nie dowierzam własnym uszom, ale wkrótce zacznym również coś widzieć: światełko kołyszące się na falach. Łódź wiosłowa.

Z ogłuszającym hukiem eksploduje jedno z okien. Padam na kolana, obejmuję Isaaka za szyję. Zaraz zapłonie stos drewna przy ganku. Klęczę na granicy zasięgu fal i czekam na łódź. Przy wiosłach siedzą Eriksson, Algie i dwaj barczyści marynarze, ale ja widzę tylko Gusa. Z jękiem brnę przez płyciznę, wpadam mu w ramiona.

– Spokojnie, Jack! Boże, gdzie twoje buty? Och, Jack!

Przemawia do mnie łagodnie, głaszcząc po plecach, jakbym był psem. Rozlega się kolejny, jeszcze bardziej donośny wybuch. Płonące szczątki wznoszą się wysoko ku niebu, a następnie opadają na ziemię. Chata

zamienia się w ogromne, rozżarzone, czerwone serce. Wnoszą mnie do łodzi. Jęczę, pytam, gdzie Isaak; ktoś bierze go za kark i rzuca na mnie. Marynarze spychają łódź na głębszą wodę, Gus owija mi stopy szalikiem Algiego i okrywa mnie kocem. W mroku niewyraźnie widzę bladą, przerażoną twarz Algiego. Próbuję coś powiedzieć, ale mi się nie udaje. Nie mogę nawet się trząść.

W łodzi jest pod dostatkiem miejsca dla sześciu ludzi i psa, lecz ja kulę się na rufie między Gusem i Isaakiem. Isaak szeroko rozstawił łapy i wbił pazury w drewno. Boi się morza. Widzę światła pozycyjne Isbjørna na zatoce. Tam będę bezpieczny. Jestem wśród ludzi. Jestem z Gusem. Wciąż nie potrafię tego pojąć.

Łódź kołysze się na falach. Oparty o Gusa, patrzę, jak płonie Gruhukén. Czerwień jest tak intensywna, że aż bolą oczy, nie potrafię jednak odwrócić wzroku. Obserwuję płomienie strzelające wysoko w niebo. Ogień sięga po nas jaskrawymi palcami mknących po wodzie poblasków, ale jesteśmy już daleko. Nie dosięgnie nas.

Zaczynam drzeć. Gus mówi, że to dobry znak. Wciąż do mnie mówi, łagodnie i spokojnie. Czuję, jak Isaak nagle sztywnieje u mego boku. Serce zamiera mi w piersi. W łodzi jest siedmiu ludzi. Mokra, okrągła głowa obok głowy Gusa.

Isaaka ogarnia szaleństwo. Wrzeszczę, szarpię go jedną ręką, drugą usiłuję odciągnąć Gusa od tego... czegoś. Ludzie krzyczą, zrywają się z miejsc, łódź się kołysze. Isaak za wszelką cenę chce uciec. Nie daję rady go utrzymać, wyskakuje za burtę. Gusa nie ma już obok mnie. Wołam go, wyciągam ręce, ale nie mogę dosięgnąć. Też jest już w wodzie.

Skaczę za nim. Woda obejmuje mnie lodowatym uściskiem, morze ciągnie mnie w dół. Na oślep wyciągam rękę, chwytam go za dłoń. Pękają mi płuca. Staram się pociągnąć go w górę, lecz palce mam tak zgrabiłe, że mi się wyslizguje. Rozpaczliwie wymachuję ramionami, trafiam na ciało, ale to nie Gus, to coś oślizłego i miękkiego jak zbutwiała skóra.



Walczę, uwalniam się, wypływam na powierzchnię, krztusząc się i plując słoną wodą. Daleko, na łodzi, płonie nasze obozowisko. Na tle pożogi stoi czarna postać i przygląda się nam z brzegu.

Nie umarłem. Łódź się nie przewróciła, a ci, co w niej zostali, zdołali wyciągnąć nas z wody i przewieźć na pokład. Przez dwa dni leżałem w mojej starej koi, to tracąc, to znów odzyskując przytomność. Algie wyjaśnił mi, skąd wzięli się w Gruhuken. Otóż po ostatniej wymianie depe sz tak bardzo się o mnie zaniepokoiłi, że namówili Erikssona do natychmiastowego wyruszenia w drogę. Ocaliło mnie to, że nie zdołałem ich przekonać, że wszystko jest w porządku. Równocześnie to właśnie zabiło Gusa. Tylko on zginął. Razem z nami wpadł do wody jeden z marynarzy, ale go uratowano, pan Eriksson stracił zaś z powodu odmrożenia koniuszki trzech palców. Algie wyszedł bez szwanku, a w każdym razie tak twierdzi. Ciało Gusa nie udało się odnaleźć. Może prąd zniósł je na pełne morze, a może pozostało na zawsze tam, w Gruhuken.

Zaklinałem się, że już nigdy nie będę pisał dziennika, jednak wczoraj kupiłem ten notes. Dlaczego? Może dlatego, że jutro przypada dziesiąta rocznica śmierci Gusa, a ja czuję potrzebę zdania relacji o moich przeżyciach. Problem polega tylko na tym, że nie bardzo wiem komu.

W drodze do Longyearbyen w ogóle nie rozmawialiśmy o tym, co się stało, ale któregoś popołudnia pan Eriksson odwiedził mnie w szpitalu. Chciałem podziękować mu za to, że zaryzykował swój statek, żeby mnie uratować; on chciał (jak napisał mi później) przeprosić, że nie uprzedził nas o tym, co się dzieje w Gruhuken. Czy jednak ktokolwiek by mu uwierzył? W końcu żaden z nas nie zdołał znaleźć właściwych słów, więc tylko wypaliliśmy w milczeniu po papierosie. Potem opowiedziałem mu, co wydarzyło się w chacie i co widziałem w łodzi. Słuchał z opuszczonym wzrokiem, a kiedy skończyłem, rzekł:

– *Ja*. Też widziałem to coś w łodzi.

Nikommu więcej o tym nie mówiłem.

Nie powiedziałem mu tylko tego, że Gus również to widział. Widziałem jego twarz na ułamek sekundy przed tym, jak wypadł za burtę. Nigdy nie zapomnę jej wyrazu. To ja jestem winien jego śmierci. To z jego powodu zostałem w Gruhuken; chciałem mu zaimponować. Wysoką cenę za to zapłaciłem, ale to on zginął. Myślę o tym bez ustanku, każdego dnia.

Rok po naszym powrocie do Anglii otrzymałem list od pana Erikssona. Napisał, że wybrał się do Gruhuken, by odszukać szczątki Gusa, lecz ich nie znalazł. Napisał, że przykro mu, że nie mógł usypać kamiennego kopca nad kośćmi naszego przyjaciela. Napisał też, że uczynił wszystko, co w jego mocy, by zniechęcić innych do odwiedzania tego miejsca: ustawił na plaży zasieki z drutu kolczastego i przedsięwziął jeszcze inne środki – ale nie wyjaśnił jakie. Nie musiał tłumaczyć, dlaczego to zrobił. Obaj wiemy, że to, co widzieliśmy tamtej nocy, nadal tam jest.

Trudno mi uwierzyć, że Eriksson miał odwagę wrócić w to okropne miejsce. Nie potrafię sobie wyobrazić takiej zuchwałości. Ja z pewnością się na nią nie zdobędę. Zachowałem chyba jednak resztki honoru, ponieważ złożyłem wyznanie rodzicom Gusa. Odwiedziłem ich i wyjaśniłem, że kiedy zachorował, sam podjąłem decyzję, by zostać w Gruhuken. To ze względu na mnie tam wrócił i przeze mnie zginął.

Sądziłem, że mnie znienawidzą, ale byli mi wdzięczni. Wcześniej Algie opowiedział im, że wyskoczyłem za burtę, by ratować ich syna, a widzieli przecież, jak bardzo boleję nad tym, że mi się nie udało. Uważali mnie za wzór dla każdego Anglika. Byli dla mnie wspaniali, nigdy nie zdołałem się za to odwdziżyć. Pomogli nam załatwić sprawy z ubezpieczeniem i wypożyczonym ekwipunkiem, a ojciec Gusa znalazł sposób na uciszenie prasy. Znaleźli mi doskonałego specjalistę od leczenia odmrożeń i drugiego, dzięki któremu odzyskałem sprawność po amputacji stopy. Algie opowiedział im o moich koszmarach i lęku przed ciemnością, oni zaś wysłali mnie do sanatorium w Oksfordzie, tak daleko od morza, jak to tylko było możliwe.

Wyszukali mi też tę pracę. Jestem na Jamajce od dziewięciu lat. Pracuję w stacji doświadczalnej Ogrodu Botanicznego w Castleton. Spoczywają na mnie obowiązki zarówno natury administracyjnej, jak i naukowej. Mam dosyć fizyki. Budzi moją odrazę. Rośliny zbliżają mnie do Gusa.

Zajęcie jest przewidywalne, co dla mnie ma największe znaczenie. Każdą czynność wykonuję o wyznaczonej porze, zgodnie z tygodniowym planem w swoim zeszycie. W zeszycie zanotowałem także pory posiłków, spacerów, czytania, snu, pracy w ogrodzie i widywania się z ludźmi. Zdaniem Algiego upodobałem się do Niemców – z pewnością wie coś na ten temat po trzech latach w niemieckiej niewoli, ale chyba mnie rozumie. Kurczowo trzymam się sztywnego rozkładu zajęć, ponieważ kiedyś tego nie uczyniłem. To dodaje mi odwagi, nawet jeżeli wiem, że bezpieczeństwo jest tylko złudzeniem.

Podoba mi się na Jamajce. Tropikalne noce przez cały rok trwają niemal tyle samo, nie ma zmierzchu ani przedświtu targających nerwy. Lubię żywe kolory w ogrodzie: szkarłatne lilie, żółte drzewa cynamonowe, trujące różowe oleandry. Lubię hałaśliwe, kipiące życie: owady, gwizdzące żaby, trajkoczące ptaki.

Mój dom stoi na wzgórzach, w dżungli złożonej z palm i drzewiastych paproci, tuż obok ogromnego morwowca. Miejscowi nazywają go „drzewem duchów”. Nic sobie z tego nie robię. Tutejsze wyobrażenia o duchach wydają mi się niesłychanie naiwne.

Z werandy roztacza się widok na zielone góry. Kolibry spijają nektar z kwiatów zwisających girlandami u okapu. Rosną tu trojeść – moja kucharka twierdzi, że jej woskowe białe kwiatostany to „kwiaty umarłych” – oraz pnąca wyka zwana „zasłonką”, bo ma jakoby strzec przed złymi spojrzeniami. Droga do Castleton to tunel w gęstym bambusowym lesie, wypełniony głosami ptaków i owadów. To dobrze, bo nie widzę morza. Jest zaledwie o kilka mil stąd, ale prawie nigdy tam nie chodzę. Tylko raz w roku.

Koszulę Gusa zdjęto ze mnie i zniszczono, zanim odzyskałem przytomność, nie została mi więc po nim żadna pamiątka. Hugo zaproponował, że przyśle mi zdjęcie, które zrobił nam w Tromsø, podczas przymiarek nowego ekwipunku, ale podziękowałem. Nie mógłbym patrzeć na nas, pełnych nadziei i nieświadomych.

Właśnie sobie przypomniałem, że nie napisałem nic o Bjørviku. W drodze powrotnej do Longyearbyen pan Eriksson zawiązał do Wijdefiordu i zapytał go, czy chce się z nami zabrać, ale Bjørvik odmówił. Zamierzał spędzić tam zimę, tak jak zaplanował. Poprosił, by mi przekazać, że jest mu bardzo przykro z powodu mego przyjaciela i że cieszy się, że ocalałem. Trzy dni przed świętami w jego obozie zjawily się dwa nasze psy, Anadark i Upik. Były wygłodzone i przerażone, lecz pod jego opieką odzyskały siły. Wiosną zapytał przez telegraf Algiego, co ma z nimi zrobić. Naradziwszy się ze mną, Algie posłał mu pieniądze, które powinny pokryć koszty ich dotychczasowego utrzymania, podziękował mu i powiedział, że teraz należą do niego. Wkrótce potem traper sprzedał je za doskonałą cenę kierownikowi kopalni w Longyearbyen. Cieszę się z tego. Jest ubogim człowiekiem, te pieniądze z pewnością mu się przydadzą. Nie wątpię też, że Upik i Anadark szybko przywykły do życia w nowym stadzie. Pozostałe psy – Pakomi, Kiawak, Svarten, Eli i Jens – przepadły bez śladu.

Isaak został ze mną. Marynarze wyłowili go z wody, a kiedy przez kilka dni leżałem półprzytomny w kajucie Isbjørna, ani na chwilę mnie nie odstępował. Rodzice Gusa kochają psy, więc łatwo zrozumieli, że nie wolno nas rozdzielać. Isaak, po kilkumiesięcznej kwarantannie, wrócił do mnie i od tej pory już się nie rozstajemy.

Wybrałem ten dom ze względu na niego, ponieważ rankiem dociera tu morska bryza, wieczorem zaś wieje wiatr od lądu. Zdumiewająco szybko przywykł do gorąca – oznacza to tyle, że błyskawicznie się rozleniwił. Zbudowałem mu w ogrodzie cieniłą pergolę i mały staw, w którym z upodobaniem brodzi. Świtem, kiedy jeszcze jest chłodno, chodzimy na

spacery; z braku królików Isaak stał się postrachem miejscowej populacji mangust. Dwa razy dziennie odprawiamy obrzęd usuwania kleszczy. Uwielbia to, ponieważ całą uwagę poświęcam wówczas wyłącznie jemu. Bez trudu nauczył moresu miejscowe mastify, a sporo szczeniąt urodzonych przez suki mieszkające w okolicy uderzająco przypomina arktyczne husky. Nie mam pojęcia, co bym zrobił bez niego. Jest moim najlepszym przyjacielem, jedyną żywą istotą, z którą naprawdę mogę porozmawiać, oraz nieocenionym łącznikiem z Gusem.

W swój mało spektakularny sposób Algie stał się moim przyjacielem, choć początkowo wyrzucałem mu, że pozwolił Gusowi uczestniczyć w wyprawie ratunkowej. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że on sam ma z tego powodu tak ciężkie wyrzuty sumienia, że nie powinienem pogarszać sprawy. Cenię sobie jego przyjaźń, lecz nigdy nie rozmawiamy o Gruhuken. Ani razu nie wspomniał o własnych przeżyciach, nie pytał też o moje. To zawsze wisi gdzieś między nami.

Od czasu do czasu wymieniam korespondencję z Hugonem, choć widziałem go tylko raz. Spotkanie nie bardzo się udało. Obaj czujemy, iż dzieli nas przepaść. On nie był w Gruhuken.

Mogę chyba powiedzieć, że dobrze mi się tutaj żyje. Źle jest jedynie w październiku i listopadzie, kiedy budzę się w ciemności i przenoszę się w środek nocy polarnej, w której rozbrzmiewają nieregularne, mokre kroki.

Co roku, w rocznicę śmierci Gusa, udaję się na małą, odciętą od świata plażę na północnym wybrzeżu, gdzie mogę mieć pewność, że jestem sam. Zjawiam się tam w południe, kiedy słońce stoi wysoko na niebie, ale i tak dużo mnie to kosztuje. Już tydzień wcześniej mam kłopoty ze snem, lecz, jak do tej pory, ani razu jeszcze nie stchórzyłem.

Morze w niczym nie przypomina tego w Gruhuken. W turkusowej wodzie baraszkuje ławice małych rybek, górą żeglują pelikany, lecz to jest to samo morze. Stojąc na białym piasku tuż poza zasięgiem ciepłych fal, wiem o tym, że teraz w Gruhuken jest środek czarnej, polarnej nocy.

Niekiedy zdobywam się na odwagę, kucam, zanurzam rękę w wodzie i rozmawiam z Gusem. Ta duchowa bliskość jest dość niebezpieczna, ponieważ łączę się nie tylko z nim, lecz także z Gruhuken i z tym czymś, co mieszka tam w ciemności.

Gdy zaczynałem pisać te słowa, nie za bardzo wiedziałem, dla kogo to robię. Teraz już wiem. To dla ciebie, Gus. Tak właśnie mają się sprawy od chwili, kiedy cię utraciłem. Być może jutro, przed pójściem nad morze, spalę te kartki i rozsypię popiół po falach, żeby dotarł do ciebie, gdziekolwiek jesteś.

Ostatnio przyszło mi do głowy, że być może twoi rodzice mieli słuszość, że nie obwiniali mnie o to, że zginąłeś. Może wróciłeś do Gruhuken nie po to, żeby mnie ratować, tylko żeby ocalić wyprawę. Może nie czułeś do mnie tego, co ja czułem, i wciąż czuję, do ciebie. Nigdy się tego nie dowiem, ale z tym sobie poradzę, bo nie to jest najgorsze. Najgorsza jest niepewność, czy wciąż tam jesteś. Jesteś tam, Gus? W czarnej wodzie? Wychodzisz na brzeg w czarnej, martwej ciszy i przechadzasz się między wielorybimi kośćmi? Czy zgasłeś jak iskierka, po której nie zostaje żaden, nawet najmniejszy ślad? Mam nadzieję. Nie mogę znieść myśli o tym, że miałbyś wciąż tam być.

Wiem, że nigdy tam nie wrócę. Nawet dla ciebie, Gus. Nawet jeśli sobie przypomnę, jak było na początku: nurzyki na skałach i foki mknące przez zieloną wodę, i lód gadający do siebie na zatoce.

## Od Autorzki

Po raz pierwszy dotarłam na Spitsbergen latem 2007 roku, kiedy opływałam statkiem cały archipelag i odwiedzałam wiele pięknych, opustoszałych miejsc, w tym także zrujnowane kopalnie i obozowiska traperów. Czerpałam ze swoich wrażeń, opisując doznania Jacka podczas dnia polarnego oraz jego pierwsze odczucia po przybyciu do Gruhuken. Wróciłam na Spitsbergen minionej zimy, by na nowo zaprzyjaźnić się z husky, pochodzić w ciemności po śniegu i zakosztować nocy polarnej.

Informacje dotyczące Spitsbergenu z początków dwudziestego wieku, w tym także opisy życia traperów, łowców fok i uczonych badających te wyspy, zaczerpnęłam głównie z następujących dzieł:

T. Bjertnes, *The diary of Thorleif Bjertnes (Nordauslandet 1933–1934)*, tłum. Lee Carmody, Svalbard 2000;

R.N.R. Brown, *Spitsbergen; an account of exploration, hunting, the mineral riches & Future Potentialities of an Arctic Archipelago*, Londyn 1920;

C. Ritter, *A Woman in the Polar Night*, Londyn 1955;

G. Binney, *With seaplane and sledge in the Arctic*, Nowy Jork 1926;

A.R. Glen, *Under the pole star: the Oxford university Arctic expedition, 1935–1936*, Londyn 1937.

Muszę jednakże podkreślić, że wszystkie postaci występujące w tej książce są wymyślone i z założenia nie miały w żaden sposób przypominać osób uczestniczących w prawdziwych wyprawach, których zdecydowana większość miała zresztą szczęśliwsze zakończenie niż wyprawa Jacka. Gdyby zaś ktoś miał ochotę odszukać Gruhuken na mapie, to ono też nie istnieje. Nie należy go także mylić z przylądkiem Gråhuken, na którym kiedyś spędziła zimę pewna dzielna żona trapera (patrz: *A Woman in the*



*Polar Night*). Gruhuken stanowi wyłącznie wytwór mojej wyobraźni i, o ile mi wiadomo, na Spitsbergenie nie ma miejsca o takiej topografii jak ta osada.

Pragnę podziękować mieszkańcom Longyearbyen za ich ciepło i uczynność, zwłaszcza zaś przewodnikom towarzyszącym mi w niezliczonych wycieczkach oraz uprzejmemu i sumiennemu personelowi Muzeum Svalbardu. Jak zwykle kieruję podziękowania do wydawnictwa Orion Books za bezgraniczny entuzjazm i wsparcie. Szczególnie gorąco dziękuję redaktor Jade Chandler i mojemu cudownemu agentowi Peterowi Cokowski, którzy zachęcali mnie do napisania tej historii od samego początku, kiedy niemal przed dziesięciu laty jej zarys pojawił się po raz pierwszy w mojej głowie.

Na koniec pragnę podkreślić, że choć w 1937 roku Longyearbyen wywarło na Jacku nie najlepsze wrażenie, od tamtego czasu sporo się zmieniło. Ja zawsze byłam nim zachwycona, zarówno zimą, jak i latem. Warto je odwiedzić, niezależnie od tego, czy wynika to z miłości do Arktyki, czy po prostu z zainteresowania życiem na Dalekiej Północy.

*Michelle Paver, 2010*

---

[1]

Mr Pooter – postać fikcyjna, bohater humorystycznej książki *The Diary of Nobody* George’a i Weedona Grossmithów (przyp. red.).